N.B. im. L. W. w Łodzi

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 9 (1666) ROK XXXIII 4 MARCA 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

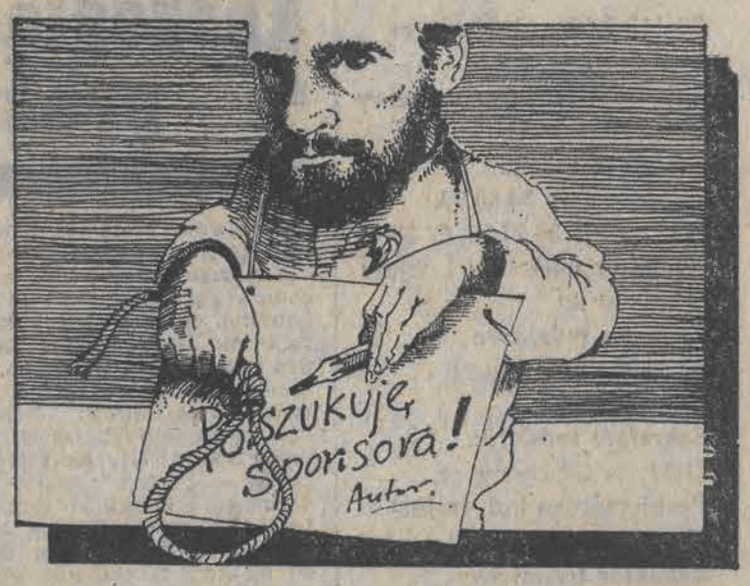

Rys. Dariusz Romanowicz

PAŁCZEW: — Kto ma rację w walce o wysypisko?

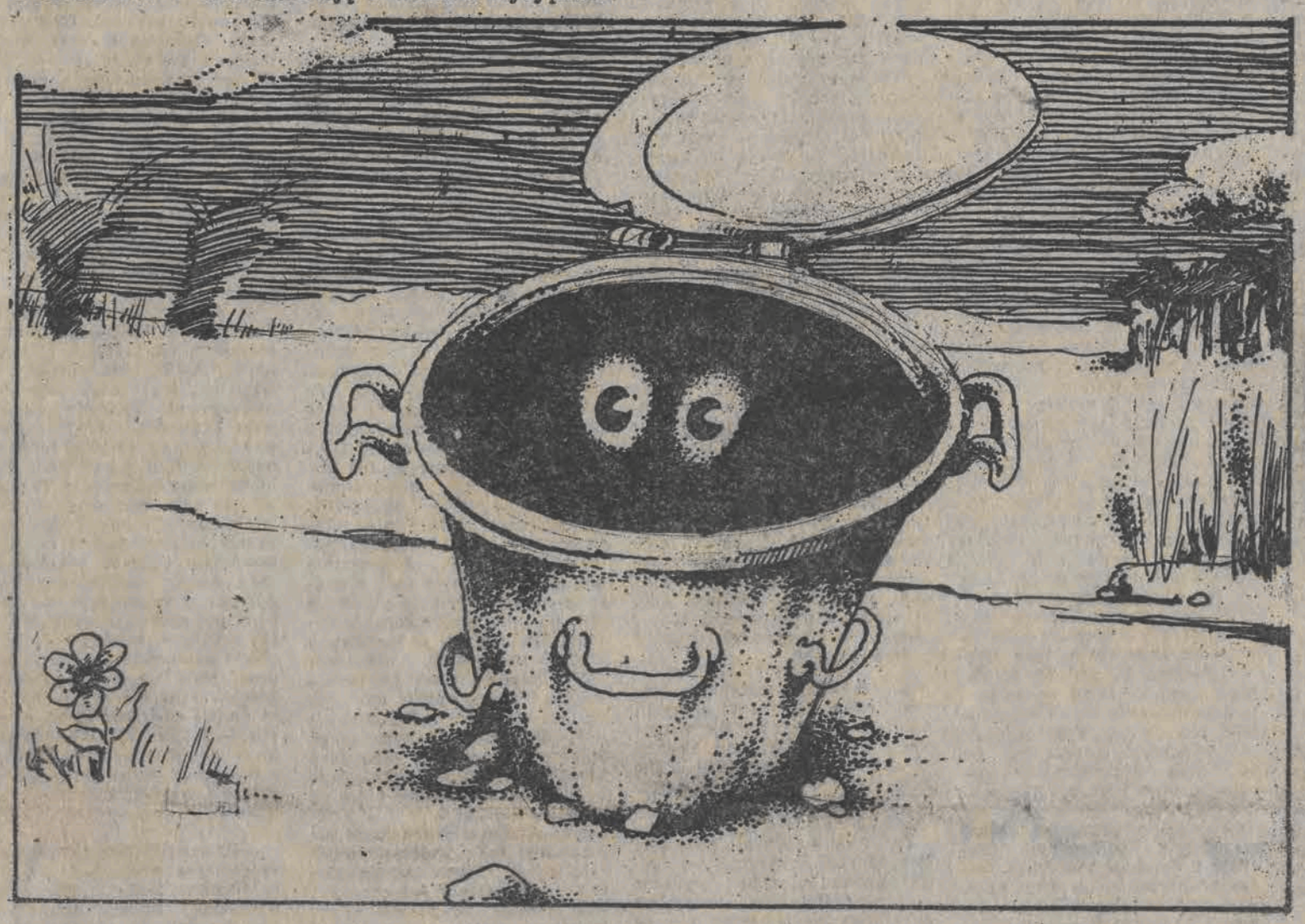

Rys. Dariusz Romanowicz

Czy Łódź udusi się od śmieci?

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

— Będzie zatrute powietrze, ziemia i woda. Krowy nie dadzą mleka, w polu nic nie urośnie. Katastrofa! — przepowiadają chłopi, wyglądając, czy aby już nie nadciąga, w postaci sznura ciężarówek, wypełnionych po brzegi odpadkami cywilizacji.

Zupełnie inną wizję przyszłości roztacza wysoki urzędnik z Łodzi:

— Powinni być wdzięczni, zamiast protestować. Jeśli nie wpuszczą śmieci przez upór i ekohisterię, następne pokolenie we wsi oskarży ich: przegapiliście dla nas szansę!

„Szansą" jest wielka dziura, wydrążona we wnętrzu wzgórza pod Pałczewem, 14 km od granic miasta. Wygląda jak obiekt strategiczny, bo jest nim w istocie: pilnowana przez strażników, otoczona jest wysokim, betonowym płotem. Upatrzono ją na miejsce wiecznego spoczynku dla setek tysięcy ton wielkomiejskich śmieci. O to miejsce trwa bój, toczony po cichu od kilkunastu z górą lat. Od lat czterech konflikt wszedł w fazę głośną i „gorącą", kilkakrotnie na granicy użycia finansowej przemocy. Jeśli przedłuży się jeszcze o kilka miesięcy, do jesieni — dojdzie do katastrofy ekologicznej w Łodzi albo do ostrych zaburzeń społecznych w co najmniej dwóch wsiach gminy Brójce, które będą miały za sobą całą gminę, łącznie z władzami.

Taka się dziś rysuje przerażająca alternatywa.

Przed laty, w spokojnych czasach realnego socjalizmu, sprawa była jak przysłowiowy drut. Dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania, Stefan Spryszyński wspomina, iż niejedną dziurę, niejedno wyrobisko zasypano bez żadnego rozgłosu, za to z pożytkiem dla obu stron: miasta i sąsiadów wysypisk. Niewiarygodne, ale dyrektor pamięta, jak zgłaszali się do niego mieszkańcy z prośbą o takie sąsiedztwo! Chwalono sobie wówczas śmieci, bo był to znakomity sposób na rekultywację terenu. Czy łodzianie dziś pamiętają, że spacerując na przykład po Parku Źródliska, stąpają po olbrzymim śmietniku? Czy wiedzą, że to samo kryje się pod murawą Parku 3 Maja, gdzie sypano w latach 50.? I co, można coś poznać?

Po co więc ten cały krzyk o Pałczew?

Nawiasem mówiąc, dyrektor przyznaje, że pewna uciążliwość może wystąpić. Niestety, nie da się zaprzeczyć. Ale to wszystko jest wyolbrzymione. Przejaskrawione, bo taka jest moda — na ekologię. Zaczęła się ona w latach 70., a im dalej, tym była większa. Ulegli jej nawet chłopi podpuszczeni przez kilku szczególnie zawziętych. Zresztą — dyrektor otwiera drugi nawias — on się w zasadzie nie upiera na Pałczew. Wszystko jedno, gdzie będą sypać, byle tylko był spokój. I byle nie było tak, jak w Nowosolnej, gdzie wszystko robiono w biegu, z pogwałceniem przepisów, a mówiąc już zupełnie bez osłonek — całkiem bezprawnie.

W tym miejscu należy się czytelnikom krótki wykład historyczny pod tytułem:

O wielkich śmietnikach Łodzi.

Do końca lat 70. funkcjonowały na obrzeżach miasta 3—4 wysypiska, położone w różnych kierunkach od centrum. Ciężarówki nie miały zbyt daleko, było po prostu normalnie. Aliści, gdy wypełniły się pomniejsze dziury, pozostał już tylko podłódzki Józefów. Eksploatowano go przez 19 lat, aż usypano taką górę, że nawet kierowcom „bajader" włos jeżył się na głowie, gdy dokładali wciąż nowe sterty. Kiedy poziom śmieci podnósł się na dwa metry powyżej górnej granicy, gdy cała okolica zaczęła się dusić od smrodu, pyłów i brudu — nie wytrzymali miejscowi. Stanęli „murem", nie przepuścili samochodów. Wygrali — kosztem mieszkańców ulicy Marmurowej, na przeciwnym krańcu Łodzi. Ci z kolei nie cierpieli zbyt długo. Zaprotestował Sanepid, ostrzegając przed skażeniem warstw wodonośnych Łodzi. Przyjechała komisja z Warszawy i — pod przymusem — wysypisko zamknięto. Było to w lutym 1987 roku.

Od tej pory pozostało miastu już tylko wysypisko w Nowosolnej. Położone na płaskim terenie, przylegające do gospodarstw, byle jak ogrodzone. Przerażająco zaśmiecające okoliczne pola, uciążliwe, oprotestowywane przez nieszczęśliwych sąsiadów. Utrzymywane — wbrew prawu — z braku innych wysypisk. Od rana do wieczora wjeżdża tam ponad 200 śmieciarek, każda z nich średnio dwukrotnie w ciągu dnia. Usypują górę przyrastającą o 1.5 mln metrów sześciennych rocznie! Zdaniem dyrektora Stefana Spryszyńskiego, będą tak sypać najwyżej do końca roku, a najpewniej — do późnej jesieni. Potem nie będzie już po prostu miejsca.

Im bliżej tego terminu, tym więcej łódzkich oczu wpatrzonych jest w Pałczew.

Ale z Pałczewa niedaleko do Józefowa.

Chłopi pamiętają, co tam się działo. Mają też bogate doświadczenia z władzą. Nie wierzą jej, choćby nawet była zmieniona. Może i jest — na wierzchołku piramidy — ale w tylnym szeregu widzą od lat te same wciąż twarze, których oni woleliby już nigdy nie oglą-

6

„Cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu, jaki zadaje sobie pod słońcem? Pokolenie przychodzi i pokolenie odchodzi, a ziemia trwa po wszystkie czasy" (Koh 1, 3-4).

Posępna rzeka Losu

EDMUND LEWANDOWSKI

Spod szczytów Komova i Durmitoru w południowej części Gór Dynarskich wypływają bystre strumienie Piva i Tara. Z połączenia ich na Scepan Polju powstaje Drina. Jest to najbardziej malownicza rzeka Jugosławii. Wyżłobiła sobie koryto w dzikich i nieprzystępnych górach. W niektórych miejscach z głębokiej wody wystają pionowe skały sięgające 600—700 metrów. Drina płynie na północ. Po przebyciu 346 kilometrów wpada do Sawy, która z kolei zasila Dunaj.

Najpiękniejsze przełomy Driny znajdują się koło Wyszegradu (Visegrad). W miasteczku tym przekracza rzekę wspaniały most kamienny. Zbudował go w XVI wieku wezyr Mehmed-pasza Sokolowić, a opisał i rozsławił laureat literackiej Nagrody Nobla Ivo Andrić (1892—1975). Wyszegradzki most na Drinie ma jedenaście filarów, około 250 kroków długości i prawie 10 szerokości. Na początku stulecia często przesiadywał na nim mały chłopiec, który później został wielkim pisarzem.

Ivo Andrić urodził się w starym mieście bośniackim Travnik nad rzeką Lasva. Natomiast do szkoły podstawowej chodził w Wyszegradzie nad Driną. Potem ukończył gimnazjum w Sarajewie nad Miljacką i studiował w Zagrzebiu nad Sawą, Wiedniu nad Dunajem, Krakowie nad Wisłą, Grazu nad Murą... Wszędzie więc była jakaś rzeka i jakiś most. Ale największe wrażenie wywarły na pisarzu jugosłowiańskim Drina i most na Drinie. Można powiedzieć — nawiązując do Edwarda Stachury — że tutaj zobaczył *„całą jaskrawość"*, czyli doznał metafizycznego olśnienia. W wydanych pośmiertnie zapiskach „Przydrożne znaki" czytamy:

„Siedząc nad brzegiem Driny jako dwunastoletni chłopiec roiłem, że wszystko, co widzę i na co codziennie patrzę, piasek, kępy rokiciny, goła nadbrzeżna wyniosłość powstała z naniesionych kamieni, kasaba z krzywymi uliczkami, pochylonymi sklepami, ludźmi i bydłem, kurzem i krowimi odchodami — że wszystko to w moich oczach cienieje i rozpływa się jak mgła oraz że na pierwszych rozjaśnionych miejscach już wykluwa się doskonała i cudowna treść, czerwienny, złoty, drogocenny rdzeń wszystkiego, co żyje i istnieje. Doskonałość i piękno! Przebija się i prześwituje jako przeczucie, jako jest — nie jest — jest, jako to, co powinno być naszym właściwym światem i co powinno pozostać nim na zawsze.

Godzinami i dniami zwodziło mnie to przeczucie. Tysiące razy mi się zdawało, że już się urzeczywistnia, że świat, który widzę, a który nie jest niczym innym jak maską, własną odwrotną stroną, przejściową formą, rozsypuje się i znika, a spod niego coraz wyraźniej ukazuje się ukryte, lecz rzeczywiste oblicze naszego prawdziwie ludzkiego, ziemskiego istnienia. Wszystko więc opada, lżej i szybciej niż pożółkłe liście, z naturalnością zbędnych i drobnych rzeczy, a pojawia się istota planety, którą nazywamy Ziemią, i istota stworzenia, któremu na imię człowiek. Te sprawy w najlepszych chwilach ma przed oczyma i z tego żyje to, co nazywa się: ja".

W znakomitej powieści „Most na Drinie" mamy do czynienia nie tylko z burzliwą rzeką, która wzbiera wiosną i jesienią, lecz również z posępnym nurtem Losu ludzkiego. Obie rzeki od czasu do czasu występują z brzegów, pochłaniają dorobek całego życia, gubią winnych i niewinnych, uderzają bez sensu w dobrych i złych. W ciągu czterech wieków śledzimy losy wielu pokoleń. Wyraźnie dostrzegamy, z jakim trudem toruje sobie drogę postęp społeczny. Proces historyczny — jak górska rzeka Drina — toczy się poprzez nieoczekiwane progi i groźne przełomy.

Zanim przyszli Turcy.

Prywatną ojczyzną Ivo Andricia była Bośnia. Jest to piękny kraj ubogich ludzi. Północną jego granicę stanowi Sawa, południową — pasmo Gór Dynarskich, zachodnią — rzeka Una, a wschodnią — Drina. Stara legenda głosi, że w tym miejscu diabeł wysypał ogromny wór kamieni. Ziemia jest bowiem górzysta o wzniesieniach do 2 tys. metrów nad poziom morza. Osadnictwo mogło rozwinąć się tylko w dolinach rzecznych i śródgórskich kotlinach.

Pod koniec II tysiąclecia p.n.e. przybyli tu indoeuropejczycy Ilirowie. Około III wieku p.n.e zorganizowali własne państwo. Zagrażało ono jednak interesom rzymskim; utrudniało komunikację między prowincjami alpejskimi i bałkańskimi. Dlatego iliryjskie plemiona Dalmatów utraciły wkrótce niepodległość. A po upadku cesarstwa zachodniorzymskiego musiały uznać prymat ludów słowiańskich. Począwszy od VI wieku Serbochorwaci znad Odry i Wisły zaczęli nawarstwiać się na zromanizowanych Ilirów.

W połowie X wieku pojawiła się odrębna jednostka polityczna pod nazwą Bośnia. Tak samo nazywa się jeden z dopływów Sawy. O rzece Bośni, która liczy 271 kilometrów długości, lud mówi, że jest czysta jak łza. Najprawdopodobniej ona dała nazwę całej krainie. Nie wiem jednak, dlaczego władców Bośni nazywano banami? W słowniku staro-cerkiewno-słowiańskim nie ma takiego słowa. Jest to stary wyraz germański oznaczający pana. Kiedyś faktycznie panowali tam Goci. Na przełomie V i VI wieku, gdy zaczęli napływać słowiańscy Serbochorwaci, spora część Dalmacji należała do ostrogockiego państwa Teodoryka Wielkiego. Anonimowy kronikarz — pisząc w XII wieku historię Słowian południowych — określił Gotów jako *„lud dziki i nieujarzmiony"*. Pozostały po nim znaleziska sepulklarne (groby) i inne.

3

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści: 36 77 70, 32 89 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski.
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Marek Brzeziński, (Paryż — Londyn), Anna Gronczewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst, Marek Juśkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Mirosław Kuliś, Monika Matuszak, Zenon J. Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Henryk Pustkowski, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń, Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz**, tel. 36 80 99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW, a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora, odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób. 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości, w których nie ma oddziałów RSW, a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych.

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa; w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

B-10

Przegląd prasy

Niedawno prezentowałem tu wstrząsający materiał Wojciecha Roszkowskiego na temat obozów śmierci w zagłębiu kołymskim. Stolicą niewolniczego imperium łagrowego był Magadan nad Morzem Ochockim. Obecnie miało liczy ponad 160 tysięcy mieszkańców. Żyją w nim przedstawiciele aż 96 narodowości. A cały Kraj Magadański — prawie cztery razy większy od Polski! — zamieszkuje tylko 600 tysięcy osób. Jego wschodnią granicę dzieli od Moskwy 11 tys. kilometrów (różnica w czasie wynosi 10 godzin). Jedna czwarta regionu znajduje się poza Kręgiem Polarnym. Zimą temperatura spada do minus 64 st. Celsjusza.

O historii i teraźniejszości Magadanu pisze w „TRYBUNIE" (nr 6) Jerzy Wiśniewski. Miasto zawdzięcza swą nazwę Ewenkom. W ich języku „magadan" oznacza miejsce z suchym drewnem do zamieszkania. W latach dwudziestych pionierzy zastali tam kilka letnich jurt tunguskich. Teren znakomicie nadawał się do budowy portu morskiego. Można było przewozić więźniów i sprzęt do obozów pracy.

„Ostatni ponoć obóz w mieście — tyle że bez więźniów — udało mi się sfotografować w dzielnicy o sympatycznej skądinąd nazwie Nowa Wiesiołaja. Przeniesiono ich w ubiegłym roku w inne miejsce — może ze wstydu przed coraz częściej przyjeżdżającymi tu gośćmi z zagranicy.

Jeszcze kilka lat temu mało kto w Związku Radzieckim chciał mówić o magadańskich więźniach, choć wieści o nich docierały nawet do Polski. Jedynie Włodzimierz Wysocki, który był nad Zatoką Nagajewa zaledwie 34 godziny, nie bał się śpiewać „Mój przyjaciel wyjechał do Magadanu"....

Teraz o tamtych czasach mówi się już publicznie. Ale Magadan w dalszym ciągu jest miastem zamkniętym. Biletu w Moskwie w tym kierunku się nie kupi".

Pod względem wydobycia złota Kraj Magadański plasuje się na drugim miejscu na świecie. Jednakże w tamtejszych sklepach jubilerskich nie widać wyrobów z najszlachetniejszego kruszcu. Brakuje zresztą również mydła, papierosów, cukru...

UNIA POLSKO-CZECHOSŁOWACKA

W 1938 roku dochód narodowy na jednego mieszkańca Niemiec wynosił 335 dol., Czechosłowacji — 185 dol., Polski — 96 dolarów. Pół wieku później Republika Federalna Niemiec miała 15.400 dol. na mieszkańca, Niemiecka Republika Demokratyczna — 5600 dol., Czechosłowacja — 4500 dol., Polska — 1700 dolarów. W przypadku zjednoczenia dochód narodowy na 1 mieszkańca Niemiec wyniósłby 13.250 dolarów. Natomiast ewentualna unia polsko-czechosłowacka miałaby 2.500 dolarów.

Z propozycją utworzenia konfederacji polsko-czechosłowackiej konsekwentnie występuje prof. Zbigniew Brzeziński, były doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, obecnie wykładowca w Center for Strategic and International Studies w Waszyngtonie. Udzielając wywiadu Maciejowi Łukasiewiczowi i Andrzejowi Romanowi z dziennika „RZECZPOSPOLITA" (nr 35) polityk amerykański stwierdził, że gdyby idea konfederacji spotkała się z wielkim poparciem Polski i Czechosłowacji, to nie byłoby sensu o niej mówić.

Polska i Czechosłowacja osobno są państwami dość słabymi. A razem miałyby 441 tys. km. kw. powierzchni i 53 mln ludności. Natomiast w zjednoczonych Niemczech na obszarze 356 tys. km kw. będzie 76 mln ludzi. Konfederacja stanowiłaby więc przeciwwagę dla giganta niemieckiego, który zajmuje w świecie czwarte miejsce na liście wytwórców produktu globalnego brutto i pierwsze miejsce na liście eksporterów.

Projekt konfederacji polsko-czechosłowackiej przedstawił już pięćdziesiąt lat temu gen. Władysław Sikorski. W grudniu 1939 roku ukazała się pierwsza oficjalna deklaracja rządu polskiego. Strona czechosłowacka zaś wydała pierwszy dokument oficjalny 1 listopada 1940 roku. Pisze o tym w tygodniku „RELACJE" (nr 6) Mieczysław Wieliczko.

„Eduard Beneš proponował, by Polska i Czechosłowacja pozostawały suwerenne w następującym układzie: własne głowy państw, parlamenty, rządy i armie, unia celna i monetarna, wspólna polityka w zakresie handlu i komunikacji, wspólna polityka zagraniczna (ale odrębne przedstawicielstwa dyplomatyczne w państwach trzecich), wojskowa, a więc jeden Sztab Główny, unifikacja i standaryzacja uzbrojenia oraz wyposażenia armii. Jako organ naczelny powołaną miała być Rada (federalna) w składzie obu premierów, ministrów spraw zagranicznych, handlu, łączności — organ kierujący zasadniczymi sprawami polityki wewnętrznej i zagranicznej. Obok tego projektowano utworzenie organu złożonego z przedstawicieli obydwu parlamentów".

Zarówno Eduard Beneš, jak i Władysław Sikorski przewidywali możliwość przyłączenia się innych państw Europy środkowowschodniej do związku polsko-czechosłowackiego. W ten sposób powstałaby nowa organizacja polityczno-gospodarcza między Bałtykiem a Morzem Czarnym i Adriatykiem.

Obie strony były zgodne, że przyszła konfederacja polsko-czechosłowacka powinna utrzymywać dobre stosunki z wszystkimi sąsiadami. Władysław Sikorski stwierdził, że nie zamierza kontynuować dotychczasowej polityki wobec Związku Radzieckiego. W odpowiedzi na memorandum Beneša 3 grudnia 1940 r. pisał między innymi:

„Należy się obawiać, że z chwilą klęski Niemiec, Rosja może zechcieć skorzystać z okazji, aby ustalić komunistyczne reżimy nie tylko w Warszawie i Pradze, ale nawet w Berlinie, to znaczy u bram Europy Zachodniej... I nie sądzę, aby pojednawcze, a nawet potulne stanowisko naszych obu Rządów mogło powstrzymać Rosję na tej drodze ekspansji".

W intensywnej korespondencji między Sikorskim i Benešem kontrowersje budziła sprawa Zaolzia. Eduard Beneš kategorycznie odrzucał to, co zostało wymuszone po 19 września 1938 roku. Władysław Sikorski zaś podkreślał integralność terytorialną Rzeczypospolitej Polskiej według granic z 1 września 1939 roku.

Od siebie dodam, że myśl o wspólnocie politycznej Czechów i Polaków ma długą tradycję. Zjednoczenia obu narodów pod wspólnym berłem dokonali królowie Bolesław Chrobry i Wacław II. Nie były to jednak dobre doświadczenia. A później husyci zaproponowali Władysławowi Jagielle tron po Wacławie IV. Król nasz z sympatią odniósł się do tego ruchu i pragnął przymierza z Czechami. Ale Kościół, mający swoje interesy, wymusił na Jagielle podjęcie represji przeciw husytom w kraju i zrezygnowanie z korony czeskiej.

WIDMO ZJEDNOCZENIA NIEMIEC

Pięć lat temu pisałem w „Odgłosach" o historycznym znaczeniu Łaby. Rzeka ta, którą Czesi nazywają Labą, a Niemcy Elbą, trzy razy w ciągu naszej ery stanowiła granicę cywilizacyjno-kulturową. Najpierw dzieliła ludy słowiańskie od germańskich (VI—XII w.), później była linią tzw. dualizmu gospodarczego (XVI—XVIII w.), a ostatnio rozgraniczyła dwa odmienne ustroje i bloki wojskowe (1945—1990). W tym samym artykule podkreślałem wówczas, że w całej swej historii naprawdę jednolite Niemcy istniały bardzo krótko. Normalnym stanem było wręcz monstrualne rozdrobnienie polityczne. W momencie wybuchu Wielkiej Rewolucji Francuskiej pojęcie Niemiec obejmowało aż 289 odrębnych państw! Obok potężnych Prus i Austrii funkcjonowały maleńkie państewka. Utworzony na kongresie wiedeńskim Związek Niemiecki był już uproszczoną konfederacją, która wciąż jeszcze obejmowała 41 państw: jedno cesarstwo (Austria), pięć królestw (Prusy, Bawaria, Hanower, Saksonia, Wirtembergia), siedem wielkich księstw, dwadzieścia trzy księstwa, jedno hrabstwo i cztery wolne miasta (Frankfurt, Hamburg, Brema, Lubeka). Natomiast zjednoczone Niemcy trwały tylko od 1871 r. do 1945 roku i zdążyły wywołać dwie wojny światowe.

Jeśli uświadomimy sobie podane wyżej fakty, to łatwiej zrozumiemy zaniepokojenie wielu ludzi kwestią ponownego zjednoczenia Niemiec. Poza tym trzeba uwzględnić realia gospodarcze, o których tu również wspomniałem.

W tygodniku wrocławskim „SPRAWY I LUDZIE" (nr 7) Julian Bartosz wyraża zaniepokojenie, że niektórzy bagatelizują sprawę zjednoczenia Niemiec. Na tytułowej stronie pisze między innymi:

„Dla uspokojenia Europy tysiące tub propagandowych, w tym także w języku polskim, powtarzają pewien wypracowany w bońskich ośrodkach władzy slogan, że proces jedności niemieckiej musi się dokonać w ramach czy zgoła równolegle z ewolucją ogólnoeuropejskich struktur, powstawania jednego wspólnego domu europejskiego. Trudno dziś orzec, ile jest w tym niewiedzy, ile iluzji, ile świadomego samooszukiwania się. Dynamika przeobrażeń w niemieckim obszarze jest niesamowita, zaś okrągłe europejskie gadanie odbija się pustym echem od realnie istniejącego muru poważnych sprzeczności w samych Wspólnotach Europejskich czy przepastnych różnic ekonomiczno-finansowych.

Obiektywnie biorąc równoległość procesów unifikacyjnych — Niemiec z jednej strony i Europy z drugiej — musi przy wejrzeniu w realia polityczne, a przede wszystkim ekonomiczno-finansowe wydać się czystą fikcją, dobrotliwym, naiwnym chciejstwem. Niemcy zapoczątkują znowu swą «prawdziwą historię» zanim Europa zdoła uzgodnić czym była, czym jest i czym chce być.

Nie widzę szans, aby i nasza opinia publiczna w pełni sobie to uświadomiła, nim przemówią realne i twarde fakty. Będą one przede wszystkim ekonomicznej natury, przynajmniej w pierwszej fazie nowej prawdziwej historii Niemiec. «Tylko» ekonomicznej natury — jak się powiada. Hasło sprzed roku 1914, gdy Niemcy domagały się «miejsca pod słońcem» albo zawołanie o «Lebensraum» sprzed 1939 roku — przypominam — także osadzone były w realiach ekonomicznych, w żądaniach niemieckich wodzów gospodarczych".

Na temat zjednoczenia Niemiec ciekawe badania opinii publicznej Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Polski przeprowadziły „The Economist" i „The Los Angeles Times". Wyniki publikuje tygodnik „FORUM" (nr 7).

Za zjednoczeniem Niemiec jest 61 proc. Francuzów i Amerykanów, 45 proc. Anglików i 41 proc. Polaków. Natomiast przeciwko zjednoczeniu jest 44 proc. Polaków, 30 proc. Anglików, 15 proc. Francuzów i 13 proc. Amerykanów. Większość respondentów z krajów europejskich obawia się, że zjednoczone Niemcy staną się dominującą siłą w Europie. Na pytanie — czy obawiają się, że Niemcy mogą próbować rozszerzyć swoje terytorium? — twierdząco odpowiedziało 54 proc. Polaków, 28 proc. Anglików, 26 proc. Amerykanów i tylko 15 proc. Francuzów.

Najwięcej obaw mają więc wyraźnie Polacy, ale nie wszyscy. Jerzy Surdykowski pisze w miesięczniku „ODRA" (nr 1), że postacią reliktową w obu częściach Niemiec jest ponury Prusak dybiący na piastowski Wrocław i Szczecin. W rzeczywistości pojawią się bankierzy i przedsiębiorcy niemieccy, reprezentanci jednej z najsilniejszych gospodarek świata.

Niektórzy sądzą, że najlepiej byłoby dla Europy, gdyby zjednoczone Niemcy stały się krajem neutralnym. Wariant taki uważa jednak za czystą utopię Mieczysław Pszon. W artykule wstępnym na łamach „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" (nr 8) podkreśla, że nie może być neutralne państwo będące już praktycznie mocarstwem światowym. Ale jeśli Niemcy przystąpią do Paktu Północnoatlantyckiego, to granica bezpieczeństwa Polski i Związku Radzieckiego przesunie się z Łaby na linię Odry i Nysy Łużyckiej...

„Zapewne spowodowałoby to naciski Rosjan na powiększenie swego kontyngentu wojskowego stacjonującego w Polsce. Niewiele tu pomogłoby przyjęcie wariantu ministra spraw zagranicznych RFN Genschera, zakładającego, iż wojska NATO stacjonujące do dziś w Republice Federalnej nie przekroczą Łaby także po zjednoczeniu się Niemiec. Jest to konstrukcja sztywna i nienaturalna, a przez to również utopijna. A i tak dla nas ważne jest, że dywizje radzieckie wycofałyby się z NRD właśnie do Polski. Tego zaś nie chcemy tak czy tak.

Pozostaje jedynie nadzieja, na szczęście możliwa do spełnienia, na rychłe obumarcie i rozwiązanie obu bloków. Ideałem jest Europa nie podzielona między NATO i Układ Warszawski; Europa, w której powiązania między wszystkimi państwami byłyby na tyle mocne, by zapewnić każdemu z nich poczucie bezpieczeństwa. (...)

Do czasu powstania zintegrowanej Europy i rozpadu paktów najkorzystniejsze z punktu widzenia Polski byłoby zachowanie także w zjednoczonych Niemczech status quo, jeśli chodzi o obecność na ich terenie wojsk czterech mocarstw. Problem w tym, czy Niemcy po połączeniu zechcą utrzymać ten stan rzeczy — nakłonienie ich do tego winno być właśnie zadaniem uczestników konferencji przedzjednoczeniowych.

SOCJALIZM KAPITALISTYCZNY?

Pod tym tytułem ukazał się w tygodniku poznańskim „WPROST" (nr 8) artykuł Aleksandra J. Matejki. Autor jest wykładowcą na Uniwersytecie Alberta w Edmonton (Kanada). Na wstępie pisze:

„Socjalizm państwowy, realizowany w Europie Wschodniej od późnych lat czterdziestych do dziś, faktycznie nie zdał egzaminu. Wcale jednak nie jest to jeszcze dowodem na to, jakoby kapitalizm był czymś znacznie doskonalszym. W społeczeństwach bardzo bogatych wiele rzeczy uchodzi, bo po prostu jest dostatecznie dużo dóbr wszelakiego rodzaju, aby to lub owo zmarnować. W USA np. trzeba przeznaczyć 200 miliardów dolarów na wyrównanie strat powstałych w wyniku zastosowania wysoce niedoskonałego systemu oszczędnościowo-pożyczkowego. Amerykanie nie mogą dać sobie rady z wieloma problemami. Wydaje się tam na opiekę zdrowotną dwukrotnie więcej niż w niektórych krajach zachodnich, ale spora część ludności ma faktycznie bardzo kiepską opiekę lub nie ma jej w ogóle. Narkomania jest powszechnie uznaną plagą społeczną, lecz nie znaleziono sposobu na nią i bezskutecznie usiłuje się odgrodzić USA od napływu narkotyków z zewnątrz; działania wewnętrzne nie przynoszą zaś zadowalających rezultatów. Stan szkolnictwa budzi zastrzeżenia już choćby z tego powodu, że poziom wyników nauczania pogarsza się w porównaniu z innymi krajami. Przestępczość rośnie i, co gorsza, rozprzestrzenia się na wszystkie warstwy społeczne, podczas gdy niegdyś koncentrowała się wśród najbiedniejszych".

Aleksander J. Matejko twierdzi, że szereg ograniczeń ma również socjalizm autentycznie demokratyczny: toleruje lenistwo i nieodpowiedzialność, hamuje inicjatywę oddolną, sprzyja biurokracji, ustanawia zbyt wysokie podatki itd. Ale to nie oznacza, że jest niemożliwy do urzeczywistnienia, o czym świadczy socjalizm skandynawski i austriacki. Można połączyć zalety gospodarki rynkowej z formami uspołecznienia oraz samorządność z fachowością.

W tym samym tygodniku Tadeusz Siejak broni nawet ustroju komunistycznego. Pod koniec dość obszernego artykułu pisze:

„A czym ja mogę się wylegitymować przed czytelnikiem? To będzie szokująca legitymacja. Uważam bowiem, że ktoś, kto jak ja pretenduje do bycia chrześcijaninem, nie może nie być komunistą. W tym sensie jestem komunistą. W tym sensie powinno nas tu być ponad trzydzieści milionów komunistów. Kto nie wierzy, niech jeszcze raz przeczyta Ewangelię. Trzydzieści milionów komunistów, którzy plują na sam dźwięk tego pięknego Chrystusowego słowa... Gdzież na świecie jest większe nieporozumienie?".

Tadeusz Siejak dziwi się, że ludzie w Polsce cieszą się jak małe dzieci, gdy Sejm przyjął ustawy gospodarcze sprzyjające bogatym. Zachodzi przecież obawa, że reszta społeczeństwa przekształci się w nową klasę niewolników.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— O szóstej rano budzi nas dyżurna i wystraszonym głosem mówi, że w nocy wprowadzono w Baku stan nadzwyczajny, że lotniska zablokowane, wszędzie strzelają i nie ma żadnego transportu. Za kilka minut telefonuje Czyngiz. Bardzo przejęty, mówi, że całą noc koło jego domu trwała strzelanina i prosi nas, abyśmy nie wychodzili z hotelu. Obiecuje, że dostanie się jakoś do nas i odwiezie na lotnisko. Przez półtorej godziny przez okno naliczyłem około 150 transporterów opancerzonych i dwadzieścia czołgów druzgocących gąsienicami jezdnię. Ciężarówek i biegnących truchcikiem żołnierzy nie sposób policzyć. Mija dziewiąta. Czyngiza nie ma. Decyduję się ruszyć w jego stronę. Mijam demonstrację z czarnymi flagami, ponure twarze, w rękach fotografie przewiązane czarnymi wstążkami. Tłum idzie bez słów. Słychać tylko stuk kroków. Kilkadziesiąt metrów dalej stoją żołnierze z bronią gotową do strzału. Nad głową przelatuje śmigłowiec — korespondencja RAFAŁA LEWICKIEGO z Baku.

— Po aresztowaniu Henryka Jagody, czystka którą przeprowadził Nikołaj Jeżow w organach NKWD, była równie bezwzględna jak w administracji państwowej, aparacie partyjnym i wojsku. W 1937 roku stracono trzy tysiące funkcjonariuszy. Byli wśród nich najbliżsi współpracownicy Jagody, w tym szef ochrony Kremla i wielu zbirów niższej rangi. Przy okazji Jeżow pozbył się pracowników aparatu bezpieczeństwa, którzy przeciwstawiali się polityce masowego terroru bądź nie chcieli uczestniczyć w jej realizacji. Szwagier Stalina, polski komunista Stanisław Redens, miał wejść do gabinetu Jeżowa i napluć mu w twarz, za co ten zastrzelił go na miejscu — RYSZARD BADOWSKI pisze o cichym i uprzejmym człowieku, który śpiewał romanse i wysyłał na śmierć miliony ludzi.

— Zastanawiałem się nad tym, czego bym pragnął dla siebie w Nowym Roku? Otóż największym moim marzeniem jest umrzeć dla chwały naszej świętej Rosji, w obecności jej genialnego wodza, Stalina... Szkoda mi rozstawać się z życiem, bo już dwa zegarki mam, i walizkę, i buty chromowe. Ale wiem, że po śmierci — nasza potężna Rosja opanuje cały świat i będzie nim rządzić, likwidując systematycznie elementy reakcyjne — moje imię będzie wyryte złotymi literami na marmurowej tablicy, jako bohatera światowego Związku Radzieckiego. Tak. Otóż leżę ja i kategorycznie umieram. W tym momencie otwierają się drzwi i na salę wchodzi potężnie uzbrojony oddział NKWD. Obstawiają wszystkie okna i drzwi, i trzymają broń w pogotowiu. Potem zjawiają się sami marszałkowie i generałowie, i robią szpaler od drzwi do mojego łóżka. A ja nic: leżę i umieram — kolejny fragment „Zapisków oficera Armii Czerwonej" SERGIUSZA PIASECKIEGO.

— Lokatorzy domu przy Chełmżyńskiej organizowali spotkania z mieszkańcami Kawęczyna i próbowali rozmawiać. Z sali padały propozycje stworzenia obozów ogrodzonych drutami kolczastymi. Na argumenty, łzy i przekonywania, że nosiciele HIV chcą tylko spokojnie mieszkać, nie szkodząc nikomu, odpowiedź była jedna — won! Były ulotki podpisane: Adolf i propozycje komór gazowych. Były pobicia. Ale były także podane ręce. Naznaczeni pocałunkiem śmierci wierzyli do końca, że bariera agresji jest do przełamania — reportaż BOGUMIŁA A. MAKOWSKIEGO.

— Pierwsze próby przemian własnościowych mamy już za sobą. Kuriozalna przemiana miała miejsce w Przedsiębiorstwie Transportu Handlu Wewnętrznego w Katowicach. Firmę podarowano dyrektorowi! — pisze ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI.

ze str. 1

Okresy pełnej samodzielności Bośni były krótkotrwałe. Już w XI stuleciu podlegała przejściowo Cesarstwu Bizantyjskiemu, a następnie Serbii. Począwszy od XII wieku musiała znosić wpływy węgierskie. Pod pozorem zwalczania popularnej herezji bogomiłów Węgrzy narzucili Bośni swe zwierzchnictwo. Jedyną pozostałością po bogomiłach są dziś rozsiane po całym kraju kamienne płyty grobowcowe zwane „stećkami". Na dużych ociosanych głazach przedstawiono scenki z życia codziennego, turnieje i łowy oraz wyryto symbole, znaki heraldyczne, napisy. W pewnym miejscu czytamy: *„Byłem kim jesteś, będziesz kim jestem"*.

Pod wpływem armeńskich paulicjan bogomili byli dualistami. Szatana uważali za pierworodnego syna Boga. Nie oddawali czci Marii Dziewicy. Potępiali kult krzyża, obrazów, świętych i relikwi. Wrogo odnosili się do duchowieństwa. Negowali przywileje możnowładców i porządek feudalno-kościelny. Głosili hasła o charakterze komunistycznym. W walce stosowali doktrynę biernego oporu. Był to wielki ruch prostych ludzi, którym nie podobało się chrześcijaństwo narzucone przez panów.

Posępna rzeka Losu

Choć nie ma już w Bośni bogomiłów, to wciąż żywa jest ich filozofia. Została utrwalona w legendach i przeniknęła do twórczości literackiej. Pochodzenia bogomilskiego jest manichejska wizja świata w utworach Ivo Andricia. Pokazuje on iluzoryczność postępu. Każdy łut dobra jest zaprawiony złem. Szczęściu towarzyszy zawsze nieszczęście.

W 1102 roku podbili Bośnię Węgrzy i dopiero pod koniec XIV wieku przejściowo zdobyła niepodległość. Potem znowu zależała od Węgier. A następnie została opanowana przez Turków osmańskich, którzy władali od 1463 do 1878 roku, czyli ponad cztery wieki. Panowanie ich nie sprzyjało rozwojowi kraju. Niemniej jednak Turcy pobudowali piękne meczety, zajazdy i mosty. Jeden z mostów powstał w 1571 roku w Wyszegradzie. Kazał go wznieść na swój koszt wielki wezyr Mehmed-pasza Sokolowić, pochodzący z pobliskiej wioski Sokolowici.

Zaczęło się od mostu.

Na początku XVI wieku Wyszegrad był ubogą osadą, nad którą górował zamek bośniackich wielmożów Pavloviciów. Na drugą stronę Driny można się było dostać tylko promem. W 1516 roku przeprawiali się nim Turcy uwożący do Stambułu chłopów przeznaczonych do oddziału janczarów. Wśród poborowych znajdował się przyszły wezyr. Miał wówczas 10 lat. Nadrzeczna osada utkwiła mu głęboko w pamięci.

„Zapamiętał skalisty brzeg, z rzadka porosły ogołoconą z liści, szarą wilgliną, szkaradnego przewoźnika i walący się, pełen pajęczyny młyn na wydmuchowie, gdzie musieli nocować, zanim udało się wszystkim przeprawić przez mętną Drinę, nad którą kracząc unosiły się wrony. Wspomnienie tego miejsca, gdzie droga się urywa, a beznadziejna i przygnębiająca nędza piętrzy się i narasta na skalistych brzegach rzeki, przez którą przeprawa jest trudna, niebezpieczna i kosztowna, chłopak uniósł ze sobą niby stały ból fizyczny tkwiący gdzieś w głębi duszy, wzmagający się niekiedy tak, iż zda się, że serce pęknie. Było to jedno z najsmutniejszych miejsc tej ubogiej i górzystej krainy, gdzie bieda jest jawna i oczywista, a człowiek ograniczony potęgą żywiołu i zawstydzony własną niemocą musi lepiej się przyjrzeć własnej i cudzej niedoli i zacofaniu".

Przymusowo wywieziony z rodzinnej wsi chłopiec musiał zmienić imię i wiarę religijną. Udało mu się jednak zrobić wielką karierę. Został zięciem sułtana i naczelnym dowódcą floty tureckiej. Pod koniec życia przypomniał sobie niebezpieczną przeprawę w Wyszegradzie i polecił zbudować tam most. Budowniczym był znany architekt Mimar Sinan.

W górnym i średnim biegu Driny wyszegradzki most stanowił jedyne stałe i niezawodne przejście. Dzięki temu osada przestała być izolowana od świata. Została włączona w nurt historii gospodarczej i politycznej. Przekształciła się w prowincjonalne miasteczko (kasabę) z własną dzielnicą handlową (czarsziją).

Pośrodku mostu umieszczono naprzeciw siebie dwa jednakowe balkony (5 x 5 kroków) zwane kapiją, czyli wnęką, wykuszem. Chętnie przesiadywali tam mężczyźni. Niektórzy do późnych godzin nocnych grali w karty, dyskutowali, pili kawę. Pewien przyjezdny żartowniś powiedział, że kapija kształtuje charakter mieszkańców. Wyszegradzianie lubili bowiem marzyć i kontemplować. Uchodzili za ludzi beztroskich, lekkomyślnych, rozrzutnych, skłonnych do używania życia. Nie oczekując postępowych zmian, nie usiłowali dorabiać się, lecz żyli teraźniejszością i bezwiednie upiększali przeszłość.

Na taki charakter mieszkańców Wyszegradu w dużo większym stopniu, niż przesiadywanie na kapii mostu, wpłynęły cykliczne klęski wielkich powodzi.

W podobnych warunkach geograficznych żyje większość mieszkańców wschodniej Bośni, Hercegowiny, Chorwacji, Czarnogóry i zachodniej Serbii. Stąd można mówić o typie człowieka dynarskiego. Ivo Andrić pisze w „Przygrożnych znakach", że ludzie ci nie potrafią wytrwać w żadnym postanowieniu. Już po pierwszym uniesieniu opuszczają rozpoczętą pracę, zamiast ją konsekwentnie doprowadzić do końca.

Współistnienie trzech ludów.

Pod panowaniem tureckim większość szlachty bośniackiej przyjęła islam. Mogła dzięki temu zachować majątki i przywileje oraz brać udział w rządzeniu krajem. Z czasem Bośnia uzyskała nawet pewną odrębność w ogromnym Imperium Ottomańskim, lecz większą swobodą cieszyła się Serbia, a prawie całkowitą niezależność zachowała Czarnogóra.

Mniejsze postępy poczyniła islamizacja wśród chłopów bośniackich. Najłatwiej porzucali chrześcijaństwo bogomili, którzy mieli dość statutu heretyków, ciągłych prześladowań i węgierskich wypraw krzyżowych. Ale w większości chłopi pozostali chrześcijanami i patriotami. Niechętnie znosili jarzmo tureckie. Stopniowo dochodzili do świadomości narodowej.

W okresie tureckim ludność Bośni dzieliła się na trzy grupy etniczne: słowiańską, turecką i żydowską. Odpowiadały im trzy wyznania religijne: chrześcijaństwo, islam i judaizm. Należy podkreślić, że Turcy odznaczali się znaczną tolerancją religijną. Nie mieli również żadnych przesądów rasowych. W ich państwie znaleźli schronienie i pomoc Żydzi wygnani w 1492 roku z katolickiej Hiszpanii. Żydom zresztą lepiej się powodziło niż chrześcijańskim Słowianom bałkańskim.

Już pod koniec XVIII stulecia Turcja była kolosem na glinianych nogach. Stwarzało to zachętę dla podbitych narodów. Na początku XIX wieku wybuchło powstanie w Serbii. Na jego czele stanął Jerzy Petrowić, zwany Czarnym Jerzym (Karadjordje). W 1875 roku rozpoczęło się powstanie w Hercegowinie, które w następnym roku objęło również Bośnię. O wydarzeniach tych czytamy w powieści „Most na Drinie".

Zarysowujący się rozpad imperium tureckiego i wzrost dążeń niepodległościowych narodów bałkańskich wiązały się z rywalizacją Rosji, Austro-Węgier, Anglii, Francji i Niemiec. W celu uregulowania tych spraw podpisano 13 lipca 1878 roku traktat berliński. Przyznał on Austro-Węgrom prawo wojskowej okupacji Bośni i Hercegowiny. Opór ludności muzułmańskiej został krwawo stłumiony.

Czas szybkich przemian.

Porządek austro-węgierski przyniósł Bośni postęp cywilizacyjny. Stopniowo opuszczali Wyszegrad obcy żołnierze, a zaczęli napływać cudzoziemscy urzędnicy i specjaliści: Czesi, Polacy, Chorwaci, Węgrzy, Niemcy. Obok hiszpańskich Żydów (sefardyjczycy), którzy mieszkali tam od dawna, zjawili się Żydzi galicyjscy (aszkenazyjczycy).

Przybysze zaskoczyli wyszegradzian dobrze obmyślanymi planami zmian oraz niezwykłą pracowitością, wytrwałością i konsekwencją. Nikomu nie dawali spokoju. Naturalny bieg życia ludności — od kołyski po grób — skrępowali siecią różnych przepisów. W mieście ciągle coś burzyli, budowali, remontowali. Wyrównali ulice, rozszerzyli rynek, oznakowali domy, postawili latarnie, założyli wodociąg, naprawili most, zaprowadzili czystość na kapii.

Mieszkańcy przyjmowali to wszystko z rezerwą i oporami. Niektóre zarządzenia próbowali sabotować. Po krótszym lub dłuższym wahaniu płynęli jednak z nowym prądem życia społecznego. Niebawem zaczęli odczuwać dobrodziejstwa rozwoju gospodarczego.

„Były to trzy dziesięciolecia względnego dobrobytu i pozornego spokoju za panowania Franciszka Józefa, kiedy to niejeden Europejczyk wyobrażał sobie, iż wykrył bezbłędną formułkę na urzeczywistnienie stuletnich marzeń o pełnym, szczęśliwym rozwoju jednostki w ogólnej wolności i postępie, kiedy to wiek XIX rozpościerał przed oczami milionów ludzi swoje różnorodne, złudne dobrodziejstwa, stwarzając iluzję komfortu, bezpieczeństwa i szczęśliwości dla wszystkich i dla każdego z osobna po przystępnych cenach i na raty. A do zabitej deskami bośniackiej kasaby dochodziły tylko okruchy tego dziewiętnastowiecznego życia, i to w takiej mierze i formie, w jakiej to zacofane, orientalne środowisko mogło je przyjąć, na swój sposób przetrawić i przystosować".

Na początku XX wieku przez Wyszegrad poprowadzono wąskotorową linię kolejową. Pierwszy pociąg przejechał tędy latem 1904 roku. Podróż do Sarajewa trwała zaledwie cztery godziny, a nie dwie doby jak dyliżansem. Postęp był więc niewątpliwy. Zachwytu mieszkańców nie podzielał tylko zawsze sceptyczny Alihodża Mutewelić. Przestrzegał wyszegradzian, że kiedyś Szwaby powiozą ich tam, dokąd nie będą mieli ochoty i zamiaru się wybrać. Cel podróży i sposób wykorzystania zaoszczędzonego czasu mają ważniejsze znaczenie niż prędkość jazdy. Jeśli bowiem zmierza się do piekła, to lepiej iść powoli...

Janusowe oblicze postępu.

Podczas budowy kolei wyszegradzianie poznali meandry rozwoju. Jedni się wzbogacili, inni zubożeli. Zarobki były wprawdzie wysokie, ale rosły też koszty utrzymania. Po każdym skoku w górę ceny nie wracały do poprzedniego poziomu. Wszyscy mimo woli uczestniczyli w jakiejś kapryśnej grze, której wyników nie mogli przewidzieć. Posępna rzeka Losu według nieodgadnionych reguł obdarzała dobrem i złem.

W październiku 1908 roku sytuacja nieoczekiwanie skomplikowała się. Austro-Węgry oficjalnie dokonały aneksji Bośni i Hercegowiny. Miało to być z pożytkiem dla miejscowej ludności, lecz spowodowało nowe wrzenie polityczne. W mieście nad Driną pojawiło się dużo wojska. Byli to przeważnie rezerwiści różnych narodowości. Zbudowali umocnienia na granicy z Serbią i zaminowali most. Po kilku miesiącach nastąpiło odprężenie, część oddziałów wojskowych wycofano, ale stary most pozostał zaminowany. Nawet prości ludzie wyczuwali, że kolejny przełom Losu grozi katastrofą.

Pod względem obiektywnym w Wyszegradzie dokonał się ogromny postęp. Nie można jednak stwierdzić, że ludzie byli bardziej szczęśliwi. Postęp nie jest tożsamy ze wzrostem szczęścia. Człowiek szybko przyzwyczaja się do wygód i ułatwień. Potrzeby rosną szybciej niż możliwości zaspokojenia. A poza tym zawsze rzeczom dobrym i pożytecznym towarzyszy jakieś zło. Wiedzieli to już bogomili i dawni muzułmanie.

„Tak to już życie ludzkie jest urządzone — i sam Stwórca Jedyny tak chciał — że każdy łut dobra jest zaprawiony dwoma łutami zła, że na tym padole nie ma dobroci bez nienawiści ani wielkości bez zawiści, podobnie jak nie ma nawet najmniejszego przedmiotu, by nie rzucał cienia".

Manichejska filozofia życiowa wkrótce się potwierdziła. Postęp społeczny oznaczał m.in. gwałtowny wzrost aspiracji i możliwości edukacyjnych. W szkołach znaleźli się synowie chłopów i drobnych rzemieślników. Z gimnazjów i uniwersytetów wynosili idee o prawie narodów do wolności oraz człowieka do godnego i szczęśliwego życia. Uświadomieni politycznie zaczęli organizować spiski. Jeden z nich wywołał straszliwą lawinę. Członkowie narodowo-rewolucyjnej grupy „Młoda Bośnia" dokonali 28 czerwca 1914 r. na moście w Sarajewie udanego zamachu na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, następcę tronu Austro-Węgier.

Apokaliptyczny koniec belle époque.

Kiedy nieletni Gavrilo Princip strzelał do bratanka cesarza wyszegradzianie szykowali się do radosnej zabawy. Nie wiedzieli, że posępna rzeka Losu zmierza do nieszczęścia. Niebawem żandarmi stanowczo przerwali roztańczone koło. Później rozpoczęła się nagonka na niewinnych Serbów. Nastąpił podział ludności na ścigających i ściganych. Runęły bariery dobrych obyczajów. Zło zdobyło przewagę nad dobrem.

„W kilka chwil zmieciona została opierająca się na odwiecznych tradycjach czarszija, którą zawsze nurtowała utajona zawiść, zazdrość i fanatyzm religijny, ale i godność, wspaniałomyślność, poczucie ładu i porządku, uczucia, co wszystkie złe instynkty i przywary utrzymywały w znanych ryzach i ostatecznie łagodziły i podporządkowywały ogólnym interesom wspólnego bytowania".

W nadgranicznym Wyszegradzie wcześniej rozpoczęły się działania wojenne. Artyleria serbska ostrzeliwała miasto i most na Drinie. Pewnego dnia potężny wybuch wstrząsnął mostem, który dobrze służył ludziom przez 343 lata, a teraz pozbawiono go siódmego filaru. Do tego doprowadził szwabski porządek. Poznał się na nim już dawno Alihodża Mutewelić.

„A niech tam, myślał sobie, jeśli tu się wali, gdzieś się przecież buduje. Pewnie są jeszcze gdzieś spokojne kraje i rozumni ludzie, którym nieobca miłość Boża. Jeśli nawet Bóg opuścił tę nieszczęsną hasabę nad Driną, to chyba nie cały świat i wszystkie ziemie pod słońcem? Przecież i oni nie będą wiecznie triumfować".

Dalszy bieg dziejów.

Po wojnie skończyło się szwabskie panowanie. Bośnia i Hercegowina weszły w skład Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców. W 1929 roku państwo to zmieniło nazwę na Królestwo Jugosławii. A dwanaście lat później znowu nieproszeni przyszli Niemcy...

W okresie II wojny światowej Bośnię i Hercegowinę włączono do tzw. Niepodległego Państwa Chorwackiego utworzonego przez niemiecko-włosko-węgierskie władze okupacyjne. Bezpośrednie rządy sprawowali chorwaccy faszyści (ustasze) rekrutujący się głównie z muzułmanów i katolików. Wymordowali oni setki tysięcy Serbów i Żydów. Wielu mieszkańców uciekło w góry i zasiliło potężną partyzantkę komunistyczną. Nad dopływem Driny, Sutjeską, toczyła się w 1943 r. najbardziej krwawa bitwa. Nakręcono na ten temat film fabularny. W roli Josipa Broz Tito wystąpił Richard Burton.

Po wyzwoleniu w 1945 r. przez oddziały partyzanckie Bośnia i Hercegowina stanowią jedną z sześciu republik Jugosławii. Na obszarze 51 129 km. kw. mieszka 4 mln 300 tys. ludzi. Stolica kraju, Sarajewo, liczy pół miliona osób. Natomiast Wyszegrad (Visegrad) ma około 5 tysięcy mieszkańców. Nadal stoi słynny most na Drinie. Nie każdy przechodzeń uświadamia sobie, że chodzą po nim ludzie i zwierzęta od 419 lat. Poznał więc już czternaście pokoleń wyszegradzian.

EDMUND LEWANDOWSKI

Z konferencji prasowej w URM

Nasze granice — częścią porządku europejskiego

Na tej konferencji prasowej premiera RP, Tadeusza Mazowieckiego było szczególnie tłoczno. 21 lutego, do Urzędu Rady Ministrów przybyło kilkanaście ekip telewizyjnych, radiowych, liczni dziennikarze gazet i agencji z kraju i całego świata. Bo też i temat konferencji był wyjątkowo ważki, szczególnie dla nas — Polaków: stanowisko Polski w sprawach dokonującego się obecnie procesu zjednoczenia Niemiec, a także udziału Polski w międzynarodowych rozmowach na ten temat.

Konferencja rozpoczęła się od oświadczenia premiera RP, który stwierdził:

— *Zaprosiłem państwa nie dlatego — chciałbym to jasno stwierdzić wobec polskiej opinii publicznej — że widzimy, zwłaszcza obecnie, jakieś zagrożenie dla naszej granicy zachodniej. O kształcie tej granicy nie zamierzamy z nikim pertraktować, ona jest ustaloną częścią porządku europejskiego. Zaprosiłem państwa dlatego, że uważamy — i to jest punktem wyjścia naszego stanowiska — iż w nową fazę historii, jaką stwarza proces zjednoczenia Niemiec, a zwłaszcza w nową fazę historii stosunków polsko-niemieckich, nie wolno wejść z jakimikolwiek dwuznacznościami w sprawie granicy Niemiec, w sprawie polskiej granicy zachodniej. Podejmując ten problem nie kierujemy się żadnymi urazami z przeszłości, ale realną oceną potencjalnych niebezpieczeństw, które pozostawienie takich dwuznaczności może stworzyć. Wiemy, że w obu częściach Niemiec zmieniło się wiele, że wyrosło nowe pokolenie. Nie chcemy jednak przechodzić obojętnie obok faktu, że w Niemczech zachodnich powstała zajmująca określone stanowisko i wyrażająca określone tendencje Partia Republikańska — tak samo jak nie możemy przejść ponad pewnymi akcentami nacjonalistycznymi, np. manifestacji w Lipsku w ostatnim okresie.*

Są to sygnały, które mają dla nas istotne znaczenie jako pewne ostrzeżenie. Wiele razy mówiliśmy również naszym rozmówcom z Niemiec zachodnich, mówiłem to osobiście kanclerzowi Kohlowi w czasie jego pobytu w Polsce, że trzeba brać pod uwagę, iż inaczej brzmi dla polskiego ucha, jeżeli polityk niemiecki, zwłaszcza reprezentujący państwo takie jak RFN, mówi: „Ja nie mogę się wypowiadać za Republikę Federalną Niemiec, ale stwierdzam, że również w wypadku zjednoczenia Niemiec będę stał na stanowisku nienaruszalności zachodniej granicy Polski". *A inaczej brzmi, jeżeli słyszymy tylko, że można się wypowiedzieć za RFN, a reszta jest otwarta i niewiadoma.*

Otóż uważamy, że w tę nową fazę historii nie wolno wejść z jakimikolwiek dwuznacznościami w tej sprawie. Nie możemy dopuścić do tego, żeby wytworzyła się jakaś prawna czy polityczna próżnia, żeby ktoś powiedział: „Traktat zgorzelecki to traktat zawarty przez państwo, które już nie istnieje i traktat z RFN to także traktat zawarty przez państwo, które już nie istnieje, czy się przekształciło, a teraz zacznijmy dyskusję od zera". *Do tej sytuacji, jak również do utrzymywania się jakichkolwiek dwuznaczności, dopuścić nie wolno. I dlatego domagamy się, ażeby jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec nastąpiło całkowite usunięcie tych dwuznaczności.*

Premier Tadeusz Mazowiecki przypomniał następnie wielokrotnie zgłaszane przez Niemców postulaty ostatecznego uregulowania problemu ich granic w traktacie pokojowym, deklarując przy tym w imieniu Polski gotowość zawarcia takiego traktatu. — *Uważamy* — powiedział — *że taki czy inny układ w formie traktatowej, o charakterze i znaczeniu prawnym, odpowiadającym pokojowemu uregulowaniu traktatowemu, powinien być parafowany po wyborach w NRD przez rządy obu państw niemieckich i Polskę — a podpisany ostatecznie przez rząd zjednoczonego państwa niemieckiego i Polskę. Z tego powodu — powiedział dalej — wysunęliśmy potrzebę obecności Polski w negocjacjach, które znane są pod formułą „2+4". Polska nie aspiruje do takiego samego statusu jak którekolwiek z dwu państw niemieckich i którekolwiek z wielkich mocarstw. Natomiast uważam, że w tych sprawach, które dotyczą bezpieczeństwa sąsiadów Niemiec, a w szczególności nas — a spośród sąsiadów Niemiec my właśnie mamy tysiąckilometrową z nimi granicę — że w tych sprawach musimy być obecni. Uważam* — powiedział premier — *że ta godzina historyczna, w której następują procesy jedności niemieckiej, jest też godziną historyczną, w której będzie się sprawdzać wartość wszelkich słów i deklaracji mówiących o gotowości Niemiec do pojednania z sąsiadami. Wiele razy mówiliśmy, że chcemy tego pojednania, dawaliśmy tego dowody — ale mówiliśmy zarazem, że warunkiem niezbędnym tego pojednania jest, bez wszelkich dwuznaczności, uznanie nienaruszalności naszej granicy zachodniej.*

Odpowiadając na pytania dziennikarzy premier Tadeusz Mazowiecki stwierdził m.in., że najskuteczniejszą gwarancją ochrony interesów Polski jest zbudowanie silnego, demokratycznego państwa. Nie bez znaczenia będą tu czynniki zewnętrzne, zwłaszcza stosunki ze Związkiem Radzieckim. Przeszliśmy z sojuszu o charakterze ideologicznym na sojusz pomiędzy dwoma państwami. 25-minutowa rozmowa premiera z Michaiłem Gorbaczowem oraz opublikowany ostatnio wywiad radzieckiego przywódcy dowodzą, że ZSRR respektuje zawarte z nami umowy i żadnego cofnięcia w naszych stosunkach nie będzie.

Premier odniósł się także do kwestii bezpieczeństwa oraz możliwości posiadania broni jądrowej przez Niemcy. *Polska* — stwierdził premier RP — *wypowiadała się zawsze przeciwko rozprzestrzenianiu broni jądrowej na inne kraje. Tym bardziej więc nie powinny wejść w jej posiadanie Niemcy. Każdy naród pragnie* — powiedział — *aby go broniły własne wojska, lecz we współczesnym świecie istnieją sojusze wojskowe gwarantujące bezpieczeństwo danego kraju. W tym kontekście oraz w sytuacji, w jakiej się dziś znajduje nasz kraj, należy dbać o te sojusze. Rząd polski opowiada się za wycofaniem w przyszłości wojsk radzieckich z Polski, ale nie stawia tej sprawy już dziś w sposób jednoznaczny. Może to być sprzeczne* — zaznaczył premier — *z poglądami wielu szanowanych w kraju osób, lecz to rząd jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa.*

Ustosunkowując się do pytania na temat młodzieży, która często posługuje się hasłami w rodzaju: *„Sowieci do domu"*, T. Mazowiecki stwierdził, iż ma tej młodzieży wiele do powiedzenia. Pragnie, aby młode pokolenie Polaków rozumiało, że żyjemy w czasach, w których dokonuje się pojednanie narodów. Dlatego powinna żyć w przyjaźni z sąsiadami, z innymi narodami. Młodzież powinna szanować swoich sąsiadów i rozumieć, że dziś nastał czas pracy a nie ulicznych manifestacji, że wszyscy razem możemy wiele zrobić.

Z wypowiedzi premiera warto jeszcze zwrócić uwagę na trzy sprawy — wydatki na cele wojskowe, kwestie gospodarczo-finansowe i wreszcie mniejszości niemieckiej w Polsce. Wydatki na cele wojskowe w Polsce nie zostaną ograniczone. Nie można bowiem domagać się zmniejszenia armii i jednocześnie nalegać na wzmocnienie obronności kraju. Obecny rząd odziedziczył wielkie zadłużenie i musi się z tym uporać. Jednakże zważać będzie, aby obcy kapitał inwestycyjny, w tym kapitał niemiecki, nie ograniczył suwerenności Polaków i powodów do niepokoju w tej kwestii na razie nie ma.

— *Prawdą jest* — stwierdził premier w sprawie mniejszości — *że przez wiele lat nie respektowano praw mniejszości niemieckiej. Lecz czasy te należą do przeszłości i odtąd będziemy te prawa szanowali.* Przestrzegał jednocześnie przed dalszym wykorzystywaniem i nadużywaniem problemu mniejszościowego w stosunkach polsko-niemieckich. *Żaden naród* — stwierdził na koniec — *nie może żyć w niepewności lub obawie, że jego granice mogą być co kilka lat przesuwane.* Stanowczo ostrzegł przed wywoływaniem tego problemu, który dotyczy nie tylko Polski.

MARIAN ZDROJEWSKI

Biografie ludzi stalinizmu w Polsce — Roman Romkowski.

Kierował X Departamentem

Pięćdziesiąt pięć lat temu ukazał się w Krakowie pierwszy zeszyt monumentalnego „Polskiego Słownika Biograficznego", w którym miały znaleźć miejsce osoby czynne w polskim życiu państwowym i narodowym bez względu na pochodzenie i ocenę ich działalności. Słownik, przeznaczony dla inteligencji, zawierał wyłącznie informację — bez wysławiania lub zniesławiania przedstawianych postaci, oceny ich zasad czy programów. Przed wojną wyszły cztery tomy słownika. Dociągnięto je do litery „D". Wznowiony po wojnie w 1946 roku miał początkowo nakład 2200 egzemplarzy, potem 4000, obecnie 9920.

Ostatni zeszyt słownika nosi nr 132 i otwiera tom XXXII. Zawiera hasło od „Rom" do „Ros". A więc daleko mu jeszcze do zakończenia. Znaczna część nakładu trafia do bibliotek. Mimo zapowiedzianych reprintów jest to wydawnictwo ekskluzywne, znane nielicznym. Dlatego warto upowszechnić niektóre jego hasła, zwłaszcza przedstawiające postacie budzące emocje. Jedną z nich jest niewątpliwie **Roman Romkowski** — były wiceminister bezpieczeństwa publicznego, jeden z czołowych eksponentów stalinizmu w Polsce, którego oficjalny życiorys zawierał wiele luk.

Romkowski Roman, pierwotnie **Grünspan-Kikiel Natan**, był synem robotnika w zakładzie rzeźnickim w Krakowie. **Nazwiskiem Natan Grünspan posługiwał się do 1930 roku.** W 1935 roku zmienił je na **Kikiel**. Imieniem i nazwiskiem **Roman Romkowski** legitymował się w latach 1930—1935 w czasie pobytu w ZSRR, a potem już na stałe od 1939 roku.

Jako 13-letni chłopiec zapisał się w 1920 roku do Poale-Syjon-Lewicy — żydowskiej partii robotniczej, która wiązała sprawę społecznego wyzwolenia proletariatu żydowskiego z dążeniem do odbudowy jego narodowego państwa w Palestynie. Lewica Poale-Syjonu miała kontakty z Międzynarodówką Komunistyczną. Mało kto dziś pamięta, że była reprezentowana w Krajowej Radzie Narodowej jako Związek Robotników Żydowskich i miała swoich przedstawicieli w powojennym Sejmie. Popierała program budowy Polski Ludowej i współpracy z ZSRR. W 1949 roku rozwiązała się wskutek wyemigrowania większości członków do Izraela.

Roman Romkowski był krótko członkiem Poale-Syjon-Lewicy. W 1924 roku wstąpił do Związku Młodzieży Komunistycznej, a od marca 1930 roku działał w Komunistycznej Partii Polski.

Jako nieletni chłopiec pracował w fabryce skrzyń w Krakowie, potem terminował w zakładzie krawieckim, wreszcie, mając 16 lat, zaczął pracować w sortowni węgla w kopalni „Libiąż". Pierwszy raz został aresztowany w wieku 17 lat **(1924 rok) za działalność komunistyczną. Skazano go na 3 lata więzienia. Ponownie był aresztowany w 1928 roku (odsiedział półtora roku). Następnie** w 1936 roku (wyrok siedem lat).

W 1930 roku znalazł się po raz pierwszy w **ZSRR** jako delegat V Zjazdu KPP w Peterhofie pod Leningradem (obecnie Pietrodworiec). Wkrótce wyjeżdża tam ponownie, od lutego 1931 roku do połowy 1934 roku kształci się w Komunistycznym Uniwersytecie Mniejszości Narodowych Zachodu. W Moskwie przechodzi też przeszkolenie wojskowe.

Jako Roman Romkowski zostaje przyjęty w 1931 roku do WKP(b). Po studiach skierowano go do Międzynarodowej Szkoły Leninowskiej, kształcąc na działacza Kominternu.

Po powrocie do Polski w sierpniu 1935 roku tylko pół roku przebywał na wolności. Aresztowany w Zagłębiu Dąbrowskim, karę więzienną odbywał w Mysłowicach, Katowicach i Rawiczu jako **Kikiel**.

We wrześniu 1939, po wydostaniu się z Rawicza, udał się do Brześcia nad Bugiem, gdzie pracował w administracji radzieckiej na skromnym stanowisku urzędniczym w Miejskim Wydziale Kwaterunkowym, potem w Wydziale Handlu. „Prześwietlano" go prawdopodobnie jako członka rozwiązanej KPP. Od lutego do czerwca 1941 roku był brzeskim korespondentem wydawanego w Mińsku w języku polskim „Sztandaru Wolności".

W 1941 roku przyjęto go ponownie do WKP(b). Po napadzie Niemiec na ZSRR przybrał pseudonim **Jaszka**, pod którym wziął udział w utworzeniu 35-osobowego oddziału partyzanckiego, na czele którego stanął w lipcu 1941 roku. Oddział rósł w siłę i przekształcił się w brygadę im. Józefa Stalina. **Roman Romkowski** został komisarzem politycznym brygady, szefem wydziału wywiadu i kontrwywiadu oraz dowódcą oddziału specjalnego. Pod taką nazwą kryły się zazwyczaj jednostki NKWD. Otrzymał ordery Czerwonego Sztandaru i Czerwonej Gwiazdy. W 1944 roku awansował na majora.

W maju 1944 roku skierowano go do Centralnego Biura Komunistów Polski w ZSRR znajdującego się w Moskwie, skąd 1 sierpnia 1944 roku wyjechał do kraju, gdzie miał się zameldować u kierownika Resortu Bezpieczeństwa Publicznego w Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego w Lublinie, **Stanisława Radkiewicza**.

We wrześniu 1944 roku radziecki partyzant **Roman Romkowski**, tylko przez 2,5 miesiąca związany z działalnością centrali komunistów polskich w Moskwie, objął w resorcie bezpieczeństwa funkcję kierownika Wydziału Kontrwywiadowczego i jednocześnie wstąpił do PPR. **Na I Zjeździe PPR w grudniu 1945 roku został zastępcą członka KC PPR**, ale wybór jego nie został podany do publicznej wiadomości, podobnie jak niektórych innych wysokich funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego i grupy generałów Wojska Polskiego.

O tym wszystkim dowiedzieć się można z noty biograficznej opracowanej przez **Longina Tadeusza Szmidta** na podstawie karty ewidencyjnej **Romana Romkowskiego** w Archiwum Ruchu Robotniczego w Warszawie, jego teczki osobowej i innych materiałów, w tym publikacji **Józefa Światły**. Wiele informacji autor noty zaczerpnął z rozmów osobistych z byłym ministrem MBP, **Stanisławem Radkiewiczem**.

W styczniu 1946 Roman Romkowski został wiceministrem MBP. W 1947 roku awansowano go do stopnia generała brygady. Od Zjazdu Zjednoczeniowego w grudniu 1948 roku **do stycznia 1955 roku był członkiem KC PZPR.**

Kiedy w grudniu 1949 roku **Bolesław Bierut** podjął decyzję utworzenia Biura Specjalnego MBP, przemianowanego później na osławiony X departament, **Roman Romkowski** został jego organizatorem. Komórka Romkowskiego miała obowiązek „dbania o czystość szeregów partyjnych". W niej zbiegały się nici wszystkich poważniejszych prowokacji. To **Roman Romkowski** miał przygotować proces **Władysława Gomułki**.

Roman Romkowski odpowiadał za organizację pokazowych procesów. Podlegały mu wszystkie formy cywilnego sądownictwa specjalnego, w tym „sekcja tajna", która służyła głównie do skazywania na karę śmierci osób, którym z różnego powodu nie chciano wytoczyć procesów jawnych. Sekcja została zlikwidowana w 1954 roku.

Kariera Romana Romkowskiego zakończyła się 27 listopada 1954 roku, kiedy zwolniono go ze stanowiska wiceministra MBP. W styczniu 1955 roku usunięty został z PZPR. Pracował jeszcze przez jakiś czas na stanowisku dyrektora generalnego w Urzędzie Rezerw Państwowych. **23 kwietnia 1956 roku został aresztowany.** Proces przy drzwiach zamkniętych odbył się od 16 września do 11 listopada 1957 roku. Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy **Roman Romkowski został skazany na 15 lat więzienia.**

W wyniku aktu łaski został zwolniony po odbyciu 10-letniej kary. Zlitował się nad nim **Władysław Gomułka**, którego **Roman Romkowski** miał doprowadzić przed pluton egzekucyjny. Po zwolnieniu z więzienia w 1967 roku **Roman Romkowski** pracował na skromnym urzędniczym stołku w wydziale planowania Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu. **Zmarł 12 lipca 1968 roku.** Pochowano go **na Cmentarzu Komunalnym na Powązkach**. Z małżeństwa z Eleonorą z domu Kępa miał córkę i syna.

RYSZARD BADOWSKI

POLSKA — CZECHOSŁOWACJA: — Szansa na normalne ułożenie stosunków.

Vaclav Havel — symbol godności

KONRAD FREJDLICH

Na stosunkach polsko-czechosłowackich legły cieniem całe dziesięciolecia uprzedzeń i podejrzliwości, uproszczeń i negatywnych stereotypów. Najprościej byłoby za ten stan rzeczy obciążyć komunistów, którzy pomimo deklarowanego braterstwa doprowadzili niemal do zimnej wojny między dwoma państwami. Symbolem tych napięć była Stonawa i nie mające precedensu w krajach o dobrosąsiedzkich stosunkach szykany celne i dantejskie sceny rozgrywające się na wspólnej granicy.

Ale zarzewie konfliktu tliło się już w okresie międzywojnia. Na początku odrodzonej państwowości kością niezgody stał się Śląsk Cieszyński, a także spór o Spisz i Orawę. Tomasz Masaryk, twórca Republiki Czechosłowackiej wzniesionej na gruzach Austrowęgier, nie czekając na decyzje wersalskie, rozstrzygnął plebiscyt przy pomocy karabinów. Kiedy my borykaliśmy się z problemem ukraińskim, angażując swój potencjał militarny w Galicji Wschodniej, pierwszy prezydent Czechosłowacji posłał wojska na sporny teren i przyłączył Zaolzie do swego państwa. Kolejne zdobycze terytorialne nasz sąsiad uzyskał dzięki międzynarodowemu poparciu, co jeszcze bardziej wystudziło polsko-czechosłowackie stosunki, zwłaszcza gdy nie powiodła się próba ich naprawienia przez Edwarda Benesza, początkowo ministra spraw zagranicznych, a od 1935 r. następcy Masaryka na fotelu prezydenckim.

Parlament czechosłowacki nie kwapił się do ratyfikowania wynegocjowanych przez ministrą umów z Polską. Nie zostało to u nas zapomniane i chyba tym tylko wytłumaczyć sobie można łatwość, z jaką przeiknęliśmy, jako społeczeństwo, udział w haniebnym rozbiorze Czechosłowacji jesienią 1938 r., Generał Władysław Bortnowski, późniejszy bohater bitwy nad Bzurą, którego oddziały przekroczyły Olzę w dzień po marszu wojsk hitlerowskich na Sudety, nie przypuszczał chyba, że już za kilkanaście miesięcy przyjdzie mu się spotkać z armią niemiecką w nowych okolicznościach.

Wybuch II wojny światowej sprzyjał ułożeniu stosunków polsko-czechosłowackich na nowych zasadach. Kurierzy polskiego podziemia, którzy docierali do Budapesztu, mogli się niejednokrotnie przekonać o sympatii, jaką u Czechów i Słowaków budził nasz zbrojny opór. Nad głowami narodów obezwładnionych hitlerowską okupacją próbowali się też dogadać politycy. Generał Władysław Sikorski robił wysiłki w kierunku takiego porozumienia już we Francji, a po jej kapitulacji kontynuował rozmowy na terytorium Wielkiej Brytanii. To wówczas zrodziła się, odnowiona ostatnio, koncepcja konfederacji polsko-czechosłowackiej. Nie zyskała ona jednak poparcia wielkich mocarstw. Kryzys w stosunkach polsko-sowieckich po ujawnieniu zbrodni katyńskiej wywarł także swoje niekorzystne piętno na możliwościach naszej współpracy z Czechosłowacją. Benesz, który widział gwarantą niepodległości swego państwa przede wszystkim w Stalinie, co było dosyć zrozumiałe po doświadczeniach układu monachijskiego, nie chciał zadzierać z groźnym generalissimusem i zdystansował się od polskich oskarżeń. Czechosłowacka Rada Stanu, działająca na emigracji, zarzuciła nam prócz tego dążenie do przyłączenia Zaolzia, a nawet popieranie roszczeń węgierskich.

Pod koniec 1943 r. Edward Benesz podpisał z Moskwą układ o przyjaźni, wzajemnej pomocy i współpracy powojennej. Los Czechosłowacji był więc już przesądzony, jeszcze przed Jałtą. Benesz nie był sympatykiem komunizmu, zwłaszcza w wydaniu moskiewskim; był pragmatykiem, łudził się jednak, że układając się ze Stalinem wybiera mniejsze zło i oszczędzi swemu narodowi jeszcze większych cierpień. Chciał powstrzymać rosnące apetyty rodzimych komunistów, którzy w tzw. programie koszyckim, pod dyktando Moskwy, już 5 kwietnia 1945 r. niedwuznacznie określili wymarzony przez siebie porządek: reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu, uspołecznienie handlu. Front Narodowy w Czechosłowacji, a pod tym patriotycznym szyldem ukrywali się komuniści, głosił więc od początku bardziej radykalne zasady działania niż, także wydrukowany w Moskwie, manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Pomimo to władzę w Polsce objął Bolesław Bierut, a prezydentem w powojennej Czechosłowacji został Edward Benesz. Jego wpływ na życie polityczne w kraju był jednak coraz mniejszy, a w r. 1946, kiedy Front Narodowy przechwycił kluczowe stanowiska we władzy, stał się wręcz symboliczny. Dwa lata później Moskwa nie chciała już tolerować nawet i tego. Czechosłowacki lew w herbie stracił nie tylko koronę, ale też jabłko z krzyżem na tarczy, zastąpione płomieniem, na herbowym polu zapłonęła zaś pięcioramienna gwiazda, która przyozdobiła wkrótce także co ważniejsze gmachy publiczne. Stalinowski przewrót nazywał się oficjalnie udaremnieniem próby reakcyjnego zamachu stanu. To właśnie wtedy, na szczątkach zdeptanej do końca demokracji, powstała Komunistyczna Partia Czechosłowacji, wcielając do swych szeregów socjaldemokratów, a także komunistów słowackich. Edward Benesz odmówił podpisania stalinowskiej konstytucji i zrezygnował z prezydentury. Inny polityk z jego otoczenia Jan Masaryk, syn Tomasza, wcześniej popełnił samobójstwo, albo też został zamordowany, bo okoliczności śmierci tego ministra spraw zagranicznych do dziś nie zostały dostatecznie wyjaśnione. Nowym prezydentem Czechosłowacji, zgodnie ze stalinowskim wzorcem, został Klement Gottwald, dotychczasowy przewodniczący komunistycznej partii, stary agent Kominternu. To właśnie jego rządy zostały zbroczone krwią setek niewinnych ofiar nie tylko w szeregach domniemanych i rzeczywistych przeciwników politycznych, ale także w najbliższym otoczeniu, o czym świadczy najwymowniej proces tzw. centrum spisku antypaństwowego. Uczestnicy owego „spisku" zostali straceni, ich ciała spalono, a prochy rozsiano na szosie. Zważywszy, że Gottwalda zastąpił Antonin Zapotocky, także wywodzący się z Kominternu, a jego z kolei Antonin Novotny, jeden z głównych architektów antydemokratycznego przewrotu z roku 1948, waham się jak w tę plejadę przywódców powojennej Czechosłowacji wpleść człowieka innego zupełnie formatu, proweniencji i zasad — Vaclava Havla. Czy jest siódmym z kolei prezydentem po roku 1945, dziedzicząc, obok wymienionych wcześniej, także spadek po Svobodzie i Husaku? Czy też może drugim z kolei, po Benesszu, który starał się ratować, ile można, z demokratycznej przeszłości?

Do stycznia 1989 roku nazwisko Vaclava Havla było w Polsce prawie nieznane, choć przekład jego sztuki „Powiadomienie" już w 1966 r. opublikował „Dialog", a w r. 1968 na scenie Teatru Kameralnego w Krakowie wystawiony został „Puzuk czyli uporczywa niemożność koncentracji", w reżyserii Bohdana Husakowskiego. Również pod koniec 1981 r. Feliks Falk zrealizował w warszawskim Teatrze Powszechnym trzy jednoaktówki przyszłego prezydenta Czechosłowacji: „Audiencję", „Wernisaż" oraz „Protest". Spektakl ten został wznowiony w 1989 roku, kiedy Havel, po raz kolejny, przebywał w więzieniu. „Niezawisły" Sąd Okręgowy w Pradze skazał go tym razem na 9 miesięcy pozbawienia wolności. Powód? Usiłowanie złożenia kwiatów w miejscu, gdzie dwadzieścia lat wcześniej student Jan Palach dokonał aktu samospalenia protestując w ten sposób przeciw zdławieniu „Praskiej wiosny" przez najezdnicze wojska pięciu krajów Układu Warszawskiego i przeciw zadomowieniu się nad Wełtawą Armii Czerwonej — jej oddziały liczą w Czechosłowacji 75 tys. żołnierzy. W Polsce, na niewspółmiernie ważniejszym strategicznie szlaku — 40 tys. osób. Oddziały inwazyjne, które ostrzelały w Pradze fronton Muzeum Narodowego zostawiając po sobie w odbitym murze „fresk El Greczki", wyniosły jednocześnie do władzy nie tylko największy partyjny beton, ale ludzi stojących jawnie na pozycjach zdrady. Pogrzebały nie tylko reformatorów skupionych wokół Aleksandra Dubczeka, lecz również „socjalizm o ludzkim obliczu", co miało konsekwencje europejskie, jeśli nie światowe.

W roku 1968 Vaclav Havel jest przede wszystkim pisarzem, rzec by nawet można młodym pisarzem, skoro liczy sobie 32 lata. Osiągnął wszakże już pewien rozgłos, skoro jego sztuki tłumaczone są na języki obce i wystawiane w kraju. Duchowo związany jest z tą formacją umysłową, która chciała socjalizmu o ludzkim obliczu, o czym świadczy jego aktywność w Związku Pisarzy Czechosłowackich, gdzie stanął na czele Koła Pisarzy Niezależnych. Co prawda nie identyfikował się, jak stwierdza po latach, z żadną doktryną polityczną. *„Takim „uczuciowym" i „moralnym" socjalistą byłem więc i ja — i jestem nim do dzisiaj, z tą tylko różnicą, że swego stanowiska już tym słowem nie określam"* — powie w wywiadzie Karelovi Hvizdale.

W czasie, gdy wojska inwazyjne pomagały „zdrowym siłom" w rodzaju Aloisa Indry czy Vasila Bilaka koncentrować się wokół Gustava Husaka, trwał jeszcze rozpaczliwy opór zwolenników reform. Chodziło już nie tyle o uratowanie programu, bo to było niemożliwe, co o uratowanie ludzi przed zemstą konserwy — pamiętajmy, że Dubczek aresztowany i wywieziony do Moskwy, pertraktował tam z Leonidem Breżniewem stawiając godny podziwu opór (pomagał mu w tym prezydent Ludvik Svoboda) i przestał być I sekretarzem KPCz formalnie dopiero w kwietniu 1969 r. W tym czasie Vaclav Havel został dokooptowany do zarządu Związku Pisarzy, a nawet przewodniczy radzie redakcyjnej miesięcznika „Tvar". Radio czechosłowackie wyemitowało w 1968 r., już po inwazji, jego słuchowisko „Anioł stróż". Inna próba dramatyczna „Motyl na antenie", zresztą nagrodzona, nie mogła być już zrealizowana przez rodzimą telewizję — miała prapremierę w RFN.

„Zdrowe siły" w partii sięgnęły do wypróbowanych wzorców — rozpoczęły walną rozprawę z inteligencją zwłaszcza ze środowiskami twórczymi, wykreślając z kultury narodowej największe talenty. Wiele osób, wśród nich pisarz Milan Kundera i reżyser filmowy Milosz Forman, nawiasem mówiąc dość bliski przyjaciel Havla, wyemigrowało, inni dostali się na listy proskrypcyjne i zostali skierowani do pracy fizycznej: jako palacze centralnego ogrzewania, dozorcy, szatniarze, robotnicy browarni. Vaclav Havel, który w pierwszą rocznicę inwazji jest sygnatariuszem petycji „Dziesięć punktów", wystosowanej do rządu czechosłowackiego i KC KPCz, nie może liczyć na żadne względy u władz. Zresztą się o nie nie stara, wybierając świadomie los dysydenta.

Ma doświadczenie z dzieciństwa — jako „źle urodzony", gdyż miał nieszczęście przyjść na świat w dość zamożnej rodzinie, przechodził różne szczeble „socjalistycznej" reedukacji: zamknięty był przed nim wstęp na wyższą uczelnię, a nawet do gimnazjum — aby się kształcić, musiał podjąć pracę laboranta. Dopiero po niezliczonych staraniach, kiedy zelżała nieco klasowa czujność, dostaje się na wydział ekonomiczny politechniki w Pradze. Mógłby więc sobie za Rilkem, także urodzonym w Pradze, powiedzieć podsumowując własne życie:

„Nie sądźcie, że los człowieka jest czymś więcej niż tym, co streściło się w jego dzieciństwie".

A jednak zdaniem, które przyniosło Havlovi prawdziwy rozgłos i zjednało wielu przyjaciół, zwłaszcza w Polsce, była trawestacja głośnej inwokacji „Manifestu komunistycznego": *Widmo krąży po Europie, widmo dysydentyzmu.* Z polskimi dysydentami z Komitetu Obrony Robotników, spotka się potajemnie dwukrotnie na polsko-czechosłowackiej granicy. Turystyka górska sprzyjała takiej konspiracji, a sam Havel był w tym czasie członkiem Komitetu Obrony Prześladowanych za Przekonania w swoim kraju. Po przyjeździe do Polski już w charakterze prezydenta, 25 stycznia 1990 r. powie w naszym parlamencie:

— *Przypominacie sobie, Adamie Michniku, Jacku Kuroniu i Janie Lityński, nasze pierwsze tajne spotkania na granicy czechosłowacko-polskiej? Byliśmy wtedy — wy i my — tak zwanymi dysydentami, to znaczy ludźmi prześladowanymi przez policję, zamykanymi w więzieniach i ośmieszanymi.*

W dwanaście lat po tych spotkaniach wiele się zmieniło i w Polsce i w Czechosłowacji; na tyle, że dawniejsi dysydenci powitali swego czeskiego przyjaciela w ławach poselskich i senatorskich.

Kiedy w r. 1980 „wybuchła" w Polsce „Solidarność", reżim Husaka należał do najbardziej stabilnych we wschodniej Europie. W Pradze nie tylko nie brakowało wyśmienitego piwa, ale i pozostałe sklepy biły na głowę polski handel z najwspanialszego okresu gierkowskiego. Budowanie w tych warunkach jakichkolwiek nadziei na społecznym niezadowoleniu, mogło się wydawać w Czechosłowacji szaleństwem. A jednak dysydenci czechosłowaccy nie zaniechali działalności. Pod koniec 1979 r. aresztowany już wiosną Havel zostaje skazany na długoletnie więzienie pod zarzutem prowadzenia działalności antypaństwowej — łącznie spędzi w zakładach karnych blisko pięć lat. Przemówi do Polaków ze swego odosobnienia napisanym wcześniej esejem „Siła bez silnych", który ukazał się u nas w drugim obiegu w r. 1980.

„Solidarność", rzucając hasło uwolnienia więźniów politycznych, nie mogła upomnieć się o Havla i innych w wielkim obozie krajów zniewolonych przez Moskwę. Wkrótce zresztą także polskie więzienia zapełniły się zwolennikami demokracji. Ale w r. 1989, na długo przed czerwcowymi wyborami i kontraktem politycznym „Okrągłego Stołu" żądanie uwolnienia Havla, ponownie aresztowanego, wysunął nie tylko polski Pen-Club, komitet organizacyjny Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich, ale nawet neo-ZLP, a Mieczysław Rakowski jako premier PRL demonstracyjnie zasiadł w sali Teatru Powszechnego, gdzie wznowiono jednoaktówki Havla. Grane one zresztą były potajemnie także w okresie stanu wojennego, a Teatr 38 z Krakowa już w lutym 1988 wystawił „Audiencję" (reż. Piotr Szczerski). Słowa potępienia z całego świata pod adresem reżimu praskiego stanowiły dowód „siły bezsilnych".

17 listopada 1989 roku doszło w Pradze do demonstracji studenckich, brutalnie rozpędzonych przez policję. Nie było śmiertelnych ofiar, ale tym razem to wystarczyło, zwłaszcza, że Armia Czerwona pozostała w koszarach — „aksamitna rewolucja" zdmuchnęła reżim Husaka i Jakesza. Po raz pierwszy tłumom wiwatującym na ich cześć ukazali się publicznie stojący obok siebie na balkonie Aleksander Dubczek i Vaclav Havel. Pierwszy reprezentował obóz reformatorski z przeszłości, drugi — nowe pokolenie uleczone z socjalistycznych złudzeń. 29 grudnia 1989 r. Vaclav Havel został wybrany przez Zgromadzenie Federalne prezydentem Czechosłowacji.

Do fałszywego obrazu naszych południowych sąsiadów paradoksalnie przyczyniła się popularna powieść Jarosława Haszka. Dzielny wojak Szwejk upowszechnił stereotyp Czecha, który swoje wie, ale zmuszony okolicznościami przybiera różne błazeńskie miny. Nasz ideał romantyczny wymagał jawnych ofiar, śmierci przy otwartej kurtynie. Zapomnieliśmy o ofierze Jana Husa, o bitwie pod Białą Górą, o oporze Dubczeka i męczeństwie Jana Palacha. Vaclav Havel, walczący z otwartą przyłbicą, jest właśnie symbolem tyle razy deptanej czechosłowackiej godności...

Nazywam się Jan Wieruszewski, łodzianin z dziada pradziada, choć zrządzeniem losu w moim dowodzie osobistym jako miejsce urodzenia figuruje wioska na Kujawach.

Jak trudno było być Polakiem

1.

Było to już przed północą z 3 na 4 marca 1940 roku. Mieszkaliśmy wtedy na ulicy Marysińskiej 22. Miałem 19 lat. Za oknem mróz, jakieś minus 18 stopni. I nagle walenie kolbami do drzwi, okrzyk: — *Schnell! Schnell!* — Dano nam 10 minut.

Wyrzucono nas z mieszkania, ojczym oberwał kolbą. Niewiele zabraliśmy. Matka złapała dwie poduszki. Gdzie nas zabierają? Nikt nie wiedział. Kazano iść i być cicho. Razem z nami szły setki takich jak my.

Przygnano nas na Łąkową 4, do budynku fabryki, co stała na rogu Kopernika i Łąkowej. A tam — już były tłumy. Brama oświetlona. Przez całe podwórze od jednej ściany do drugiej wielgachny stół. Wpuszczano jedną stroną mężczyzn, drugą kobiety. Dokonywano skrupulatnej rewizji. Na mrozie, w wietrze. Nasze poduszki rozpruto bagnetem, wysypano pierze, zabrano pieniądze, a mamie ściągnięto obrączkę z palca.

2.

Po czterech dniach zaczęto wywoływać nazwiskami. Ustawiono nas w kolumnę i pognano na Dworzec Fabryczny. Tu stał pociąg: połowa wagonów była osobowa, a połowa towarowa. Co młodsi i zaradniejsi wepchnęli się do tych osobowych, natomiast kobiety, ludzie starzy i dzieci załadowano do towarowych. Jechaliśmy dzień i noc z długim postojem w Skarżysku. Do jedzenia i picia nie dano nam nic, przeto ludzie żebrali u konwojentów bodaj o śnieg. Niektórzy lepili kule i podawali, ale byli i tacy, że od razu kierowali w naszą stronę lufy szmajserów.

Dojechaliśmy do Sandomierza. Wokół torów, przed budynkiem stacyjnym, stały setki chłopskich wozów i kotły z gorącą zupą przygotowaną przez PCK. Był to pierwszy nasz ciepły posiłek.

Niemcy z listy wykrzykiwali nazwisko i natychmiast podjeżdżała furmanka. Chłop spoglądał niechętnym wzrokiem, ale milczał. Na furmankę ładowano jakąś rodzinę i chłop cmokając na konia odjeżdżał. W ten sposób rozwożono nas po całym Sandomierzu. Myśmy trafili do wsi Strużki, gmina Osiek, 30 km od Sandomierza. Nie witano tam nas radośnie.

3.

Pracowałem w tartaku. Matka zajęła się handlem: brała jajka i woziła je do Łodzi, czasem nabiał. I tak się żyło. Aż wpadła. Jechała z synem sąsiadów, chłopcem o dwa lata młodszym ode mnie i w Koluszkach ich wygarnęli. Matka poszła do więzienia na trzy miesiące, a owego chłopca powiesili wraz z tym, co miał przy sobie.

Po wyjściu z więzienia matka została w Łodzi, dokąd wkrótce przeniósł się ojczym i siostra. Ja zostałem w Strużkach.

W lutym 1941 roku poznałem dziewczynę i ożeniłem się. A po dwóch miesiącach otrzymaliśmy nakaz wyjazdu do Niemiec na roboty. Stało się to z mojego powodu. Przesiedleńcy otrzymywali mąkę. Raz mąka do nas nie dotarła i poszedłem do gminy i zacząłem krzyczeć: — *gdzie jest nasza mąka?!* — Myślę, że to było przyczyną, że znaleźliśmy się na liście wysiedleniowej.

Uciekłem i schroniłem się u kolegi. Po paru dniach wytropił mnie granatowy policjant i oboje z żoną znaleźliśmy się w więzieniu w Sandomierzu.

4.

Po miesiącu wsadzono nas do pociągu i wywieziono do Bawarii. Żona była w ciąży. Dotarliśmy do Laufen, 12 km od Salzburga. Zabrali nas dwaj bracia, z których jeden miał tartak, a drugi stolarnię i kawał pola. Trafiłem do tartaku, żona do stolarni. Pracowało się od świtu do nocy. Zwoziłem drzewo z gór, żona natomiast oprócz pracy w stolarni i w polu doglądała jeszcze piątkę dzieciaków.

W listopadzie 1941 roku urodziła się nasza córeczka. Niemka od razu powiedziała, żeby żona do niej nie wracała, bo ona potrzebuje człowieka do roboty, a nie matki karmiącej. Jednocześnie do szpitala zaczęły się zgłaszać Niemki chcąc kupić naszą córkę. Przekonywały, że dziecko w tych czasach nie ma szans na przeżycie, że nigdy nie wróci do swojego domu. Prosiliśmy władze, aby pozwolono nam zawieźć dziecko do Polski, do dziadków. Któregoś wieczora bauer mi powiedział, że żona odjechała *„nach Hause"*.

Pędzę do szpitala. Żona jeszcze jest. Zaczynamy krzyczeć, że albo razem, albo niech nam tu pomogą wychować córkę. Trafiliśmy do Arbeitzamtu, gdzie mnie straszliwie katują, ale dają w końcu zezwolenie na zawiezienie dziecka do dziadków. Warunek: mamy natychmiast wrócić.

5.

Do Strużek dotarliśmy na początku stycznia 1942 roku. Sądziłem, że o nas zapomną. Na początku lutego wpadła policja: — *dlaczego nie meldowaliście się na posterunku? Dlaczego się ukrywacie?* — Zakuto nas w kajdanki i do Sandomierza do więzienia.

Po tygodniu załadowano nas do pociągu. Jechaliśmy w kierunku Wrocławia. W punkcie zbiorczym odbywał się targ niewolników. Na pierwsze piętro, gdzie nas prowadzono, wzdłuż całej drogi stali mężczyźni — kobiety także — i bacznie nam się przyglądali. Byli to okoliczni Niemcy, którzy przybyli po niewolników. Na górze, w obszernej sali przedzielonej na pół prześcieradłem, kazano nam się rozebrać do naga. Za przepierzeniem byli lekarze, którzy mieli nas badać. Ale Niemcy już nas dopadli, już obchodzili dookoła, macali, sprawdzali mięśnie, zaglądali w zęby.

Mnie wybrała Niemka, a żonę jakiś bauer. Mówię do Niemki, że tamta kobieta jest moją żoną i że my chcemy być razem. Ale jej to nic nie obchodzi. Zaczynam protestować. W końcu znalazł się Niemiec mówiący trochę po polsku i udało się nam połączyć.

Postanowiliśmy, że nie pojedziemy do Bawarii. Pobiegliśmy przez tory i wcisnęliśmy się do pustego pociągu. Ukryliśmy się w ubikacji. Po godzinie przypędzono Polaków. Był to pociąg transportujący robotników na przymusowe roboty do Rzeszy. Zawieziono nas do Kilonii. Tam, w Arbeitzamcie nie wiedziano, co z nami zrobić. Skopano mnie, na wszelki wypadek. Dołączono nas do grupy idącej do majątku Perdoel w gminie Wankendorf powiat Plön, w Szlezwik — Holsztejnie. Pracowaliśmy z radzieckimi jeńcami do samego wyzwolenia. Było ich 60, przywiezionych w 1942 roku. Byli to ludzie spuchnięci z głodu! Chodzili czwórkami trzymając się za ramiona, bo żaden z nich nie mógł ustać na nogach. Tych jeńców razem z nami pędzili do pracy. Pomagaliśmy im jak się dało. Gdy przyszło nam razem pracować, kazaliśmy im leżeć, a sami robiliśmy za nich i za siebie. A oni nie mieli nawet siły, by wstać. Dopiero później jakoś odżyli, ale trwało to długo.

Tam, w Perdoel urodził się nasz syn, dziś oficer WP.

6.

Wyzwolili nas Anglicy. Wsadzili do obozu. Zanim to się stało, zaczęto przywozić Ukraińców. Widać było, że są to ludzie wojskowi, którzy nie tak dawno zrzucili mundury. Po zakończeniu wojny Ukraińcy znaleźli się z nami za drutami i byli traktowani na równi. Był to obóz w Ponsdorf. Ukraińcy uchodzili za Polaków, choć wszyscy wiedzieliśmy, że są to banderowcy.

Pewnego dnia — był to już rok 1946 — zauważyliśmy jakiś ruch: wszystkich Ukraińców zabierano. Stworzono im odrębny obóz i ku naszemu zdziwieniu — umundurowano na czarno!

7.

W angielskim obozie pilnowała nas straż niemiecka! Początkowo bez broni, a potem otrzymali broń krótką. Kiedy zjawili się w obozie ludzie i zapytali, kto chce wracać do Polski, my z żoną nie wahaliśmy się ani przez chwilę. Wracałem jako człowiek chory, z zaawansowaną gruźlicą płuc...

8.

3 czerwca 1943 r., żandarmi pod dowództwem komendanta posterunku Rupperta oraz niemieccy koloniści z pobliskich wsi spacyfikowali wieś Strużki. Ludzie uciekali do lasu, ale ich wysiekli z broni maszynowej. Do domów wrzucano granaty, budynki podpalano. Psy policyjne wygrzebywały każdego, kto się ukrył w dołach na kartofle lub w piwnicach. Zginęło wówczas 96 osób, 17 domów spalono doszczętnie. W tej masakrze zginęli rodzice mojej żony oraz ich dwie córki (Helena lat 17 i Eleonora lat 21) oraz jednoroczny synek tej ostatniej Marcin. I zginęła także nasza córeczka Ania, która miała zaledwie 17 miesięcy...

Spisał:
EUGENIUSZ IWANICKI

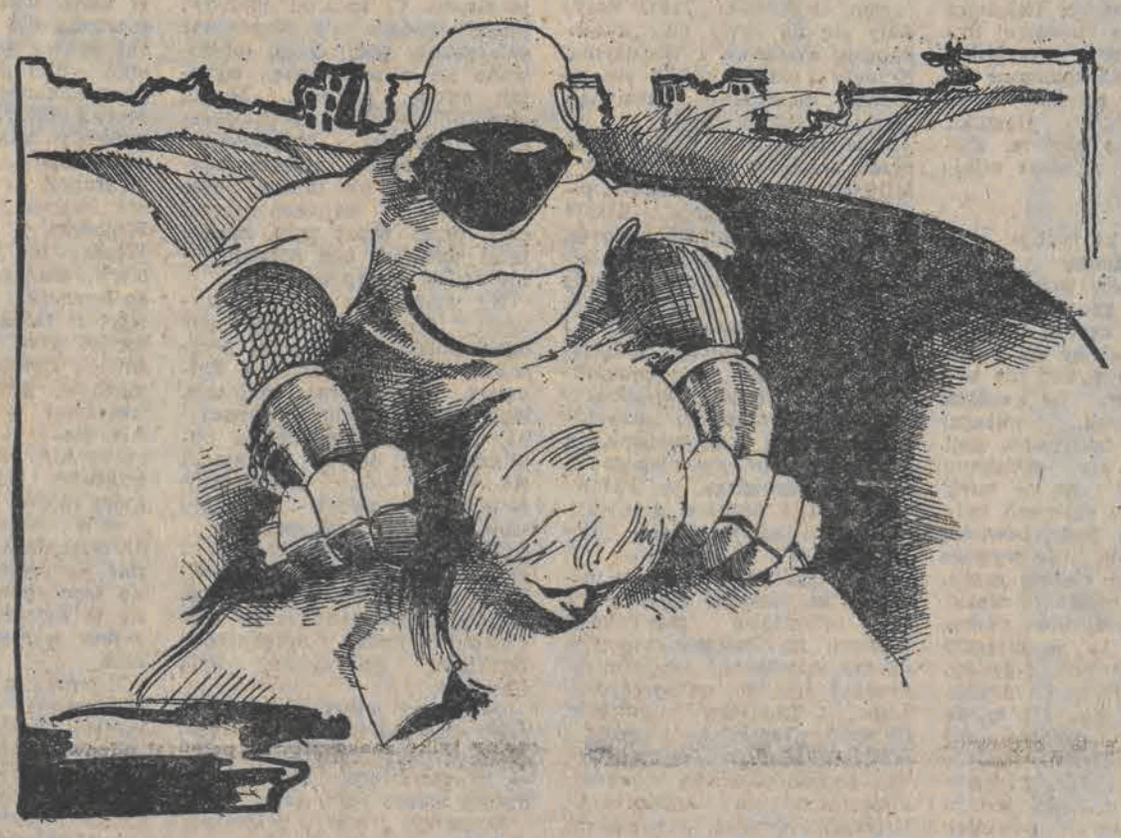

Rys. Dariusz Romanowicz

Aneks do listy represjonowanych

Przez kilka tygodni, sygnując ją literami K.F., drukowałem na łamach „Odgłosów" listę osób represjonowanych w stanie wojennym w regionie łódzkim. Byli na niej działacze „Solidarności" skazani za działalność związkową na długoterminowe kary więzienia, długi rejestr stanowili internowani, a tylko jeden krótki odcinek poświęciłem dziennikarzom usuniętym z pracy. Nie mówi on wszystkiego o tym środowisku, nie uwzględniał na przykład sytuacji pracowników popularnego biuletynu „Solidarność Ziemi Łódzkiej" ani też publicystów innego tytułu pozadebitowego „Solidarność z Gdańskiem". W kręgu dziennikarzy związanych z gmachem RSW „Prasa" ten króciutki odcinek wywołał najwięcej zastrzeżeń z innego wszakże powodu.

No cóż, popełniłem parę błędów podając na przykład, że jeden z dziennikarzy usunięty został z „Expressu Ilustrowanego", podczas gdy w rzeczywistości stosunek pracy łączył go z „Dziennikiem Łódzkim". Poleganie na pamięci i robionych w pośpiechu notatkach jest zawodną metodą dokumentacyjną, sądziłem jednak, że sprowokuję do wypowiedzi ludzi, którzy dysponują kompletem materiałów jako ich autorzy, bowiem nie udało mi się dotrzeć do pekatych teczek komisji weryfikacyjnej.

25 lutego 1982 r. Egzekutywa KŁ dokonała oceny sytuacji w środowisku dziennikarskim. Niestety, nie dysponujemy pełnymi materiałami z tego posiedzenia, choć możliwe, że gdzieś zachował się stenogram. Posiadamy za to tezy do dyskusji, opracowane zapewne przez wydział ideologiczny KŁ PZPR, gdyż zamieszczone zostały w powielaczowym „Serwisie Informacyjnym" tej instytucji. Nosi on datę 1 marca 1982 i nie jest tajny, a tylko przeznaczony do użytku wewnątrzpartyjnego. Powierzam ten dokument wnikliwej uwadze czytelnika.

KONRAD FREJDLICH

W 8 redakcjach RSW („Głos Robotniczy", „Dziennik Łódzki", „Express Ilustrowany", „Odgłosy", „Karuzela", „Życie Pabianic") oraz w Ośrodku TV i Rozgłośni Polskiego Radia pracowało przed 13 grudnia ub. roku — 207 dziennikarzy. Spośród nich 133 należało do PZPR, 150 było członkami SDP. W okresie od sierpnia 1980 r. następowała polaryzacja postaw dziennikarzy; zwłaszcza młodzi wiekiem i stażem demonstrowali postawy negatywne. W ostatnim okresie przed wprowadzeniem stanu wojennego środowisko to było totalnie podzielone i skłócone, co — przy niezdecydowanej postawie części kierownictw redakcji — prowadziło do coraz większych błędów. Analiza sytuacji pozwoliła wyodrębnić trzy grupy dziennikarzy:

— dziennikarze konsekwentnie wierni linii partii (wśród nich także i bezpartyjni) i dający temu dowód przy każdej okazji (łamy prasowe, zebrania partyjne, zebrania SDP). Dziennikarze ci, to w przeważającej mierze doświadczeni politycznie i zawodowo ludzie, najczęściej o dłuższym stażu zawodowym. Część z nich nosiła się z zamiarem wystąpienia ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i ew. powołania do życia nowego stowarzyszenia dziennikarzy, argumentując swe zamiary faktem tworzenia z SDP antypartyjnej siły politycznej.

— dziennikarze faktycznie bądź pozornie zdezorientowani, najchętniej i najczęściej zachowujący pozycję neutralną lub wyczekującą, w swojej działalności zawodowej kierujący się często pobudkami komercyjnymi. Grupa ta liczebnie największa i wewnętrznie najmniej skonsolidowana, była eklektyczna ideowo. Dziennikarze ci z całą pewnością nie mogą stanowić ostoi partii w obecnym okresie przemian i należy z nimi pracować politycznie.

— „radykałowie" — wierni „Solidarności" i... Stefanowi Bratkowskiemu. Grupa ta była liczebnie niewielka, ale prężna, demagogiczna i energiczna w działaniu, w zdecydowanej większości stosunkowo młoda wiekiem i stażem zawodowym. W grupie tej byli również członkowie PZPR. Surowe sankcje zastosowane przez organizacje partyjne i Komisję Weryfikacyjną po 13 grudnia ub. roku dotyczyły tej właśnie grupy.

W poszczególnych zespołach redakcyjnych sytuacja przedstawiała się także bardzo różnie. Najgorzej było w gazecie partyjnej. Redakcja „GR" licząca 58 dziennikarzy (46 z nich było w PZPR, 47 należało do SDP) była faktycznie podzielona na dwa zdecydowanie zwalczające się obozy, przy czym przedmiotem sporów były nie tylko sprawy ideowo-polityczne, ale i ambicje zawodowe. Prawie cały zespół „Odgłosów" przeszedł gwałtowną ewolucję prezentując jawnie, a nawet ostentacyjnie, linię polityczną „Solidarności" i udostępniając swe łamy nawet dla propagowania poglądów antysocjalistycznych.

Stosunkowo najmniejsze wpływy „Solidarności" i najklarowniejsza sytuacja była w zespole „Expressu Ilustrowanego". W „Dzienniku Łódzkim" zdecydowanie negatywnie wyróżniał się red. K. Turowski, któremu dotychczasowa działalność zawodowa nie zapewniała popularności w środowisku. W radiu wpływy „Solidarności" były szczególnie silne w pionie technicznym, co nie rzutowało na merytoryczną jakość programów. Po wykluczeniu z partii S. Bratkowskiego 6 osób oddało legitymacje partyjne. Liczna i prężna organizacja „Solidarności" w TV była znacznie ograniczona w swojej działalności przez kierownictwo Ośrodka i POP, a mimo to nie udało się niejednokrotnie uniknąć przejaskrawień w niektórych audycjach.

Na połowę grudnia ub. roku „Solidarność" planowała wydanie jednodniówki pt. „Rewers", do której jednoznaczne — często jawnie antykomunistyczne — teksty napisali dziennikarze pobierający pensje z państwowych redakcji jak np. M. Miszalski i M. Markiewicz.

Po wprowadzeniu stanu wojennego uruchomiono początkowo jedną gazetę („Głos Robotniczy") zapewniając nową obsadę personalną. Pozostałych dziennikarzy skierowano — w ramach Agencji „GR" — do pracy propagandowej w KZ oraz na urlopy (ekstremę „Solidarności" i SDP).

Powołano także wspólną POP dla całego środowiska, która już w grudniu rozpoczęła rozmowy z poszczególnymi dziennikarzami. Ocena Egzekutywy POP stała się podstawą prac Wojewódzkiej Komisji Weryfikacyjnej, która oceniła dziennikarzy i pracowników technicznych (łącznie 307 osób).

W Łódzkich Ośrodkach Polskiego Radia i TV zastosowano sankcje partyjne w stosunku do 7 osób (w tym 3 wykluczono z partii), a w stosunku do 18 wnioskowano o sankcje służbowe.

W Łódzkim Oddziale „Prasa-Książka-Ruch" — 22 osoby ukarano partyjnie (w tym 12 wydalono). O sankcje służbowe wystąpiono w stosunku do 23 osób.

Zespół Informacyjny KŁ PZPR

OŚWIADCZENIE SDP W ŁODZI

W związku z publikowaniem niepełnych list dziennikarzy poddanych negatywnym weryfikacjom w 1982 roku i tzw. „korespondencji" w tej sprawie („Odgłosy" nr 2 i nr 4 z 1990 r.) zarząd Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Łodzi prosi o opublikowanie następującego oświadczenia:

Weryfikacja dziennikarzy przeprowadzona w 1982 roku należy do najbardziej haniebnych operacji przeprowadzonych przez władzę komunistyczną w celu zabicia wolnego słowa i sterroryzowania na dłuższy czas środowiska odpowiedzialnego za kształtowanie demokratycznej komunikacji społecznej. Weryfikacja kadr dziennikarskich w Łodzi była procederem szczególnie ponurym, gdyż w odróżnieniu od innych miast, gdzie weryfikowali ludzie spoza prasy, radia i tv — tutaj tej haniebnej roli podjęli się inni dziennikarze, dotychczasowi współpracownicy i koledzy z macierzystych redakcji. To oni przeprowadzali „rozmowy weryfikacyjne" i ich podpisy figurują pod wstydliwie teraz przemilczanymi werdyktami, z których sformułowania „uniemożliwić pracę w prasie" należą do najłagodniejszych.

Dlatego każda próba zaciemniania tej najnowszej historii i manipulowania faktami budzić musi głęboki niesmak. Redakcja „Odgłosów" nie ma moralnego prawa do kwitowania tej sprawy obraźliwą formułą „i pamięć ludzka jest zawodna", ponieważ:

1. Z redakcji „Odgłosów" wyrzucono z pracy i z zawodu 4 dziennikarzy.

2. Z kierowanego przez obecnego redaktora naczelnego „Odgłosów", a ówczesnego szefa „Głosu Robotniczego" wyrzucono z pracy i z zawodu 6 osób, a dodatkowo jeszcze z redakcji 5 osób.

3. Żyją, pracują i bardzo dobrze się mają w łódzkiej prasie ówcześni weryfikatorzy, między innymi w „odnowionym" „Głosie Porannym". Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w Łodzi posiada zebraną dokumentację tej akcji mającej ponury, inkwizycyjny charakter oraz dokumentację losów dziennikarzy wyrzuconych wówczas tylko za swoje poglądy. Dopóki jednak 17 osób z łódzkiego środowiska dziennikarskiego nadal nie może podjąć pracy dziennikarskiej od ponad 8 lat pozostając poza zawodem, póty sprawy weryfikacji nie możemy uznać za zakończoną. Na pełną publikację musimy poczekać do czasu, aż wszyscy pokrzywdzeni dziennikarze powrócą do życia zawodowego i społecznego.

Dlatego wyrażamy protest przeciwko minimalizowaniu i zacieraniu prawdy o akcji weryfikacyjnej.

Prezes SDP oddział w Łodzi
IWONA ŚLEDZIŃSKA-KATARASIŃSKA

ze str. 1

łać. Za bardzo im się kojarzą z nieodległą przeszłością...

Na początku były tu jedynie wzgórza, porośnięte zagajnikami, otoczone polami i łąkami, a u ich stóp — biły sobie spokojnie źródła Wolbórki. W 1965 roku rozpoczęło się wydobywanie żwiru, prowadzone przez Łódzkie Zakłady Eksploatacji Kruszywa. Przez 9 lat powstało wyrobisko o powierzchni 38 hektarów, które powinno być — zgodnie z wcześniejszą umową — przywrócone do rolniczego użytkowania i zwrócone poprzednim właścicielom. Stało się jednak inaczej: zamiast chłopom, teren przeznaczono łódzkiemu MPO. A umowa? No cóż, po prostu zaginęła...

Przekazanie odbyło się po długiej procedurze prawnej. Najpierw, w 1977 roku, uchwałą Rady Narodowej M. Łodzi zatwierdzono plan zagospodarowania województwa z lokalizacją wysypiska na gruntach wsi Pałczew i Wardzyń, na powierzchni ponad 100 hektarów. W dwa lata później plan ten zaakceptowany został przez Gminną Radę Narodową w Brójcach. W dokumentach nie ma śladu zastrzeżeń. Radni są posłuszni (niewielu jest wówczas w radzie chłopów), naczelnik także zna swoje miejsce. Przebąkuje się tylko, iż lokalizacja nie jest najszczęśliwsza, bo w pobliżu znajdują się źródła Wolbórki, zaś okoliczni rolnicy specjalizują się w hodowli bydła mlecznego. Głosy te milkną, ponieważ na wzgórzach nic się nie dzieje. Na wsi myślą, że dopóki nie widać nadjeżdżających „bajader", nie ma powodu do wszczynania alarmu. W mieście uważają, że dopóki są inne wysypiska, nie trzeba się spieszyć z Pałczewem, bo lokalizacja jest już zapewniona, zaś gmina będzie jak zwykle posłuszna.

Przebudzenie następuje w 1983 roku, gdy władze miasta — zaniepokojone brakiem alternatywnych wysypisk — zaczynają naciskać na urzędników w gminie. Zmieniło się jednak wiele: społeczeństwo ma za sobą polityczną edukację, radni nie są już tak potulni, zaś naczelnicy liczą się bardziej z opinią miejscowych. I oto wszystko idzie odtąd jak po grudzie.

Naczelnik przekazuje co prawda teren w gestię MPO, ale ograniczony tylko do samych wyrobisk — (30 hektarów — dużo mniej, niż zakładały plany). We wrześniu 1984 roku GRN stawia pierwsze warunki. Żąda posadzenia ochronnych pasów zieleni i wybudowania dróg dojazdowych do wysypiska. W kwietniu następnego roku jest już wyraźny opór: GRN podejmuje uchwałę o likwidacji wysypiska w Pałczewie. W dwa miesiące później Rada Narodowa M. Łodzi uchyla tę uchwałę.

Od tej pory „wojna o Pałczew" nasila się.

Stroną atakującą jest ciągle miasto. Naczelnik zwleka, lawiruje, rady sołeckie ślą do Warszawy skargi. Gmina nie spieszy się z przekazaniem inwestorowi gruntów, które są potrzebne dla zagospodarowania wysypiska i budowy drogi, omijającej wieś. Impas stara się przełamać ówczesny prezydent Łodzi, Józef Niewiadomski. 16 września 1985 roku dochodzi do spotkania prezydenta z radami sołeckimi Pałczewa i Wardzynia. Po burzliwej dyskusji staje ugoda: wysypisko, odpowiednio zabezpieczone — owszem, ale w zamian będą dobra i inwestycje: ciągniki, kosiarki, kuchnie gazowe, studnie głębinowe, autobus miejski...

Kiedy dziś krytykuje się chłopów, że godząc się na „podarki" dali się wciągnąć w niebezpieczną grę z władzą odpowiadają, iż czynili to „pod pistoletem", działając na zwłokę, bo z „czerwonymi" nie było wtedy żartów, na każdym kroku straszyli milicją. A niektórzy, faktycznie, dali się skusić. No, ale wciskano im — tłumaczą się — mieli nie brać, gdy w sklepach były pustki? Faktem jest bowiem, że władza starała się wywiązać. Jak na te ciężkie czasy, wywiązała się całkiem nieźle. Oczywiście, wszystko można skrytykować. I to, że ciągniki przyznano im z puli gminy, więc i tak trafiłyby do gminy, tylko do innej wsi. I to, że kuchenki były droższe niż normalnie. Faktem jest, że niektórzy wzięli. Dla większości urzędników z Łodzi jest to argument, który powinien uciąć wszelką dyskusję.

Dyrektor Zdzisław Wlazłowicz z Wydziału Gospodarki Komunalnej UMŁ także ma ugruntowaną opinię. Winni są anarchiczni chłopi, zaś władza niepotrzebnie poszła wobec nich na ustępstwa. Gdyby od początku stanęła twardo, zgodnie z prawem, któż by się dziś spierał o Pałczew?

To, co dla dyrektora było zgodne z prawem, dla chłopów oznaczało naruszenie ich praw. W lipcu 1987 roku nie było ani drogi omijającej wieś, ani pasa zieleni ochronnej. Z winy gminnej obstrukcji — powiadają łodzianie. Z winy opieszałości miasta — wyjaśniają w Pałczewie.

Czy Łódź udusi się od śmieci?

W lipcu 1987 r. MPO podjęło próbę zdobycia wysypiska

aby je zagospodarować. Było to po zamknięciu Marmurowej, gdy pozostała jedna Nowosolna. Próby podejmowano kilkakrotnie, ale za każdym razem ciężarówki MPO natykały się na żywy mur mieszkańców Pałczewa i Wardzynia. Kobiety i dzieci kładły się na drodze, mężczyźni zastawiali przejazd furmankami.

Przepuszczali tylko milicję, przez szacunek dla „władzy". Milicjanci zaś *„przystawiali pistolet"*. Sprawozdanie RUSW w Pabianicach informowało m. in.: *„Postacie najaktywniejszych osób z tłumu zostały utrwalone na filmie przez technika kryminalistyki (...) RUSW w Pabianicach przystąpi niezwłocznie do przeprowadzenia rozmów profilaktyczno-ostrzegawczych z osobami rozpoznanymi na miejscu, a zachowującymi się niepoprawnie w zbiegowisku w Pałczewie, oraz z osobami zidentyfikowanymi na materiale fotograficznym"*.

Zniecierpliwiona władza postanowiła posłużyć się fortelem. W przeddzień generalnego szturmu na Pałczew zapowiedziano spotkanie w remizie. Przybył na nie wiceprezydent Łodzi, Stanisław Żałobny. Chłopi usłyszeli, że *„sprawa jest przesądzona, wysypisko i tak będzie, można jedynie dyskutować o warunkach"*. Usłyszeli również, iż ogrodzi się wysypisko betonowym płotem, zaś każde 40 cm śmieci ubijane będzie buldożerami, polewane wodą, odkażane a następnie zasypywane. Nie zapominano o nowych „podarkach" dla rolników. Chłopi mówią dziś, że byli znów *„pod pistoletem"*. Na coś się jednak najwyraźniej zgadzali i czegoś w zamian żądali, skoro najbardziej gardłujących poproszono o zgłoszenie się nazajutrz w Urzędzie Miasta Łodzi, dla „dopracowania szczegółów porozumienia". Uśpiwszy tym ich czujność, przystąpiono do realizacji wcześniejszego planu: od rana w Pałczewie stacjonowały już połączone siły MO i MPO. Wjechały kolumną samochodów o piątej rano, przed wyprowadzeniem [illegible] gdy wszyscy spali...

W ten oto sposób rozpoczęto przygotowywanie wysypiska. Ten „sukces" był jednak pozorny. Jeśli ktokolwiek w gminie Brójce miał jeszcze zaufanie do łódzkiej władzy, teraz je stracił. Ci spośród chłopów, którzy zgodzili się odsprzedać swe grunta pod drogę (oferowano im wysoką cenę), wycofali swoje podpisy. Można więc było zbudować płot, posadzić drzewka, ukształtować dno i zbudować zaplecze techniczne, ale nie można było rozpocząć najważniejszego, czyli drogi przez pola, omijającej wieś. A bez dojazdu — nie będzie wysypiska.

Na marginesie: w burzliwym lipcu 1987 roku, gdy ogólnopolskie tygodniki prześcigały się w relacjach z Pałczewa, łódzka prasa milczała. Ogłoszono blokadę informacyjną, uzależniając zgodę na publikację od decyzji sekretarza KŁ PZPR ds. propagandy. Notatki na temat konfliktu wstrzymywała cenzura...

W przeddzień Wigilii 1989 r. w pałczewskiej remizie zjawił się nowy prezydent Łodzi, Waldemar Bohdanowicz w otoczeniu świty urzędników. Dyskusja, tradycyjnie, była burzliwa.

— *Tylko jeden prezydent miał względy* — zaznacza sołtys Pałczewa, Henryk Misiak — *z pozostałymi nie chcielibyśmy nawet rozmawiać...*

Rozmowa nie przyniosła efektów.

Chłopi powtórzyli swoje racje, trwając przy stanowisku, że nie przepuszczą MPO — i koniec.

Kilka dni później na sesji GRN w Brójcach, na której odwołano dotychczasowego przewodniczącego rady, przegłosowano uchwałę, zobowiązującą naczelnika gminy do *„unieważnienia ostatecznej decyzji Prezydenta Miasta Łodzi o lokalizacji wysypiska odpadów stałych w Pałczewie"*. Powtórzyła się więc sytuacja z kwietnia 1985 roku, z tym, że w zmienionej konfiguracji politycznej, przy innym składzie rady, wobec nowego naczelnika, który od razu zadeklarował, że czuje się *„tutejszy"*. Po kilkunastu latach walki o Pałczew doczekano się zatem zjednoczonej frondy przeciwko tej lokalizacji.

Wbrew pozorom, nie wszyscy w Łodzi uważają ją za wymarzoną dla miejskich śmieci. Od dawna protestował przeciwko niej dr Stanisław Grell, przewodniczący Komisji Rolnictwa RN m. Łodzi. Jego argumenty zgodne są z opiniami chłopów. Nie ma żadnych gwarancji — zauważa — że nie zatrute zostaną źródła Wolbórki, a dalej — Pilica. Władza nie postępowała uczciwie, zraziła do siebie całą społeczność; doprowadzono do tego, iż teraz żadna gmina nie zechce mieć u siebie łódzkich śmieci. Byłoby to z pewnością możliwe, gdyby odpowiednio wcześniej o tym pomyślano. Ale nie — uparto się na Pałczew, nie licząc się z ludźmi, traktując ich jak przedmioty, które można kupić.

— *W obecnej fazie* — mówi dr Stanisław Grell — *konflikt stał się prestiżowy. Kilka osób do tego stopnia zaangażowało się w awanturę o Pałczew, że zrobią wszystko, aby dopiąć celu.*

Tajemniczo przedstawia się podnoszona przez chłopów kwestia źródeł Wolbórki (odległych o kilkaset metrów) oraz ekspertyz geologicznych. Pisma urzędowe, kierowane do gminy i instytucji centralnych w odpowiedzi na protesty informują, iż lokalizacja wysypiska jest prawidłowa, oparta na wszechstronnych ekspertyzach. A jednak, zarówno w Brójcach, jak i w Pałczewie i Wardzyniu zgodnie zapewniają, że nigdy nikogo nie widziano, kto by te sprawy na miejscu badał. Oczywiście, mogą się mylić. Czy jednak pomyliła się także doc. Grażyna Wasiak z Instytutu Ochrony Środowiska w Warszawie, która przyznała, że w ekspertyzie geologicznej, na podstawie której opracowała dokumentację wysypiska, nie było naniesionych żadnych źródeł ani torfowisk? Naczelnik gminy Władysław Głubowski dorzuca od siebie, że map tych nigdy nie chciano im udostępnić, choć bardzo się o to starali.

Czyż można się więc dziwić chłopom, że stali się podejrzliwi do tego stopnia, iż nawet przeprowadzenie wodociągu z dalekiego Romanowa do położonej poniżej wysypiska Woli Kutowej poczytują za dowód, że zatrute będą wody w całej okolicy?

Dr Grell uważa, że taka podejrzliwość uzasadniona jest również z innego powodu: niektórzy przedstawiciele administracji nie zrezygnowali z rozwiązań siłowych. W liście do przewodniczącego RN m. Łodzi, w którym wyraził swe wotum nieufności wobec kierownictwa Wydziału Gospodarki Komunalnej UMŁ, napisał m. in.:

„Na ostatnim posiedzeniu Prezydium RN m. Łodzi w dniu 22.01.90 padały (...) propozycje wykorzystania milicji lub wojska przy rozpoczęciu akcji wywożenia śmieci do Pałczewa. Trzeba nie mieć absolutnie poczucia rzeczywistości, aby nie przewidzieć konsekwencji siłowego rozwiązania".

Pokusa jest bowiem wielka. Jak zauważył dyrektor MPO:

— *Nigdy jeszcze nie było tak dobrze przygotowanego wysypiska. Utopiono w nie ponad 800 mln złotych...*

Dyrektorzy Zdzisław Wlazłowicz i Stefan Spryszyński oraz Stanisław Grell zgodni są w jednym: obecny impas doprowadzić może do sytuacji, że będzie się sypać byle jak i byle gdzie, nie licząc się z nikim i z niczym, aby tylko Łódź nie udusiła się od śmieci.

Na kompromis jest coraz mniej czasu, najwyżej kilka miesięcy.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Co się dzieje w gospodarce? (2)

Odważni najmici i ostrożni współwłaściciele

Łódzki **„Transbud"**, czyli **Przedsiębiorstwo Transportowo-Sprzętowe Budownictwa** zasłużyło sobie na opinię firmy, która podjęła najciekawszą w kraju próbę przekształceń własnościowych. Próbę — zamienienia przedsiębiorstwa państwowego we własność jego pracowników.

„Transbud" zmierzał do przekształcenia się w spółkę akcyjną, w której decydujący głos będzie należał do pracowników posiadających akcje własnej firmy. I nie jest to zamysł abstrakcyjny, wręcz przeciwnie: dużo czerpie z rozwijającego się ostatnimi laty w Stanach Zjednoczonych systemu akcjonariatu pracowniczego, znanego pod skrótem: ESOP. Zarazem jest to potwierdzenie tego, że przemiany własnościowe nie muszą ograniczać się do „czystej" prywatyzacji. Do wykupywania przedsiębiorstw przez krajowego czy zagranicznego „kapitalistę".

Najmici i współwłaściciele.

Dwukrotnie spotykała się rada pracownicza **„Transbudu"**, w połowie 1989 roku i z jego końcem, aby w okolicznościach nie wyzbytych dramaturgii oceniać czego chce załoga przedsiębiorstwa. Za pierwszym razem dyrektor PTSB **Józef Smuga** zagajał dyskusję przyznając, że w przedsiębiorstwie państwowym pracownik może się czuć co najwyżej jak najmita. Co innego, jeżeli uda się od skarbu państwa wykupić część przedsiębiorstwa. Ci, którzy się na to zdecydują, staną się akcjonariuszami. A posiadanie akcji to nie tylko uprawnienie do otrzymania dywidendy, lecz także prawo do głosu podczas walnego zgromadzenia spółki, czyli na forum, gdzie zapadają podstawowe decyzje strategiczne, także te związane ze sferą płacową. Czyli: akcjonariusz nie jest już najmitą, staje się współwłaścicielem.

Elitę pracowniczą „Transbudu" tworzą kierowcy, którzy swymi samochodami przemierzyli kawał Europy — i z tej części sali, gdzie zasiadali, padało najwięcej pytań. **Szczepan Pęśko**, kierowca i członek rady wypowiedział te słowa, które bodaj najczęściej powtarzano w tych mniej oficjalnych rozmowach, prowadzonych w **„Transbudzie"**, ale nie na zebraniach:

— Co dalej z pracownikami, którzy nie wykupią akcji? Czy będą redukcje etatów?

— Wyobraźmy sobie, że pan zostaje prezesem spółki, to czy już dziś mógłby pan odpowiedzieć na to pytanie — replikował dyr. **Józef Smuga.** — Z chwilą utworzenia spółki przestanę być dyrektorem, czy daje mi ktoś gwarancje, że zostanę prezesem?

Nie zabrakło obaw o to, ilu pracowników wykupi akcje — a jednak, gdy wiceprzewodniczący samorządu **Marek Liberski** ogłosił głosowanie, wynik był jednomyślny. Przeważyło to, że lepiej być pracownikiem a zarazem współwłaścicielem przedsiębiorstwa. Lepiej też myśleć o przyszłości, niż — trwać przy starym.

Wkrótce, zgodnie z postanowieniem rady pracowniczej, w **„Transbudzie"** ogłoszono referendum. Wprawdzie frekwencja wynosiła 62 proc., ale przecież był to okres urlopów. Co najistotniejsze, aż 92 proc. pracowników opowiedziało się za przekształceniem w spółkę akcyjną.

Jak wykupić przedsiębiorstwo?

„Transbud" zatrudnia bez mała tysiąc pracowników. Natomiast majątek przedsiębiorstwa, na który składają się budynki, maszyny, ciężarówki itd., wyceniony był dotąd na 2 mld 678 mln zł. I oczywiście nikt nawet nie marzył, że każdy z pracowników wyłoży z własnej kieszeni po ponad 2,5 mln zł.

W projekcie statutu spółki założono, że jej kapitał akcyjny wynosić będzie 5 mld zł i dzielić się ma na 20 tys. akcji, z których każda ma wartość nominalną 250 tys. zł. Dlaczego chciano zgromadzić kapitał 5 mld zł, skoro wartość majątku jest niemal dwukrotnie niższa? Otóż dlatego, że przy tego rodzaju przekształceniach własnościowych powinno mieć miejsce przeszacowanie majątku, którego wartość jest zaniżona, skutkiem corocznej inflacji. W **„Transbudzie"** postanowiono grać uczciwie, choć innym powiodły się próby przekształceń z naruszeniem zasad, a przy poparciu ówczesnych ministrów (przykładem Zakłady Radiowe „Diora" w Dzierżoniowie). Wymyślono, że skarb państwa obejmie 12 tys. akcji, czyli 60 proc. kapitału (3 mld zł). Pozostałe akcje mają być sprzedane pracownikom.

Władzą dla spółki akcyjnej jest walne zgromadzenie akcjonariuszy. A tu głosuje się akcjami. W prosty sposób szukano zabezpieczenia przed tym, że skoro skarb państwa gromadzi większość akcji, to głos jego reprezentanta dominuje nad głosem pracowników akcjonariuszy. Sięgnięto do przedwojennego Kodeksu Handlowego, wedle którego akcje mogą być uprzywilejowane nawet pięciokrotnie. I zapisano w projekcie statutu, że akcje pracownicze są imienne i trzykrotnie uprzywilejowane co do prawa głosu. Tym samym dzięki posiadaniu 12 tys. akcji skarb państwa miałby prawo do 12 tys. „głosów", a pracownicy — po wykupieniu 8 tys. akcji — do 24 tys. „głosów". Zapisano, że początkowo każdy pracownik może wykupić nie więcej niż 8 akcji.

Do rozstrzygnięcia pozostawał jednak ciągle problem jak umożliwić pracownikowi kupno nawet tylko jednej akcji, skoro jej nominał wynosi 250 tys. zł? I tu to, co najoryginalniejsze w propozycji **„Transbudu"**, a na co inni nie wpadli: sugerowano, aby skarb państwa udzielił pracownikom pożyczki, pokrywającej 85 proc. wartości akcji. Przyznanej na 5 lat i to przy symbolicznym oprocentowaniu. Tym samym na zakupienie jednej akcji należałoby przeznaczyć początkowo 37,5 tys. zł. I warto zwrócić uwagę, że taka pożyczka w niczym nie wiązałaby się z dodrukowywaniem pieniędzy. Wprawdzie budżet początkowo ograniczy swe wpływy, ale jednak otrzyma pieniądze, których by nie zyskał, gdyby **„Transbud"** pozostał przedsiębiorstwem państwowym.

Transakcja powinna być opłacalna dla obu stron. Dla skarbu państwa i pracowników. Ten pierwszy z chwilą przekształcenia „Transbudu" traciłby prawo do pewnego zakresu podatków, w zamian zyskując dywidendy z posiadanych akcji. I w projekcie statutu interes budżetu państwowego został dobrze zabezpieczony.

Bardziej skomplikowana jest sprawa zabezpieczenia interesu pracowników. W przedsiębiorstwie był fundusz socjalny, mieszkaniowy, wypłacano wszystkim nagrody z zysku. Pracownicy swe pieniądze zamiast na kupno akcji mogliby przeznaczyć na kapitałową lokatę w banku, gdyż dywidenda z akcji nie jest gwarantowana, zależy od zysku, ale i od jego podziału, dokonywanego przez walne zgromadzenie akcjonariuszy, stąd istotne kto na forum tym będzie miał przewagę głosów. Wprawdzie akcje pracownicze względem akcji skarbu państwa miały być uprzywilejowane także co do dywidendy, lecz nie są to wypłaty „gwarantowane", do jakich przywykli pracownicy.

Trzeba też wspomnieć, że nie mamy nie tylko rynkowej wyceny majątku, ale też nie ma jeszcze rynku papierów wartościowych. Nie wiadomo czy wówczas gdy pracownik zechce sprzedać akcję, jego „papier wartościowy" będzie więcej wart czy też mniej (zależy to też od tego, jakie wyniki ekonomiczne osiągnie spółka, jak w niej zatrudnieni będą pracować).

Jednak chciano podjąć ryzyko, gdyż przeistoczenie się w spółkę powinno wyzwolić rezerwy. A takie istnieją. Odkąd ciężarówki zaczęto oddawać pracownikom w ajencję, samochody są lepiej wykorzystywane, psują się rzadziej. Inna jest więc jakość pracy, gdy pracownik czuje swój wpływ na własne zarobki.

Lęk przed prywatyzacją.

Rada pracownicza spotkała się dwukrotnie. Po raz drugi, gdy rząd powołał pełnomocnika ds. przekształceń własnościowych, a ten przesłał „Transbudowi" odpowiedź na propozycję (przedstawioną przez samorząd jeszcze gabinetowi Mieczysława Rakowskiego). Nie była to odpowiedź jednoznaczna, bo i taką być nie mogła. Obecny rząd uznał, że musi zostać zdefiniowane prawo, wedle którego mogą być dokonywane przekształcenia. I słusznie, bo trzeba położyć kres uznaniowości, protekcjom, prywatnym układom. Jednak odpowiedź min. Lisa wzbudziła w „Transbudzie" rozliczne obawy. Pełnomocnik sugerował, że przekształcenia powinny odbywać się przy publicznej, otwartej sprzedaży akcji. Oznaczało to, że ten kupi akcje, kto ma duży kapitał — należało się spodziewać, że będą to ludzie spoza przedsiębiorstwa. Czyli mało prawdopodobne stało się przekształcenie „Transbudu" w spółkę państwowo-pracowniczą, na losy której istotny wpływ mają pracownicy-akcjonariusze.

Rada pracownicza przez chwilę była skłonna oprotestować pismo pełnomocnika rządu. Później zastrzeżenia zaczęły nabierać.. subtelniejszego wymiaru. Bo skoro ten rząd cieszy się takim zaufaniem i sympatią, to lepiej stwierdzić, że PTSB chce negocjować zasady przekształcenia. I tak to ujęto w oficjalnym stanowisku samorządu.

Minęło kilka tygodni... Znana jest już dwunasta (!) wersja projektu ustawy, która tym razem przyjęta została przez Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów. W projekcie zapisano, że z chwilą dokonania przekształcenia pracownicy mogą liczyć na maksimum 20 proc. akcji, a wszystkie akcje będą równe w przywilejach. Nie będzie więc akcjonariatu pracowniczego, uznano, że w obecnym stanie naszej gospodarki jest to rozwiązanie „na wyrost".

Wcześniejsze próby dla „Transbudu" nie powinny jednak okazać się czasem straconym. Te przedsiębiorstwa, które dobrze przygotowywały się do przekształceń własnościowych i nadal chcą się przekształcić, będą mogły negocjować zasady sprzedaży 20 proc. akcji, uzyskując korzystniejsze warunki. Pracownik, który kupi pięć akcji, szóstą może za darmo uzyskać od skarbu państwa. Pracownicy mogą też liczyć na skredytowanie zakupu papierów wartościowych, itd. Nie jest to bez znaczenia, skoro inne przedsiębiorstwa też zostaną przekształcone, gdy same nie zechcą — to „z urzędu" i chyba na mniej korzystnych warunkach.

ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Wiosna — zimą

LIBIA: — Na dworcu lotniczym w Trypolisie rozgrywają się też dramaty.

Samolotem w krainę marzeń

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Każdy wtorek na lotnisku w Trypolisie jest dniem polskim. Przylatuje i odlatuje samolot z Warszawy, przylatują zatem i odlatują rodacy. Są pożegnania i powitania. Są również dramaty. Dramat na przykład przeżył człowiek, który przyleciał z Warszawy urąbany jak nieboskie stworzenie. Urąbał się ukradkiem na pokładzie samolotu ze szczęścia, że nareszcie będzie mógł zarobić na żonę i siedmioro dzieci. Wylądował. Taczał się w hallu dworcowym, osuwał z krzesła, rozsiewał dookoła podejrzane aromaty. W Libii za coś takiego idzie się do kalabusza albo wraca pierwszym rejsem do kraju. Konsul i przedstawiciel LOT-u byli na tyle przytomni, że wciągnęli go z powrotem na pokład i facet dośnił swój sen o szczęściu w fotelu lotniczym, a potem, w Warszawie, ocknął się, wytrzeźwiał i zaczął wyć.

Firma z Libii potrzebuje hydraulika, a Warszawa przysyła jej ślusarza. Inżynier mechanik by się przydał, zamiast niego przylatuje inżynier chemik. I tak dalej. Dyrektorzy kontraktowi wyrywają sobie włosy z głowy i klną instytucje warszawskie, które trzymają się tylko jednej zasady — niechaj zgadza się ilość osób: chcieliście pięciu, macie pięciu, chcieliście dziesięciu, macie dziesięciu. Byłem świadkiem, jak szef jednej ze znanych, działających na terenie Libii firm polskich przeegzaminował dziewiątkę nadesłanych mu z kraju robotników i stwierdził, że mimo najszczerszych wysiłków woli będzie mógł zatrudnić jedynie pięciu, pozostali bowiem są specjalistami w zupełnie innych branżach.

Co zrobić z ową pozostałą czwórką? Najprościej byłoby odesłać ich ciupasem do kraju, ale żal chłopaków. Biedne to, zestresowane, zszokowane, wszyscy czterej po raz pierwszy za granicą, i to od razu w Afryce! Jeden płacze; nie wstydzi się łez. Też ma ciężką sytuację rodzinną: brak mieszkania, chory ojciec, fura dzieciaków. Murarzem jest, umie także od biedy układać kafelki, ale na gazie to on, niestety, się nie zna. Więc co? Wróci, nie wróci? Ważą się jego losy na lotnisku. Dyrektor przyrzeka, że z kimś tam porozmawia, że gdzieś tam zadzwoni, że uda mu się, być może, znaleźć biedakowi pracę w jakiejś innej zaprzyjaźnionej firmie...

W niektórych polskich firmach w Libii są potknięcia. Oto wtorek, dziewiętnastego grudnia 1989 r., atmosfera przedświąteczna, której ulegają w pierwszym rzędzie ci, którzy odlatują do kraju, bo ci, którzy zostają, nie mogą sobie jakoś wyobrazić śniegu, mrozu i długich kolejek pod sklepami: słońce grzeje, drzewa kwitną, termometry wskazują w cieniu dwadzieścia kilka stopni. Do biura LOT-u, umieszczonego na piętrze dworca w sąsiedztwie biur innych zagranicznych towarzystw lotniczych wchodzi trzech Polaków. Przylecieli do Trypolisu wczesnym rankiem z jakiejś odległej o tysiąc kilometrów miejscowości libijskiej, no a teraz chcieliby wreszcie wsiąść do polskiego samolotu i polecieć po trzech długich i mozolnych latach nieobecności na Wigilię w rodzinnym gronie. Nic nie stoi niby na przeszkodzie, aby tak się stało, mają zarezerwowane, wykupione i potwierdzone bilety z OK., są w komputerze i na liście pasażerów, lecz nie mają niestety paszportów.

Pani Wanda, pracownica LOT-u skądinąd chemik z dyplomem doktora, jest zszokowana.

— *Jak wam się w ogóle udało przylecieć bez dokumentów?*

— *Jakoś się udało. Na lotnisku miał na nas czekać człowiek z paszportami. On zajmuje się administracją w naszej firmie i załatwiał nam wizy wyjazdowe. Kazano nam czekać na niego w hallu, więc czekamy od sześciu godzin. Nie znamy go, nie wiemy, jak wygląda.*

— *Panowie, nie mogliście przyjść do mnie wcześniej?* — pyta ze zgrozą pani Wanda. — *Jest po odprawie. Na pokładzie mamy komplet pasażerów. Nie polecicie. Do siebie tylko możecie mieć pretensje i do tego człowieka od paszportów. Gdybyście zgłosili się wcześniej, prawdopodobnie udałoby się jakoś znaleźć go nadając komunikat przez megafon. Szczerze mówiąc: powinniście się ruszać, pytać, szukać, a nie siedzieć w miejscu. On też powinien ruszać się, pytać i szukać. Jesteście na Boga, dorosłymi mężczyznami, a zachowujecie się jak dzieci.*

No i nie polecieli. Firma rzuciła ich na pastwę losu w nieznanym Trypolisie. Opuścili cicho oficynę LOT-u. Nigdy w życiu nie widziałem ludzi tak zagubionych. Święta w Polsce umknęły im nagle sprzed nosa. Stanęli w hallu dworcowym obok swoich bagaży. Bolało mnie i bolało panią Wandę serce, kiedyśmy na nich patrzyli poprzez balustradę na piętrze. Każdy miał ze sobą wór pomarańcz, bo wśród pracujących w Libii Polaków krąży fałszywa pogłoska, iż pomarańcze można wieźć do kraju za darmo, to znaczy: bez konieczności płacenia siedmiu i pół dolara za każdy kilogram nadbagażu.

Są dramaty jeszcze większe. Pewien mężczyzna wybierał się dwukrotnie, tydzień po tygodniu, w odwiedziny do narzeczonej w Polsce. Nie miał potwierdzonej rezerwacji w bilecie i za każdym razem odchodził od kasy z kwitkiem. Koledzy zaczęli pokpiwać z niego na campie, tymczasem biuro LOT-u podjęło starania, aby wcisnąć faceta do samolotu na kolejny rejs. Tłok ogromny panował w tym czasie na trasie Trypolis — Warszawa, rezerwacji trzeba było dokonywać kilka tygodni wcześniej, ale zawsze tak jest, że ktoś nagle się zgłosi, bo zmieni plany albo rozchoruje się, albo gwałtownie zakocha — no i jedno miejsce może przypadkiem się zwolnić.

Otóż zwolniło się przypadkiem jedno miejsce i pechowy narzeczony przestał być pechowym narzeczonym. Odprawił bagaż i wszedł na pokład dużego Tupolewa. Naoczny świadek opowiadał mi, że z chwilą, kiedy usiadł w fotelu przy oknie, jego straszliwie zdenerwowana twarz zaczęła się z wolna wypogadzać. Aż tu nagle odezwał się głośnik, że pan taki a taki (wymieniono godność narzeczonego) jest proszony o natychmiastowe skontaktowanie się ze stewardesą. Biel kredy i prześcieradeł wydawała się kolorem żwawym w porównaniu z bielą policzków faceta. Lekarz złapał go za puls; sto pięćdziesiąt. Zawał wisiał w powietrzu, ale okazało się na szczęście, że chodzi tu tylko o niedopełnienie jakiejś drobnej formalności biletowej.

Zdarzają się także dramaty ostateczne. W ciągu 1989 roku LOT przewiózł z Trypolisu do Warszawy zwłoki ośmiu Polaków. Nikt nie powiedział, że człowiek wyjeżdżający za granicę w poszukiwaniu szczęścia i pracy, nie może nagle rozstać się z życiem, nigdzie bowiem nie sprzedają patentu na nieśmiertelność. W Libii można zarobić, ale praca jest ciężka. Sześć i pół tysiąca Polaków skoszarowanych na campach „Dromexu", „Polimexu-Cekopu", Geokartu", „Elektromontażu", „Budimexu", „Naftobudowy", „Hydrobudowy", „Mostostalu", „Elektrimu", „Polservice'u", „Wadeco" i kilku innych firm rozsianych na tym ogromnym, ośmiokrotnie większym od Polski terytorium żyje dostatnio, mieszka wygodnie, nie ma kłopotów z zakupami, dzieci uczą się stacjonarnie albo korespondencyjnie w polskich szkołach, klimat sprzyja, kąpać i opalać można się okrągły rok, a mimo to wszystkich zżera nostalgia; wszyscy mówią bez przerwy o kraju, tylko jednostki zdołały się w pełni zaadaptować, wreszcie wcześniej czy później zaczyna odstawać piąta klepka.

Zrozpaczony gość poszedł w pustynię i znaleźli go po ośmiu dniach w odległości trzydziestu kilometrów od campu — kości jego ogryzione przez psy. Inny gość, nie sprawiający bynajmniej wrażenia mężczyzny chorego czy cierpiącego, powiesił się nieoczekiwanie. Jeszcze inny, z którego pokpiwali koledzy w campie, że on w Libii na pustyni, a żona rozrabia w Polsce z armią chłopaków, strzelił nożem rozbawionego żartownisia i poszedł siedzieć dożywotnio w libijskim więzieniu, bo o ekstradycji tutejsze władze nie chciały nawet słyszeć — owszem, odesłano do Polski, ale nie tego, który zamordował, lecz tego, który został zabity. W takich wypadkach stosuje się potrójne zabezpieczenie: folia, trumna drewniana i na koniec trumna metalowa, którą ładuje się do bagażowni samolotu.

Owego dnia przed świętami, dziewiętnastego grudnia 1989 roku LOT poza normalnym rejsem załatwił dodatkowy, drugi samolot tak, aby wszyscy ci, którzy chcieli spędzić Boże Narodzenie w Polsce, mogli skorzystać z tego ogromnego dobrodziejstwa. Niewiele brakowało, aby przyleciał tego dnia do Warszawy duży i wygodny Boening 767, zdolny pomieścić na pokładzie dwustu ośmiu pasażerów. Jeśli tak się nie stało, to z winy kierownictwa „Dromexu", które pośpieszyło się i wyekspediowało do kraju sześćdziesięciu swoich pracowników na pokładzie samolotu Libijskich Linii Lotniczych.

Wielu ludzi narzeka na LOT podobnie, jak narzeka się na wszystkie polskie instytucje usługowe, ale trzeba od razu powiedzieć, że w porównaniu z naszą krajową i międzynarodową komunikacją kolejową i autobusową LOT jest perłą czystej wody. Nie ma mowy o zepsutych ustępach i pokrojonych żyletką siedzeniach, nie ma mowy, aby stewardesa odezwała się do ciebie w sposób grubiański, dobrze jesz, dobrze pijesz, kiedy zaboli cię żołądek lub głowa, w każdej chwili możesz liczyć na pomoc, dzieci i osoby starsze są hołubione i zapraszane na pokład w pierwszej kolejności. Są zapewne bardziej komfortowe i wytworne linie, ale wielu podróżnych twierdzi, że LOT-em nie tylko bliżej. LOT-em cieplej!

Znajdziesz w Trypolisie dwa biura LOT-u — to, które już wspomniałem, usytuowane na piętrze dworca lotniczego w sąsiedztwie Tureckich i Jordańskich Linii Lotniczych, oraz to, które mieści się w centrum stolicy przy 1 September Street, graniczące przez ścianę z oficyną Air Malta. September Street, biegnąca w stronę Placu Zielonego arteria, zwana jest przez Polaków ulicą Lotowską — tu załatwia się wszelkie formalności wyjazdowe i mogę z ręką na sercu powiedzieć, że każdy Polak przyjmowany jest tutaj jak krewny. Personel biura zaprzyjaźnił się z całą libijską Polonią, porozmawiasz, pożartujesz, dostaniesz kawę i papierosa, popatrzysz sobie na prawdziwą, sprowadzoną z kraju choinkę, którą nawiasem mówiąc, własnoręcznie ubierałem.

Bywa oczywiście, że wśród interesantów trafi się nagle cham. Cham potrafi rozedrzeć pysk i uderzyć pięścią w ladę. Cham potrafi kląć i kłamać. Jednemu chamowi wyraźnie powiedziano, że w Trypolisie należy stawić się na lotnisku już cztery godziny przed odlotem, podczas gdy w innych krajach obowiązuje tylko dwugodzinne wyprzedzenie. No, ale Libia ma swoje rygory i trzeba ich przestrzegać. Nim przyjedziesz do Libii, musisz najpierw zdobyć odpowiednią arabską pieczątkę i zarabizować paszport — dopiero wówczas możesz starać się w libijskiej ambasadzie o wizę — a po przylocie do Libii musisz z kolei odwiedzić policję i postarać się o rejestrację paszportu. Nie kończą się na tym twoje paszportowe kłopoty, bowiem w chwili opuszczania Libii potrzebna jest jeszcze wiza wyjazdowa, której otrzymanie jest równoznaczne ze stwierdzeniem, że nie masz wobec tego kraju żadnych moralnych i materialnych długów.

Od trypolitańskiego, śródmiejskiego biura LOT-u jedzie się samochodem na odległe o trzydzieści kilometrów lotnisko doskonałym, dwupasmowym higwayem. Cham pokonał ten dystans i wpadł do dworcowego biura LOT-u na godzinę przed startem, po odprawie już i po definitywnym zakończeniu wszelkich innych ceregieli związanych z bagażem, paszportem, wizą i opłatą lotniskową, o której koniecznie należy pamiętać i która wynosi trzy dinary, co przy oficjalnej wymianie stanowi równowartość dwunastu dolarów USA. Cham miał również ze sobą bagaż podręczny — kawę, herbatę i, rzecz jasna, pomarańcze, dużo pomarańcz, był to bowiem kolejny kandydat do odbycia bezpłatnego, pomarańczowego lotu.

Oświadczono mu grzecznie w biurze:

— *Za późno pan przyszedł.*

— *Jak: za późno?! Co: za późno?! Powiedzieliście mi wyraźnie, do ciężkiej cholery, że mam być dwie godziny przed odlotem!*

— *Cztery godziny, łaskawy panie! W każdej chwili możemy to panu udowodnić. Możemy pojechać do Trypolisu i pokazać panu wywieszony w tej sprawie komunikat. Zresztą, do odlotu mamy niewiele ponad godzinę.*

Cham, zamiast prosić, w dalszym ciągu się pieklił. Tak czy owak, poleciał, aczkolwiek przedtem został wyregulowany:

— *Milczeć* — wrzasnął na niego przedstawiciel LOT-u. — *Wanda, odpraw kłamczucha!*

Zorganizowano specjalną odprawę, pokonano, jak to się mawia, wszelkie obiektywne trudności, a jest ich w takim wypadku sporo. Na lotnisku w Trypolisie funkcjonariusze i urzędnicy często nie noszą mundurów, często nie wiadomo z kim rozmawiasz — z policjantem, celnikiem, bagażowym czy kasjerem. Są to jednak ludzie mili i uprzejmi, pod warunkiem, że zwracasz się do nich w podobny sposób. Pomogli. Przepuścili chama. Przepuścili jego bagaż główny i bagaż podręczny, który powinien mieć określoną kubaturę: sto dwadzieścia centymetrów w trzech wymiarach — szerokości, długości i wysokości, i który nie może przekraczać wagi pięciu kilogramów.

Dodatkowym utrudnieniem dla pasażerów i urzędników zagranicznych towarzystw lotniczych jest fakt, iż na lotnisku w Trypolisie wszelkie komunikaty podawane są wyłącznie w języku arabskim, aczkolwiek wolno podawać je również w innych językach. Tylko raz, z okazji jakiegoś nadzwyczajnego lotu Swissaira, megafony przemówiły po niemiecku i angielsku, na tym jednak wyczerpał się limit przeznaczony dla europejskiej lingwistyki bowiem Europejczykom nie chce się jakoś przemawiać po swojemu. Podobnie zresztą wygląda sprawa z tablicami drogowymi. Z nazwami ulic, które w większości wypadków nie mają w ogóle na rogach tabliczek, a jak mają, to oczywiście te nieczytelne, pokryte makaronikami; podobnie wygląda sprawa oznakowania biur, urzędów i wszelkich innych instytucji — bez znajomości arabskiego jesteś bezradny jak niemowlę, zatem, przyjeżdżając do Libii, warto przyswoić sobie przynajmniej kilkanaście zwrotów z zakresu tego bogatego języka o dużym zasięgu. Z drugiej strony Libijczycy, zdolni jak wszystkie arabskie narody, często rewanżują się cudzoziemcom szokującą znajomością rzadkich języków europejskich — bluźnią wprawnie po jugosłowiańsku i czesku, trajkoczą po polsku, nieraz wysłowią się po duńsku i węgiersku, angielski zaś (w mniejszym stopniu włoski) zna w wąskim zakresie niemal każdy Libijczyk.

Po dwóch ostatnich wielkich tragediach na Okęciu (ta w Lasach Kabackich na zawsze pozostanie w mojej pamięci) latamy spokojnie, z rosnącym zaufaniem, nie zapominając wszakże o tym, że nie wszystko zależy od pilota i silnika. Podchodzący do lądowania samolot zapala mimo słonecznej pogody czołowe reflektory, aby spłoszyć złowieszcze stada ptaków. Podchodzący do lądowania samolot zderza się często z mrozem, z deszczem, z wichurą, z bocznymi podmuchami wiatru, z oblodzonym pasem startowym i z niespodzianką, którą zawsze może rzucić mu jak wyzwanie złośliwy los. Trudno uwierzyć, iż już nigdy nie przydarzy się LOT-owi groźny incydent, ale historia ludzkości jest historią tragiczną w każdym swoim rozdziale i odsłonie.

Rys. Sławomir Łuczyński

W Zielonej Górze i Gorzowie Wielkopolskim.

Co dalej z teatrem?

Przez całe lata nasze sceny prowincjonalne działały i nikt się nimi nie interesował. Negatywne oceny krytyków nie były brane pod uwagę przez miejscowe władze. Uznano, że dla dobra kultury teatry te są potrzebne i koniec.

Teatralna prowincja coraz bardziej obniżała poziom. Bywały placówki, które, nie mogąc skompletować zespołu aktorskiego, bazowały głównie na adeptach. Publiczność nie interesowała się przedstawieniami w tych teatrach — istniały tylko dzięki szkołom i wojsku. Na papierze wszystko wyglądało ładnie, natomiast w rzeczywistości było dość przerażające.

Wreszcie zaczynamy przyglądać się pracy tych scen, opierając się nie na sprawozdawczości, lecz na faktach. Resort kultury uznał, że będzie wspierał (czytaj: dawał dotację) tylko te teatry, które mają osiągnięcia artystyczne, reprezentują przyzwoity poziom i budzą nadzieję na przyszłość. Niektóre sceny przejdą na „garnuszek" władz miejskich. Zobaczymy, czy będzie nas stać na utrzymanie takiej ilości teatrów terenowych.

Jestem przeciwko arbitralnym decyzjom administracyjnym, polegającym na prostym pomyśle aby jednym pociągnięciem pióra zlikwidować małe sceny. One same powinny udowodnić, że ich istnienie ma wyższy sens społeczny.

Sytuacja jest dość rozaszczliwa — w wielu miastach zainteresowanie sprawami teatru i jego dalszą egzystencją, jest niewielkie. Nie myślę o publiczności, lecz o lokalnych władzach, które wyszły z założenia, że za wszystko odpowiada resort kultury, a one są zwolnione od obowiązku myślenia o miejscowej scenie, która przecież powinna być swoistym centrum intelektualnym w regionie.

Bardzo trudna sytuacja jest w **Zielonej Górze**. Przez minione lata scena ta, dzięki „upartej pracy" nisudolnych dyrektorów utraciła kontakt ze swoją widownią. Od października 1989 roku **Lubuski Teatr Dramatyczny** prowadzi doświadczony reżyser **Janusz Kozłowski** (przed laty uratował teatr grudziądzki przed likwidacją), który rozpoczął trudną walkę, aby placówka ta w swoich działaniach artystycznych nawiązała do czasów, gdy prowadził ją **Marek Okopiński**, mając u boku **Stanisława Hebanowskiego** jako kierownika literackiego.

Janusz Kozłowski musi pozyskać miejscową widownię, a także — przekonać środowisko i zielonogórskich działaczy kulturalnych, iż nie zamierza powtarzać błędów swoich poprzedników i pragnie rzeczywiście zmienić profil teatru. Nowy dyrektor zastał teatr, który cieszył się niewielkim zainteresowaniem wśród publiczności, a obecne możliwości finansowe placówki uniemożliwiają budowanie odpowiedniego repertuaru.

Jest faktem, że właśnie **Januszowi Kozłowskiemu Zielona Góra** zawdzięcza pierwsze od wielu lat przedstawienie, które wykracza poza przeciętność artystyczną. Myślę o spektaklu **„Brytana Brysia" Aleksandra Fredry**. Ta rzadko grywana komedia stała się inteligentnym i dowcipnym komentarzem do naszej rozpolitykowanej rzeczywistości: akcja sztuki rozgrywa się w krainie zwierząt, które zawzięcie walczą między sobą o władzę. Skojarzenie z **„Folwarkiem zwierzęcym" Orwella** jest tutaj oczywiste. To bardzo dobre i wartościowe przedstawienie. Niestety, zostało dość nieufnie przyjęte przez zielonogórską widownię.

W tej sytuacji **Janusz Kozłowski** zdecydował się na ryzykowne posunięcie, które w istocie było żartem literacko-teatralnym (ale dowcip to dość gorzki) i wystawił adaptację ...**„Trędowatej"**, pokazując spektakl po raz pierwszy w wieczór sylwestrowy. Publiczność dopisała, ale na głowę dyrektora spadły gromy, że ulega szmirze i zandecie, że aktorzy nie potrafią nosić stylowych kostiumów, które na dodatek są wątpliwej jakości... Plusem tej „afery" (podobnej do tej, której autorem był przed laty **Krzysztof Rościszewski** w **Grudziądzu**), był fakt, iż wreszcie zwrócono uwagę na teatr. Być może „Trędowata" spowoduje zwiększenie zainteresowania sztuką sceniczną w **Zielonej Górze** i pozwoli Januszowi Kozłowskiemu na swobodniejsze działania.

Z całą pewnością powinna zmienić się struktura zatrudnienia w tej placówce (artystycznej!). Pracuje tam 140 ludzi, z których tylko 27 to aktorzy, a ich gaże stanowią zaledwie 20 proc. przyznanej dotacji.

Lepsza sytuacja, ale tylko jeśli chodzi o sprawy artystyczne, jest w pobliskim **Gorzowie Wlkp.**, gdzie także z początkiem sezonu nastąpiła zmiana dyrekcji — szefem **Teatru im. J. Osterwy** został aktor i reżyser **Marek Mokrowiecki** (uprzednio związany z **Bydgoszczą**). Nie musi „odrabiać zaległości" i zaczynać pracy od podstaw. Teatr ma publiczność, a miejscowe środowisko wykazuje zainteresowanie tym, co dzieje się na gorzowskiej scenie. Najważniejsze, że **Markowi Mokrowieckiemu** udało się pokonać trudną barierę prowincjonalizmu, której nie mógł przełamać teatr gorzowski w ciągu wielu lat. Zrealizował spektakl pt. **„Stachuriada"**, który spotkał się z pozytywnym przyjęciem w prasie ogólnopolskiej, a „Stachuriada" była także prezentowana w **Warszawie**.

Marek Mokrowiecki nadał teatrowi dynamikę właściwą dla scen studenckich i w krótkim czasie sprawił, iż **Gorzów** znów ma szanse, aby stać się ważnym ośrodkiem w życiu kulturalnym. Powołał do życia Scenę Dramatu Współczesnego, na której mają być prezentowane sztuki polskich pisarzy, które jeszcze nie były publikowane. Inauguracyjną premierą była **„Księga bałwochwalcza" Krzysztofa Wójcickiego** — rzecz o ostatnich dniach **Bruno Schulza**, zamordowanego w getcie w Drohobyczu.

I wreszcie ostatnia gorzowska premiera — wieczór jednoaktówek **Vaclava Havla („Audiencja" i „Protest")** — bodaj najciekawszy spektakl w trakcie dyrekcji **Marka Mokrowieckiego**. Reżyserował **Wiesław Nowicki**.

Co dalej z teatrem terenowym? Na to pytanie muszą odpowiedzieć ludzie, którzy te sceny prowadzą, miejscowi animatorzy życia kulturalnego, wreszcie — publiczność.

MIROSŁAW SARNECKI

STANISŁAW ROMANIAK

★ ★

Zbudowałem dom
stałem się
mężczyzną
nadałem klocowi
kształt
byłem rzeźbiarzem
napisałem wiersz
byłem poetą
zasiałem ziarno
wykiełkowało źdźbło
deszcz i wiatr
burze i słońce
czy wyrośnie kłos

W nowym Klubie Dziennikarza otwarta została wystawa rzeźb **Stanisława Romaniaka**.

Aktor ważniejszy od pieniędzy

Rozmowa z GRZEGORZEM KWIECIŃSKIM.

— Aby nas nie posądzano o rodzinne układy, chciałbym oznajmić wszem wobec, że nie jesteśmy krewniakami, co uczyniwszy mogę już śmiało przejść do rzeczy. A zacząłbym od tego, że w młodszym pokoleniu ludzi teatru niezbyt chyba często przejawiają się zainteresowania sztuką dla dzieci, a zwłaszcza teatrem lalkowym. Toteż witając w panu nowego dyrektora „Pinokia" wolałbym usłyszeć, że zdecydował się pan na pracę w tej dziedzinie z pełnym przekonaniem o jej wysokiej randze, a nie z braku lepszego wyboru...

— Może rozwieję pańską nieufność, kiedy powiem, że moje zainteresowanie teatrem było do pewnego stopnia wynikiem zainteresowań plastycznych. Zresztą po ukończeniu Liceum Plastycznego w Nałęczowie zacząłem się pasjonować, początkowo jako widz, bujnym wówczas i oryginalnym życiem teatralnym, w którym objawił się m.in. teatr alternatywny, oparty na kreacji zbiorowej. A kiedy odbywałem studia plastyczne na Uniwersytecie Lubelskim, zacząłem już uprawiać teatr czynnie, tworząc m.in. swój teatrzyk „Ognia i papieru", który był przychylnie przyjmowany nie tylko przez krajową opinię.

— A od kiedy datuje się pana stały związek formalny i głębsza artystyczna więź z lalkami?

— Chyba zanim ukończyłem wydział lalkarski warszawskiej szkoły teatralnej w Białymstoku, zdałem sobie sprawę nie tylko, że lalka może być czymś więcej niż ...wizytem, może być bohaterem, ale że przede wszystkim jest ożywioną formą plastyczną o ogromnych możliwościach metaforycznych.

— I potem trafił pan do Opola...

— Zrobiłem tam przed pięciu laty przedstawienie dyplomowe, a później, jako kierownik i reżyser, mogłem w tej swojej placówce kontynuować działania utrzymane w bliskiej mi estetyce, właśnie „ognia i papieru", zdecydowanie poetyckiej.

— Nie wnikając w szczegóły tej estetyki, z której prezentacją zapewne się spotkamy, chciałbym jednak zapytać, czy nie odczuwa pan żalu oddając stworzone przez siebie figury pastwie płomieni? I bez tego aktu całopalenia przedstawienie teatralne jest dostatecznie ulotne...

— Symboliczna wymowa ognia sprawia, iż jest to medium zawsze solidnie oddziałujące na widownię, a mnie samemu ten ogień przynosi jakby oczyszczenie. Katharsis!

— Ogień też, jak sami pamiętamy, sprawia silne wrażenie w dzieciństwie.

— No właśnie. A przecież uprawiając sztukę dla dzieci chce sobie człowiek dorosły przypomnieć siebie jako dziecko.

— Muszę pana zapytać, czy obejmując teatr w czasie tak trudnym dla materialnej egzystencji sztuki, nie odczuwa pan lęku przed przyszłością placówki?

— Jak by nie oceniać roli środków materialnych, trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że aktor zawsze jest ważniejszy od pieniędzy, bez których można nieraz, choćby najskromniejszymi środkami, zrobić pełnowartościowe przedstawienie. Ileż jest w świecie grup i rodzin teatralnych, których część dopiero po latach trudów i sukcesów uzyskuje jakieś dotacje. Bez załamywania rąk muszę więc pogodzić się z sytuacją, że od samego teatru będzie zależało utrzymanie się na powierzchni, a powinien nam sprzyjać oddany przez miasto doskonały lokal przy Struga 98.

— A co zamierza pan tu zdziałać, zanim odzyskacie wyremontowaną stałą siedzibę przy Kopernika?

— Marzy mi się mnóstwo różnych rzeczy, z których wymienię dwie. Chciałbym dawać prezentacje przyjezdnych teatrzyków, co w obecnych warunkach może okazać się niełatwe. Bardzo mi też zależy na prowadzeniu studia dla najmłodszych, w postaci stałych zajęć z dziećmi, które w zabawie uczyłyby się teatralnego abecadła, co czasami kończyłoby się może jakimś pokazem...

— Byłoby to istotnie wspaniałe. A co z „normalną" działalnością repertuarową?

— Chcę zmontować przedstawienie na tekstach Marii Kownackiej, potem wystawić „Pastorałkę" Schillera, pragnąłbym dać „Króla Maciusia I" Korczaka, a wreszcie „Don Juana" Moliera dla dorosłych. Należałoby bowiem podtrzymać tradycję tutejszej sceny dla dorosłych. Ale nie chciałbym przedwcześnie roztaczać śmiałych planów, zanim jeszcze postawiłem tu pierwszy krok.

— Oby był udany, jak i następne.

Rozmawiał: JERZY KWIECIŃSKI

Na Teatr Wielki mogę

— mówi BARBARA ŚLIWIŃSKA, impresario z Heilbronn.

Adam Domański: — Jest pani człowiekiem-instytucją, szefową własnej agencji, koneserką sztuki i muzyki, propagatorką polskiej kultury w RFN, menażerem dbającym o widzów, troszczącym się o artystów w każdej chwili ich pobytu tu, w Heilbronn. Pani dzień pracy ma kilkanaście godzin! Kiedy pani odpoczywa?

Barbara Śliwińska: — Pod koniec czerwca i w lipcu. W ciągu sezonu pracuję intensywnie, gdyż celem, który sobie stawiam jest prowadzenie jak najszerszej wymiany artystycznej. „Agentur Barbara Śliwińska" powstała w Heilbronn 4 lata temu, ale jest kontynuacją mojej poprzedniej pracy: miałam dużą praktykę w Polsce jako wicedyrektor Estrady w Warszawie, 13 lat spędziłam w Pagarcie. Przeszłam tam różne stanowiska od zwykłego referenta poczynając. Moją pierwszą samodzielną pracą była organizacja imprez towarzyszących piłkarskim mistrzostwom świata we Frankfurcie '1974. Jak więc pan widzi — poznałam pracę od podszewki.

A.D.: — Cała pani działalność to Heilbronn i okolice?

B.Ś.: — Skądże. Całe Niemcy. Wprowadzam tu polskie i zagraniczne zespoły, teatry, solistów. Staram się to robić kompleksowo, wysyłając także tutejszych artystów do Polski. Czasem działam szerzej, np. moja agencja współorganizowała wyjazd artystyczny łódzkiego zdolnego tancerza **Sławomira Woźniaka** na występy w New Jersey na zaproszenie Iriny Fokiny, w grudniu ub. roku. W roku bieżącym wiozę balet leningradzki **Borysa Ejfmana** do Tel Awiwu. Współpracuję z nowojorską agencją **„Columbia Artists"**.

A.D.: — Na podstawie obecnych występów Teatru Wielkiego z Łodzi w Heilbronn i Heilbach widzę, że publiczność tutejsza lubi ten teatr. Często łodzianie tu przyjeżdżają?

B.Ś.: — Łódzka Opera występuje po kilka razy w roku w Stadttheater Heilbronn i Holderlinsaal w Fellbach koło Stuttgartu. Jest to stała współpraca. Teraz gościmy balet **„Kopciuszek" Prokofiewa** i operę **„Madame Butterfly"**. Występuje pełny skład: orkiestra, chór, balet, soliści. Rok temu balet przedstawił 20 spektakli **„Wolfganga Amadeusza"**, który bardzo się podobał. Wkrótce przybędzie **„Mefistofeles" Boita**, opera dziś rzadko grywana, której łódzka realizacja jest bardzo efektowna (w reż. **Ryszarda Peryta**). Za każdym razem mamy kilkanaście spektakli i sale są zawsze wysprzedane.

A.D.: — Gości pani ogromny zespół, 180 osób! Artyści mieszkają w trzech hotelach, występują w dwóch różnych miastach, są wożeni wspaniałymi autokarami Hoffmanna dowożącymi też zespoły z kraju — przed, w trakcie i po tournée. Przecież to się pani nie opłaca!

B.Ś.: — **Ależ proszę pana**, mam duże doświadczenie impresaryjne. Wiem, co może mi się opłacać, a co nie. Tu wszyscy skrupulatnie liczą. Nie mogłabym się utrzymać, gdybym nie miała zysku, nie zapraszałabym wówczas takiego zespołu. Przecież moja firma nie jest dotowana przez nikogo. Sukces finansowy mam jedynie ze sprzedaży sztuki. Cieszę się ogromnie, że ta sztuka, którą proponuję mieszkańcom przemysłowego okręgu Stuttgart, Heilbronn i okolic, znajduje takie wzięcie. Tutejsza publiczność bardzo lubi łódzki Teatr Wielki, a ja cenię go za solidność, no i oczywiście kształt artystyczny spektakli. A trzeba wiedzieć, że konkurencję ma ten teatr sporą — niedawno sprowadziłam tu znakomity **izraelski balet współczesny Batchevej**, był wspomniany już **Leningradzki Teatr Baletu Współczesnego** oraz **warszawski balet z „Córką źle strzeżoną"**. Warto tu dodać, że w Stuttgarcie działa znakomity, o sławie wykraczającej daleko stąd, znany już w Polsce balet kierowany przez **Marcię Haydée**. Wkrótce wystąpi tu **Opera Wileńska** pod kierunkiem **Virgilijusa Noreiki**, ze spektaklami **„Don Carlos"** Verdiego i **„Giselle"** Adama. Balet ten jak wiadomo jest na poziomie światowym. Heilbronn, 130-tysięczne miasto (z obrzeżami — 350 tys.) posiada piękny, nowoczesny teatr miejski, który ma 13 tysięcy abonamentów (chętnych jest dwa razy więcej). Rocznie dysponują ośmioma przedstawieniami obligatoryjnymi i sześcioma

PESTKI DYNI

Opowiadanie Iana Watsona w miesięczniku „Fantastyka" (nr 12) jest w równym stopniu **fantastyczne**, co przerażające i swoiście humorystyczno-groteskowe. Ponieważ nie wszyscy gustują w literaturze SF, uważając ją za bzdury bez sensu — o, jakże niesłusznie! — nie wszyscy czytają „Fantastykę", pozwolę sobie na streszczenie wizji Watsona.

„Straszna była ta zeszłoroczna wojna, ale przynajmniej teraz wiedzieliśmy, że ją wygraliśmy — i to na zawsze. Ukoronowaniem amerykańskich poszukiwań nie niszczącej broni nuklearnej, która nie rujnowałaby bogactw świata, była świeżo wprowadzona na uzbrojenie Bomba Promieniotwórcza. (...) BP nie powodowała prawie żadnych zniszczeń na skutek podmuchu lub gorąca; jeśli wybuchła zgodnie ze wszystkimi regułami w powietrzu — w ogóle żadnych. Ale jej krótkotrwałe promieniowanie było wprost niewiarygodne, nie dając przy tym żadnego efektu wtórnego. Jedna BP zrzucona na Moskwę zabiłaby wszystko, co żyje w mieście i okolicy — może z wyjątkiem karaluchów — pozostawiając wszystkie fabryki i bloki mieszkalne, biura, sklepy, muzea i cerkwie nietknięte. Kreml, rzecz jasna, skrytykował to natychmiast jako „superkapitalistyczną broń", która oszczędza własność, a zabija ludzi. I ujawnił swoją własną cudowną broń, którą nazwał „bombą socjalistyczną". Sam diabeł musiał przyłożyć rękę do konstrukcji tej soc-bomby. (...)

Nie wiem dokładnie, na czym to polegało, bo zabrakło nam czasu, żeby sklecić jakąś teorię, ale w zasadzie bomba wytwarzała podatomowe pole wibracji, zapewne na poziomie kwarków, działające na wszelką materię nieożywioną przetworzoną przez człowieka, noszącą ślady jego działania. Soc-bomba nie okazywała żadnego działania na żywą tkankę, krajobraz, minerały w ziemi a nawet żywność, choć niszczyła pojemniki. (...) W przeciągu paru minut przedmioty ulegały rozmiękczeniu, traciły kontury i znikały. Innymi słowy, w chwilę po zrzuceniu takiej soc-bomby na Nowy Jork nie było ani śladu Nowego Jorku, tylko puste miejsca z milionami ogłupiałych gołych ludzi. Tak, byliśmy nadzy i bezbronni. (...).

Kto zaczął wojnę? Na pewno Sowieci. Pewnie myśleli, że uda im się nas zaskoczyć. W ciągu niecałej godziny USA i ZSRR użyły wszystkich swoich bomb. Wszyscy Sowieci przestali istnieć. A my zostaliśmy nadzy i bosi, bez niczego, poza tym, co mogliśmy zrobić sami gołymi rękami. I nikt nie przybył nam z pomocą. (...) Ale Bóg był widocznie po naszej stronie. Jakaś siła wyższa podpowiedziała nam, co robić i jak. Jest naród, który został bez grosza przy duszy. I jest bezkresny kraj całkowicie opróżniony z ludzi, pełen pustych miast i fabryk, lotnisk i portów. Złóżmy te dwie rzeczy razem i co otrzymujemy?"

I oto zaczyna się obłędna wędrówka milionów ludzi, największa migracja w dziejach świata: głodni, zmarznięci Amerykanie, przez Alaskę, Cieśninę Beringa, czym tam kto może — wędrują do Rosji, do Chabarowska, bo najbliżej... A w Chabarowsku wódka, kawior i nawet telefony działają, nie mówiąc o Transsyberyjskiej...

I tak stopniowo zaczyna się zajmowanie — a raczej zasiedlanie — kraju, którego byli mieszkańcy walają się po ulicach, w domach na poboczach zeschłych mumii. Ale to są tylko ciała — te uprząta się łatwo. Pozostają jednak duchy. Duchy Rosjan. I te zaczynają wykonywać „swoją robotę".

Pewnego dnia jakiś Amerykanin mówi do swojej Mary: „Masza, a ona do niego zamiast Greg — Griszeńka..."
Dobre, co?!

ANDRZEJ GRUN

P.S. Ukazał się kolejny numer mojego ulubionego pisma NATURA—NATURYZM. Jak zawsze znakomity! Ideą przewodnią tego barwnego magazynu są słowa Oskara Wilde'a: „Kto w rzeczach pięknych odkrywa brzydkie cechy, ten jest zepsuty i pozbawiony wrażliwości. Jest to wada. Kto w rzeczach pięknych odkrywa piękne cechy, tego odznacza kultura. W nim cała nadzieja." Do omówienia magazynu powrócę. A na razie jeszcze tylko dziesiąty punkt z filozofii naturystów: „Szukaj radości nie w braniu, lecz w dawaniu". Też dobre! Zwłaszcza jak rzecz dzieje się wśród gołych...

A. G.

„Wolałbym pracować tylko w kraju..."

Rozmowa z ANDRZEJEM ŻYLISEM, aranżerem i kompozytorem.

— O sukcesie przeboju w dużym stopniu decyduje aranżacja. A jednak na ogół, np. w radiowych zapowiedziach piosenek, pamięta się jedynie o kompozytorze...

— Czyli o kimś, kto często ograniczył się do napisania paru dźwięków melodii z tzw. funkcjami. Takich „kompozytorów" zawsze uważałem za półmuzyków. Bo to żadna sztuka, żaden profesjonalizm. Sztuka zaczyna się od rozwinięcia pomysłu muzycznego w formie aranżacji. Nie wyobrażam sobie już zresztą rozdzielenia funkcji kompozytora muzyki rozrywkowej i aranżera. Komponowanie musi oznaczać tworzenie utworu w pełnym kształcie dźwiękowym.

— Jak w pana przypadku przebiega komponowanie?

— Tworząc melodię słyszę ją zinstrumentowaną, z uwzględnieniem szczegółów obsadowych. Pracuję zaś wtedy, gdy mam pomysł. Pomysły przychodzą niekiedy w momentach nieoczekiwanych — w teatrze, kuchni, kolejce. Wspomnę, że kiedyś nie wyobrażałem sobie dalszej „obróbki" takiego wstępnego pomysłu muzycznego bez pomocy fortepianu, głównie ze względu na uściślenie struktury harmonicznej. Od paru jednak lat jest inaczej. Pewną rolę odegrał tu przypadek. Gdy w „awaryjnej" sytuacji zgłosiła się do mnie na wczasach **Ewa Śnieżanka** z prośbą o zrobienie pilnej aranżacji na zagraniczny festiwal, uczyniłem to właśnie bez fortepianu, bo go nie miałem. Efekt poznałem z nagrania dopiero po jej powrocie do kraju — zadowolił mnie i odtąd uznałem fortepian za zbędny.

— W tym wypadku spełniał pan poniekąd funkcję „usługową".

— To był jeden z wyjątków, takie zlecone aranżacje robię bardzo rzadko i najczęściej z sympatii do wykonawcy. A Ewa Śnieżanka, obok **Ali Majewskiej**, należy do tych, które lubię i dla których napisałem wiele własnych piosenek. Choć ogólnie piosenka stanowi w mej działalności margines. Zaczynałem od niej w czasach studenckich, ale później zająłem się głównie muzyką instrumentalną. Pisałbym może więcej piosenek, gdybym otrzymywał dobre teksty. Dla mnie tekst jest ważniejszy.

— Pamiętam utwór będący pana pierwszym, potwierdzonym sukcesem aranżacyjnym. Jako kończący akurat studia teorii muzycznej w PWSM otrzymał pan na festiwalu opolskim nagrodę za subtelną aranżację piosenki Bogusława Meca „To nie był sen". Czyżby dyskontował pan wtedy „na świeżo" wiedzę wyniesioną z uczelni?

— Dobrze pan wie, że aranżacji tam nie uczono a ja kierowałem się wówczas raczej intuicją. Solidniejsze umiejętności zdobyłem później, po zaproponowaniu mi przez **Henryka Debicha** etatowej współpracy z jego orkiestrą w charakterze pianisty. Ta współpraca, trwająca na tak ścisłych warunkach 10 lat, stała się faktyczną szkołą zawodu aranżera. Poprzez praktykę zdobywałem stopniowo doświadczenie. Przeglądałem wnikliwie partytury wykonywane przez zespół. Grałem tę muzykę, słyszałem ją a zarazem „widziałem". Gdy Henryk Debich zaczął nagrywać moje aranżacje, miałem jeszcze zawsze czas na retusz, dodanie czy odjęcie jakiegoś brzmienia, by uczynić nagranie lepszym. Taśma jest bowiem bardzo „analityczna" i selektywna, nie wszystko jednakowo „przyjmuje".

— W pana muzyce dostrzegam związek z tradycją.

— Bo też za tradycjonalistę się uważam. Szczególnie lubię wykorzystywać możliwości dużej, klasycznej orkiestry i penetrować jej paletę barw, sięgając nieraz i do rzadziej wykorzystywanych instrumentów, jak flet altowy, klarnet basowy. Odpowiada mi też praca z żywymi ludźmi a nie np. syntezatorami. Modne dziś syntezatory nadają się — moim zdaniem — głównie do skomercjalizowanej muzyki disco, choć nie odżegnuję się przecież od nich całkowicie i z efektów elektronicznych, jako środka kolorystycznego, także korzystam.

— Czy pociągają pana większe formy w muzyce rozrywkowej? Zapamiętałem np. udaną „Suitę orkiestrową"...

— Owszem. Dlatego chętnie rozpocząłbym pracę nad musicalem, który uważam skądinąd za formę zwartą, a nie zlepek piosenek.

— Jakie jest pańskie zdanie na temat transkrypcji i parafraz muzyki poważnej?

— Tu wszystko zależy od sposobu opracowania. Nie akceptuję tzw. przeróbek polegających na pozostawieniu głównej melodii i dodaniu rytmu perkusji, pulsującego basu i naiwnego akompaniamentu innych instrumentów. Sam próbowałem nieco innej metody.

— Dla jakich zespołów pisał pan muzykę?

— Poza orkiestrą Henryka Debicha — dla zespołów PR i TV w Warszawie, Katowicach oraz orkiestr festiwalowych w Austrii, Bułgarii, NRD i na Kubie.

— Czy miał pan własny zespół? Na afiszach widywałem pańskie nazwisko jako lidera grup akompaniujących.

— Nigdy nie dysponowałem stałym zespołem. Natomiast współpracując przez jakiś czas z Estradą Łódzką (również jako kierownik muzyczny) miałem za zadanie stworzyć oprawę dźwiękową wielu prestiżowych imprez. Angażowałem wtedy muzyków, których cenię.

— Pana stosunek do jazzu?

— Bardzo go lubię i interesuje się nim. Sądzę też, że ambitną muzykę rozrywkową od jazzowej trudno oddzielić. Tak jest obecnie na Zachodzie. W swoich partyturach często pozostawiam miejsce na improwizację, myśląc zresztą o konkretnym wykonawcy. Wymienię np. **Andrzeja Olejniczaka** (szkoda, że wyemigrował), **Jacka Delonga** czy **Karola Nicze**. Nieraz w nagraniach sam biorę udział jako instrumentalista lub dyrygent.

— Ulubieni aranżerzy i kompozytorzy?

— Za mistrza nad mistrze uważam **Gila Evansa**. Jego płyta **„Szkice hiszpańskie"** powinna być lekcją poglądową dla wszystkich adeptów aranżacji. Niezmiernie cenię też m.in. **Chicka Corea**.

— Ostatnio sporo przebywał pan za granicą. Podejrzewam, że głównie z powodów bytowych.

— A czy w Polsce można wyżyć z aranżowania i komponowania? Wykluczone. Już w NRD jest pod tym względem lepiej. Swoją drogą nasza kultura muzyczna naprawdę wiele traci dlatego, że tak wyśmienici fachowcy jak **Wojciech Karolak** pracują dla Amerykanów lub Niemców z RFN. Jaki daje to skutek, można przekonać się słuchając amatorszczyzny muzycznej w radiu, telewizji i na festiwalach. Ja też wolałbym pracować tylko w kraju. Ale zmuszony jestem teraz znów szukać czegoś za granicą. Tym razem grać będę prawdopodobnie na statku, a więc przeżycia będą inne niż np. w Bilbao, gdzie uczyłem w Centrum Muzycznym fortepianu, kompozycji i dyrygentury. Będąc za granicą staram się, aby jakiś mój utwór nagrano na płytę czy dla radia. Po powrocie otrzymuję wtedy co pewien czas tantiemy i mogę sobie kupić w **Peweksie** — powiedzmy — trochę ulubionych pistacji lub suszonych moreli.

— Zapewne częstuje też pan nimi małżonkę, która — jak zdążyłem zauważyć — bardzo się w pana pracę angażuje.

— Nie przesadzę, jeśli powiem, że jest najbardziej krytycznym odbiorcą mej twórczości. Jako spikerka radiowa ma ogromne osłuchanie i wykryje nawet najdrobniejszy, nie zamierzony plagiat. Z jej zdaniem bardzo się liczę. Kiedyś zadedykowałem żonie kompozycję **„Dla Biruty"**, za którą otrzymałem potem nagrodę w RFN. Zdarzyło się, że gdy zapowiadała ten utwór w radiu, przez nieżyczliwych ludzi zostaliśmy posadzeni o uprawianie na antenie prywaty.

— Zakończmy może jakąś weselszą historią.

— Proszę bardzo. Zaaranżowałem przed laty piosenkę dla **Krzysztofa Krawczyka** na płytę festiwalu kołobrzeskiego, ale przez pomyłkę podałem zły czas trwania utworu. Ponieważ przy nagrywaniu podkładu instrumentalnego nie było ani mnie, ani solisty, nagrano to 2 razy szybciej. Nie znalazł się potem czas na nowe nagranie i w takiej postaci piosenka została wydana. Krawczyk ledwie łapie tam oddech...

— Dziękuję za rozmowę.

JANUSZ JANYST

Kronika

Wydarzeniem kulturalnym o dużej randze w naszym mieście jest otwarta 27 lutego br. w Centralnym Muzeum Włókiennictwa wystawa pn. „Skarby Kolegiaty Łowickiej". Ta bardzo ciekawa ekspozycja, na której po raz pierwszy pokazano łącznie ponad 100 eksponatów, składa się z dwóch unikatowych zespołów zabytkowych: kolekcji tkanin liturgicznych oraz złotnictwa kościelnego. Wśród prezentowanych dzieł sztuki znajdują się również portrety prymasów. Otwarcia wernisażu dokonał ksiądz biskup dr Władysław Ziółek — Ordynariusz Diecezji Łódzkiej. ▶ W rozstrzygniętym w Łodzi VII Ogólnopolskim Konkursie Wykonawczym Gitary Klasycznej, zorganizowanym w dniach od 14 do 17 lutego br. przez Ludowy Instytut Muzyczny, jury pod przewodnictwem prof. Aleksandra Kowalczyka nie przyznało I nagrody. Miejsce II zdobył student AM w Poznaniu — Karol Jurczyk, natomiast III nagroda, ex aequo, przypadła w udziale Albinowi Brzezińskiemu z PSM II st. w Opolu oraz Dariuszowi Domańskiemu z AM w Gdańsku. ▶ PTL „Pinokio" zorganizował 17 lutego br. specjalną imprezę, którą włączył się do akcji „Artyści dla Rzeczypospolitej". Dochód z wystawionego musicalu dla dzieci „Doktor Ojboli" oraz loterii fantowej przeznaczony został przez zespół łódzkiego „Pinokia" na fundusz wspierania inicjatyw społecznych i gospodarczych prezesa Rady Ministrów Tadeusza Mazowieckiego. ▶ W minioną sobotę, 24 lutego br., na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego odbyła się premiera niezwykle rzadko u nas grywanej opery Verdiego „Ernani". Ten niezwykle interesujący spektakl operowy przygotowali młodzi artyści Jose L. Pereza (reżyseria), Jose M. Florencio (opracowanie muzyczne) i Ryszard Kaja (scenografia). W roli tytułowej wystąpił Sylwester Kostecki, laureat nagrody „GR" za najlepszy debiut na scenach łódzkich w 1988 r. ▶ Ośrodek Filmowy ŁDK i Filmoteka Narodowa zorganizowały w naszym mieście, w ostatniej dekadzie lutego, przegląd filmowy pn. „Złote lata komedii angielskiej". Łodzianie mogli obejrzeć najlepsze utwory komediowe słynnej wytwórni Ealing. Pokazany został m.in. obraz „Szlachectwo zobowiązuje", w którym znakomity aktor brytyjski sir Alec Guinness wciela się aż w osiem ról (w tym jedną kobiecą). ▶ Leszek Skrzydło realizuje w łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych, według własnego scenariusza, film krótkometrażowy pt. „Orzeł biały" (tytuł roboczy). Przedstawione w nim zostaną dzieje naszego godła państwowego od czasów najdawniejszych aż po rok 1990, kiedy to uchwałą Sejmu przywrócono orłowi koronę. Fachowych konsultacji udzielają reżyserowi dwaj wybitni znawcy: prof. Andrzej Nadolski i doc. Stefan M. Kuczyński. ▶ Konfrontacje '89, jak zapowiada Okręgowa Instytucja Rozpowszechniania Filmów, rozpoczną się w Łodzi w kinie „Bałtyk" 28 marca br., zaś o dzień później we „Włókniarzu". Wśród pozycji repertuarowych znajdzie się m.in. jeden z najgłośniejszych obrazów minionego roku: „Deszczowy człowiek" Barry'ego Levisona, nagrodzony kilkoma Oscarami oraz „Złotym Niedźwiedziem" na festiwalu filmowym w Berlinie. Pokazany też będzie na tegorocznych konfrontacjach — przyrównywany do „Wielkiego żarcia" — film pt. „Kucharz, złodziej, jego żona i jej kochanek" zrealizowany w koprodukcji angielsko-włoskiej. ▶ Doktor Jacek Zaorski złożył rezygnację z funkcji dyrektora i redaktora naczelnego Wydawnictwa Łódzkiego. Do czasu rozstrzygnięcia konkursu ogłoszonego na to stanowisko przez Radę Pracowniczą WŁ — funkcję tę będzie pełnił red. Jarosław Skowroński.

Opracował: JAK

liczyć!

do wyboru. Są więc 14 razy w roku w teatrze. To niemało! Wymagają repertuaru i wykonawstwa na najwyższym poziomie. Miejscowy zespół teatru wystawia musicale — **„Evita"**, **„West Side Story"**, które były też w ramach rewizyty w Łodzi, teraz mamy **„Piaf"**, musical oparty na życiu wielkiej Edith — a także wystawia dramaty. W każdym jednak sezonie musi znaleźć się balet i dwie opery. Na dwóch scenach w roku granych jest 460 spektakli. Frekwencja — 96 proc.

A.D.: — W niewielkim Fellbach ogromna, 1500-miejscowa Holderlinsaal na naszym **„Kopciuszku"** — notabene pięknej realizacji scenicznej w choreografii **Iriny Fokiny** i oprawie scenograficznej **Xymeny Zaniewskiej** i **Mariusza Chwedczuka** — była pełna, do tego stopnia, że z trudem znalazłam miejsce dla siebie, wśród bardzo eleganckiej publiczności.

B.S.: — Widzi pan, Stuttgart „żyje" z Mercedesa, to centrum jego produkcji, Heilbronn — z Audi. Jest tu też elektrownia atomowa. Bogaty przemysł płaci podatki na cele socjalne, a do takich zaliczają się ośrodki sztuki jak Stadttheater czy Centrum Kultury w Fellbach. Heilbronn nad rzeką Neckar — to piękne, stare historyczne miasto, jak pan zapewne zauważył. W centrum są zabytki (ratusz!), nieco dalej zamek z XV wieku, wszystko utrzymane niezwykle starannie. W otoczeniu — wśród winnic, ogrodów i gorących źródeł żyje spokojnie i dostatnio miejscowa ludność, z której pochodzi dużo naszych widzów, co w połączeniu z mieszkańcami samego miasta daje pokaźną ich liczbę. Nie siedzą przed telewizorami, kochają swój teatr i chcą go odwiedzać. W Fellbach widzowie mają zagwarantowany w cenie abonamentu nawet dojazd autobusem do teatru i z powrotem do domu. Nikt ich nie przywozi „na siłę", nikt tej widowni nie „organizuje". To pojęcie tu nie znane. Dostatni kraj, ludzie umieją wypoczywać i doceniają sztukę. Obecność na przedstawieniach i koncertach, które także są tu na wysokim poziomie (ostatni goście miejscowej filharmonii — **Martha Argerich** czy **José Carreras**), jest dla nich ważnym elementem życia.

A.D.: — Jak dawno zaczęła pani współpracę z Teatrem Wielkim w Łodzi?

B.S.: — Mniej więcej trzy lata temu. Opera Śląska grała znakomity spektakl **„Nabucco"** Verdiego, pod dyrekcją nieodżałowanego **Napoleona Siessa**. Zaprosiłam i sprzedałam z góry kilkanaście przedstawień. Nagle zmarł dyrektor Siess. O 4 rano zadzwoniłam do Pietrasa — znaliśmy się od dawna i pytam, czy nie zrobi dla mnie „Nabucca". — „Odpowiem za cztery godziny!". I odpowiedział, za 3 godziny. TAK! Przesunęłam terminy. Zrobili w Łodzi ten spektakl w ciągu 2 miesięcy. Wyszedł wspaniale. Byli nie tylko tutaj, jeżdżą z „Nabucco" po całym świecie, ostatnio wystawili go na Martynice. Odtąd współpracujemy. Wiem, że Teatr Wielki w Łodzi jest solidny, mogę na niego liczyć. Z dyrektorem Pietrasem i jego współpracownikami rozumiemy się doskonale.

A.D.: — Jakie hity przewiduje pani w tym roku?

B.S.: — Stałe, można powiedzieć, występy łodzian — po „Kopciuszku", „Madame Butterfly" (9 przedstawień), jeszcze kilkanaście spektakli „Mefistofelesa", no i oczekiwane **„Diabły z Loudun" Pendereckiego**, w obecności kompozytora, choć premiera... dopiero będzie. Prócz tego ciekawe będą propozycje z Tel Awiwu dla baletu **Borysa Ejfmana**. Interesująca jest historia mojej z nim współpracy. W latach siedemdziesiątych, gdy Teatr Wielki w Łodzi przygotowywał świetny balet **Arama Chaczaturiana „Gajane"**, to właśnie Borys Ejfman opracował nowe libretto konieczne dla polskiej realizacji. Po długich targach Chaczaturian zgodził się na tę współpracę. Ówczesna obecność B. Ejfmana w Łodzi była jego pierwszą podróżą zagraniczną. Potem — wiedziałam o tym jako pracownik Pagartu — nie puszczano go za granicę. Dopiero w r. 1985, po moich wielokrotnych staraniach, gdy zafascynowana kształtem jego teatru tańca oglądanym w Leningradzie zdołałam go „wyciągnąć" i wtedy mógł ze swoim znakomitym zespołem przyjechać do Polski ponownie, na Łódzkie Spotkania Baletowe, zaprosiłam go wreszcie do Heilbronn. A teraz — robi karierę światową. Następnym „hitem", jak pan mówi, będzie ściągnięcie tu, dla widzów niemieckich świetnego baletu chicagowskiego. Widziałam go w grudniu 1988 r. w Nowym Jorku i od razu „zaklepałam" te występy. Dzięki naszym kontaktom obejrzy go w listopadzie także Łódź.

Rozmawiał:
ADAM DOMAŃSKI

Galeria pisarzy

JERZY RZYMOWSKI

Rys. Sławomir Arabski

GRABÓW: — Ludzie patrzą uważnie na ręce lokalnej władzy.

Dlaczego palacz nie dostał mieszkania?

1.

Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej próbował przydusić zarzewie konfliktu, który miał zaraz wybuchnąć. Fakt, że czynił to nieudolnie był tylko katalizatorem.

— *Co mi tu będziesz gadał, mamy prawo wiedzieć...* — zaczął „Kwiatek".

Przewodniczący na to:

— *Teraz się znaleźliście — działacze partyjni, ale służyliście komunie...*

„Kwiatka" podniosło:

— *Ty Czesiu lepiej usiądź, bo chyba nawet nie wiesz, co to znaczy komunista. Jak ja ci przypomnę, kto z kwiatami leciał witać pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego w Koninie i kajał się przed nim ze swojej działalności w „Solidarności"... Ustaliliśmy przecież, że stomatolog musi być i co, teraz ma nie przyjść? Teraz to nikt tu nie przyjdzie, bo zajęliście mieszkanie dla niego.*

W scenie udział wzięli:

— Czesław Cieślak — przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Grabowie, województwo konińskie.

— Piotr Kwiatkowski — działacz byłej PZPR, usuwany z organizacji za działalność reformatorską. Sympatyk „Solidarności". Przewodniczący Rady Sołeckiej.

2.

Kilka miesięcy temu opublikowano w „Odgłosach" reportaż o Zygmuncie Borowskim, którego władza ludowa ukarała jedenastoletnim bezrobociem za to, że zgłosił do PZPR fakt utopienia zdatnego jeszcze do użytku zboża.

Zygmunt Borowski od wielu lat z żoną i córką mieszkał w jednym pokoiczku, z którego wydzielono kuchenieczkę. Woda i toaleta na podwórku, węgiel w kuble. Woda z każdego większego deszczu przez higroskopijny sufit spływa ciurkiem na „pokoje". Władze gminy doskonale wiedzą o sytuacji mieszkaniowej Zygmunta Borowskiego, jego podania mają w swoich szufladach. Pomoc nadchodzi niemrawo, bo Zygmunt Borowski widzi za dużo i mówi za dużo. A na dodatek jest uczciwy, sumienny w pracy i bardzo go boli, jeżeli ktoś bierze pieniądze za pracę, której nie wykonał.

3.

Do służbowego mieszkania w ośrodku zdrowia, opuszczonego przez byłego kierwnika, przeniosła się ze swojego mniejszego, też służbowego lekarka z mężem. W ten sposób jedno zostało wolne.

4.

Zygmunt Borowski jest w ośrodku dozorcą, zimą dodatkowo pali w kotłowni lokalnego CO. Kierwnictwo Gminnego Ośrodka Zdrowia tak próbowało zorganizować mu pracę, że w ośrodku musiałby spędzać całą dobę. Napisał więc kolejną prośbę do naczelnika gminy, aby przydzielono mu mieszkanie — to wolne w ośrodku.

Naczelnik gminy Grabów — Włodzimierz Ryszkiewicz publicznie stwierdził, że wolne mieszkanie jest przeznaczone dla stomatologa i żadna postronna osoba nie zostanie doń wprowadzona. W prasie ukazało się trzykrotnie ogłoszenie, że mieszkanie jest, stomatolog potrzebny pilnie w Grabowie i już. Na tym koniec.

5.

2 grudnia 1989 roku o dziesiątej wieczorem z mieszkania czekającego do 20 listopada na stomatologa, a które zajęła pracownica socjalna wyszedł Włodzimierz Ryszkiewicz. Krokiem wskazującym na spożycie zmierzał do drzwi, ale wpadł do kotłowni. I całe jego szczęście, że zawiesił się na klamce otwartych drzwi.

6.

Były kierownik ośrodka twierdzi, że nie zostały wyczerpane wszystkie możliwości znalezienia lekarza dentysty. On pojechałby do Łodzi i w Akademii Medycznej porozwieszałby ogłoszenia, porozmawiał. Jego podróż do Łodzi — tak twierdzi — na pewno przyniosłaby skutek.

7.

— Ty szpiclu! — zaatakowała Zygmunta Borowskiego pracownica socjalna — Anna Nowakowska. Później dołączyli inni — że nie pali dobrze w piecach; że nie chce robić drobnych napraw; że wynosi poza ośrodek informacje o kierowniku, który codziennie przychodzi do pracy później niż powinien; o tym, że naczelnik wpadł do kotłowni; że...

Zygmunt Borowski dostał naganę.

8

Anna Nowakowska — mężatka, matka małego dziecka — do czasu zajęcia mieszkania czekającego na stomatologa mieszkała u babki. Właścicielka domu, do wykończenia którego pozostało tylko wybiałkowanie.

9.

W mrocznej kotłowni Zygmunt Borowski karmi kocięta, które porzuciła zdziczała matka. Drzwi do kotłowni dokładnie zamyka, żeby później nie było, że wynosi plotki.

10.

— *Nie byłem przychylny Borowskiemu* — mówi poprzedni kierownik GOZ — *bo zostałem poniekąd zmuszony, żeby go przyjąć do pracy. Później przekonałem się, że pan Zygmunt to wzorowy pracownik. Chętnie robił także to, co nie należało do jego obowiązków. Nigdy nie miałem do niego żadnych pretensji.*

11.

W Grabowie jest więcej oczu, nie tylko Zygmunta Borowskiego.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

OBYCZAJE: — Najpierw bliscy sobie — następnie zaciekli wrogowie.

Gdy dziecko jest tylko przedmiotem w rozgrywce

MONIKA MATUSZAK

1.

Poznali się jeszcze w liceum. Po wakacjach ona zamieszkała u niego, w trzy lata później pobrali się. Babcia Doroty była świadkiem Jehowy, Jerzy służył w milicji, więc wzięli tylko cywilny ślub. A potem...

„Sąd Rejonowy (...) rozwiązuje przez rozwód związek małżeński zawarty przez Jerzego G. i Dorotę G. z winy obojga małżonków (...). Sąd powierza obojgu rodzicom wykonywanie władzy rodzicielskiej nad małoletnim synem Jackiem G. urodzonym 23 października 1978 r., przy czym ustala, że miejscem zamieszkania dziecka będzie miejsce zamieszkania matki (...)".

2.

Zdaniem Jerzego G. nieporozumienia zaczęły się po przyjściu na świat Jacka z powodu wizyt ciotki Doroty, która wtrącała się w wychowanie dziecka. Wkrótce Dorota pod nieobecność męża wyprowadziła się. Przez półtora roku dziecko było z ojcem, matka mieszkała wtedy z innym mężczyzną (Dorota zaprzecza takiej wersji). W tym czasie dwukrotnie byli na wczasach w trójkę i Jerzy zamykał oczy na to, co robiła Dorota.

Jerzy G.: — *Byłem dzielnicowym, pracowałem w harcerstwie, zacząłem bawić się w „Solidarność". Być może trochę zaniedbałem sprawy rodzinne.*

13 grudnia 1981 r. nie stawił się do pracy, bo nie miał z kim zostawić dziecka.

— *Jak mogłem pracować po 16 godzin?* — mówi. — *Chcieli mnie za to postawić pod mur, mnie w sądzie, gdy świadczyłam na korzyść pana G.*"

Ciotka Doroty, Janina N. zeznała przed sądem, że wielokrotnie była obecna w szkole i widziała, że ojciec w ogóle się nie pojawiał albo był w szkole, ale nie zabierał ze sobą dziecka. Jej zdaniem Jerzy G. dręczył syna.

Dorota G. uważa, że *„mąż utrudnia jej wychowywanie syna w ten sposób, że odwiedza go w szkole i źle usposabia wobec niej personel pedagogiczny (...). Mąż deprawuje chłopca, ponieważ ma nieprawidłową osobowość oraz przejawia skłonności homoseksualne".*

Jerzy G.: — *Żona uważa, że każda kobieta, która stanie po mojej stronie, jest moją kochanką, natomiast ze wszystkimi mężczyznami pije wódkę.*

Mówi Zofia C.: — *O ile nigdy nie trzymam strony mężczyzn w takich sprawach, to tu naprawdę mi go żal. On płakał w szkole, że nie może widzieć się z dzieckiem.*

Opinia Ośrodka Diagnostyczno-Konsultacyjnego o Dorocie G. wydana na zlecenie Sądu Rejonowego: *„(...) jest pobudzona emocjonalnie, drażliwa. Wypowiada wiele negatywnych ocen na temat męża. Zdecydowanie nie dąży do jakiegokolwiek porozumienia, nastawiona wrogo i agresywnie. Podczas kontaktów Jacka z ojcem (...) stara się wszystko kontrolować i wpływać na stosunek syna do Jerzego G.".*

Natomiast jej małżonek *„jest rzeczowy, bezkompromisowy w sprawie dążenia do udowodnienia żonie winy za rozkład pożycia. Podkreśla poczucie krzywdy, jakie przeżywa. Podczas kontaktów z synem (...) ojciec jest serdeczny, ale nie narzucający się".*

Opinia szkoły: *„(...) matka Jacka bardzo często zachowywała się niewłaściwie — krzyczała, wyrzuciła przez okno tenisówki, które Jacek otrzymał od ojca, sprawiała na terenie szkoły wiele zamieszania swoją obecnością (...). W ubiegłym roku* (1986 — przyp. MM) *Jacek (...) telefonicznie prosił ojca o przybycie do szkoły. Ojciec przyjeżdżał i spędzali czas w świetlicy szkolnej".*

Jerzy G.: — *Do pracy chodziłem z torbą pełną zabawek, musiałem być przygotowany, kiedy syn dzwonił. Kiedyś podarowałem mu model samolotu do sklejania. Matka po cichu zabrała jakąś część i starała się wmówić dziecku, że tatuś daje mu buble.*

3.

Latem 1984 r. na wniosek komisji lekarskiej Jerzy G. został zwolniony z milicji z nieskazitelną opinią.

— *Żona wypisywała bzdury do moich przełożonych. Twierdziła, że mam „nieprawidłowo ukształtowaną osobowość". Widać uznano, że nie nadawałem się na milicjanta, choć jeszcze tydzień wcześniej chodziłem po mieście z bronią. Nie dawałem sobie dmuchać w kaszę. Zamiast latać z pałą i pędzić bimber, wolałem zajmować się sprawami harcerstwa. Pracę zmieniałem dwukrotnie, podczas gdy moja małżonka robiła to kilkanaście razy.*

W 1983 r. Dorota G. zabrała zimą syna na wczasy i już nie oddała. W lutym wystąpiła o rozwód.

Jerzy G.: — *Kochałem żonę i nie zgadzałem się na rozwód, bo wiedziałem, że z chwilą jego orzeczenia zupełnie stracę dziecko.*

W czerwcu 1983 r. odbyła się pierwsza sprawa. Sąd postanowił, że Jerzy G. ma prawo odwiedzin syna u matki w każdą sobotę i w pierwszą i ostatnią niedzielę miesiąca.

— *W soboty i niedziele nie było żony w domu, ukrywała dziecko, nie wpuszczała mnie do mieszkania i urządzała prowokacyjne awantury. Zaprzeczam, że kiedykolwiek uderzyłem żonę.*

Jerzy G. zaczął słać do sądu pisma, w których prosił o pomoc w kontaktach z synem. Sąd wydał nowe postanowienie o tym, że Jerzy G. może dwa razy w miesiącu zabierać Jacka z przedszkola w piątek po południu i odprowadzać tam w poniedziałek rano. Matki miało przy tym nie być. Jacek pięciokrotnie zmieniał przedszkole i nigdy nie był obecny w piątek.

4.

Dorota G. o mężu: *W dniu 20 maja 1985 r. uprowadził dziecko, a następnie (...) przetrzymywał w zamknięciu (...). Należy pamiętać o jego odchyleniach psychicznych, które nie czynią go odpowiedzialnym za swoje postępowanie.*

Z wywiadu kuratorskiego: *„Ojcu dziecka bardzo zależy na tym, aby mieć stały kontakt z synem. Jest do niego bardzo przywiązany i boi się, że w wyniku utrudniania tych kontaktów, może stracić uczucia chłopca (...). Wskazane jest dla dobra dziecka i jego prawidłowego rozwoju, aby kontakt chłopca z ojcem był jak najczęstszy".*

Jerzy G. starał się widywać z dzieckiem w środku tygodnia, poza wyznaczonymi terminami, personel przedszkola, aby uniknąć awantur, jakie wszczynała matka, zażądał zezwolenia sądu.

W kwietniu 1985 r. ojciec złożył wniosek o urlop z synem, sąd wydał zgodę i zobowiązał matkę do wydania dziecka. Dorota G. zabrała Jacka i wyjechała z miasta, nie informując męża dokąd się udaje. Urlop minął bez syna. Sąd nałożył grzywnę. Matka nie zapłaciła.

We wrześniu 1985 r. ojciec starał się o dodatkowe zapewnienie widzeń z dzieckiem w świetlicy szkolnej. Sąd zezwolił na 30 minut tygodniowo, jednocześnie oddalając pozew o rozwód. Dorota G. wniosła rewizję. Dziecko przestało pojawiać się w świetlicy.

Z opinii kuratora: *„(...) nie udało się zabrać dziecka ze szkoły, wychowawczyni świetlicy oświadczyła, że dziecko odebrano wcześniej (...). Dłużniczka* (Dorota G — przyp. MM) *stwierdziła, że jeżeli dziecko będzie oddane w ręce ojca, to stanie mu się krzywda".*

Podczas godzinnej wizyty ojciec cały czas stał, a pod jego adresem padały obelgi. Przyniesione przez niego zabawki matka oceniła jako zbyt tanie i nie nadające się dla dzieci.

Mówi Zofia C., wychowawczyni Jacka w klasach I—III:

— *Pierwszy kontakt z matką był taki, że napadła na mnie i zakazała wypuszczania dziecka z ojcem, bo to zboczony człowiek. Póki ojciec nie walczył, matka była miła, jakby starała się przypodobać. Dopiero, gdy zauważyła, że zajmuję obiektywne stanowisko, zaczęły się pomówienia. Posądziła mnie o kontakty seksualne z jej mężem. Razem z ciotką nakrzyczały na mnie w sądzie, gdy świadczyłam na korzyść pana G.*"

4.

Dorota G. czuła się pokrzywdzona stanowiskiem, jakie zajęła szkoła i wychowawczyni Jacka, w związku z czym wystosowała do dyrekcji szkoły i do kuratorium skargę dotyczącą niewłaściwego postępowania Zofii C. Zażądała jednocześnie, aby sąd zakazał Jerzemu G. widywania się z dzieckiem na terenie szkoły, w wyniku czego odebrano mu jedno widzenie. Odtąd mógł zabierać dziecko na weekend tylko raz w miesiącu.

Sąd nałożył na Dorotę G. grzywnę za przeszkadzanie ojcu w widywaniu się z synem. W uzasadnieniu czytamy: *„Tłumaczenia dłużniczki, że do widzeń nie dochodziło, bo syn nie chciał iść z ojcem, zdaniem Sądu nie zasługują na uwzględnienie, zważywszy na niedopuszczalne praktyki dłużniczki stosowania emocjonalnej presji na syna w sytuacji, kiedy obawiał się negatywnej reakcji matki, w tym kar cielesnych za spotkania z ojcem.*

Kiedy Jerzy G. złożył wniosek o urlop z dzieckiem, jego żona wystąpiła o podwyższenie alimentów. Dorota G. permanentnie nie stawiała się na wezwania sądu i nie płaciła grzywien, którymi ją karano. Sąd oddalił wniosek ojca o urlop. Kolejne wnioski również spotkają się z negatywną odpowiedzią.

Na prośbę ojca Dzielnicowa Poradnia Zawodowo-Wychowawcza przedstawiła swoją opinię o Jacku: *„Chłopiec jest w trudnym kontakcie słownym, niepewny siebie, zamknięty, stara się ukryć swoje rzeczywiste potrzeby i kłopoty. Unika wypowiedzi na tematy związane ze swoją sytuacją rodzinną. Prezentowane zachowania są, jak się wydaje, przejawem postawy lękowej wynikającej z poczucia osamotnienia oraz braku poczucia bezpieczeństwa (...). Chłopiec ma silną potrzebę przynależności i miłości wyrażającą się w dążeniu do kontaktów z obojgiem rodziców, ale obawia się negatywnej reakcji ze strony matki na swe spotkania z ojcem (chłopiec ujawnił, że był karany fizycznie...)".*

Aneta H., aktualna wychowawczyni Jacka (kl. V):

„Dziecko przychodzi niewyspane, rzadko się uśmiecha, jest ponure. Jacek zawsze był trochę odludkiem. Uczniem jest średnim. Pan G. zaprzestał nachodzenia, aby uniknąć awantur, a wtedy matka złożyła skargę, że ojciec nie interesuje się dzieckiem. Przy mnie Jerzy G. pytał Jacka, czy chce się z nim widywać. Syn odmówił. Pani dyrektor J. tłumaczyła dziecku, że ojciec będzie mu jeszcze potrzebny, ale widać matka i ciotka tak dziecko nastawiły".

Nauczycielki uważają, że pani G. osiągnęła swój cel, syn oddalił się od ojca. Matkę często widywano na osiedlu z różnymi „wujkami". Podejrzewają, że duży wpływ na zachowanie tej kobiety miała ciotka. Prawdopodobnie to właśnie ona pisywała wszystkie donosy.

5.

Z listu Jerzego G. do „Telewizji nocą": *„Sąd, gdy ojciec jest obojętny wobec dziecka, prawi mu morały, nawołuje do rozsądku, odwołuje się do jego uczuć (...). Natomiast gdy ojciec wystąpi (...) o uregulowanie sprawy kontaktów z dzieckiem (...), odracza sprawy, robi uniki, tłumacząc się, że nic nie może poradzić, bo matka dziecka się nie zgadza (...). Ogarnia człowieka rozpacz i niechęć wobec bezradności, jaką spotyka w sądzie (...). Jedyne, co sąd może wyegzekwować, i czyni to z całą stanowczością, to są alimenty (...)".*

Po trzyletniej wojnie nerwów Sąd Rejonowy oddalił pozew o rozwód, natomiast Sąd Wojewódzki ustalił zupełny rozkład pożycia i cofnął sprawę do ponownego rozpatrzenia. Trwało to następne trzy lata. W 1989 r. ze względu na bardzo głęboki stan separacji i brak możliwości nawiązania jakiejkolwiek więzi między stronami, orzeczono rozwód. Kontakty ojca z dzieckiem ustalono na podstawie wcześniejszego postanowienia sądu, czyli takie, które już od dawna były niemożliwe do wyegzekwowania.

Znajomi Jerzego G. twierdzą, że sześć lat walki o swoje prawa zostawiły trwały ślad w jego psychice. On już o niczym innym nie potrafi myśleć. Jest zarażony procesowaniem się. Bierze zwolnienia lekarskie i walczy. Gdyby nagle sprawa została rozwiązana po jego myśli, straciłby cel w życiu. Kiedy poznaje nową osobę, od razu zastanawia się, jak ona mogłaby mu pomóc. Pukał już chyba do wszystkich drzwi.

Odpowiedź Komitetu Ochrony Praw Dziecka: *„Kwestia uregulowania i wyegzekwowania postanowień sądu w sprawie kontatków dziecka z ojcem (po rozwodzie) jest problemem i poważnym mankamentem w naszym prawie rodzinnym. Jeżeli strony nie są w stanie porozumieć się, środki przymusu są mało skuteczne".*

Odpowiedź Biura Rzecznika Praw Obywatelskich: *„RPO nie zajmuje się wyręczaniem administracji, wymiaru sprawiedliwości w załatwianiu spraw należących do ich kompetencji, uchylaniem i zmienianiem wyroków sądowych i zastępowaniem sądów, rozpatrywaniem sporów rodzinnych".*

Samotny ojciec wzdycha: — *Od początku wiedziałem, że przegram, ale póki syn lgnął do mnie, póty walczyłem. Teraz wiem, że straciłem dziecko. Zrozumiałem, że dla jego dobra muszę dać za wygraną. Długo utrzymywałem Jacka pokój w takim stanie, w jakim został po jego odejściu. Teraz zlikwidowałem to sanktuarium. Po co drażnić rany?".*

Stara się żyć normalnie, ma przyjaciółkę, jest kumplem jej syna. W ten sposób rekompensuje sobie brak własnego dziecka. — *Syn traci lata, które mogłem jemu poświęcić, a poświęcam komuś innemu.*

Pokrzywdzony ojciec jeszcze nie poddał się ostatecznie.

6.

Od strony prawnej rzecz wygląda następująco. Nawet jeśli sąd pozbawia kogoś władzy rodzicielskiej, nie może mu zabronić kontaktów z dzieckiem. Jerzy G. nie jest tej władzy pozbawiony i ma pełne prawo do spotkań z synem. Sąd nie ma obowiązku ustalania kontaktów, robi to dopiero na wyraźne życzenie stron. Jeśli rodzice nie mogą dojść do porozumienia, jest to pierwszy sygnał, że cokolwiek zostanie postanowione, będzie to ze szkodą dla dziecka. Sądy mają znikomą możliwość oddziaływania na strony, aby działały w interesie małoletnich. Potrzebna jest dobra wola.

Jerzy G. ma na pewno uzasadnione pretensje do Sądu Rejonowego — aby orzeczenie nadawało się do egzekucji, musi być nałożony obowiązek na dłużnika, czyli Sąd powinien był zobowiązać matkę do umożliwienia ojcu kontaktów z synem. Nie można tu mówić o niekompetencji, delikatnie mówiąc była to pomyłka czy też niedopatrzenie. Sąd w sprawach o dziecko działa z urzędu i nie jest obowiązany do zajmowania stanowiska po jednej ze stron.

Jest jeszcze jedna rzecz, do której można by mieć zastrzeżenia, a mianowicie przewlekłość postępowania rozwodowego. Sądy Rodzinne są zawalone pracą, pierwszeństwo mają tylko te sprawy, w których chodzi o dobro dziecka. Sędziowie zdają się nie pamiętać, że przy rozwodzie bardzo często jest rozstrzygany los dziecka. Żadne warunki obiektywne nie mogą usprawiedliwić sześciu lat rozpatrywania jednej sprawy! Efekt tego jest taki, że pan G. jest ojcem tylko na papierze. Pod względem formalnym wyrok rozwodowy jest nie do zaskarżenia.

Sąd woli zrobić rutynowy krok i przyznać dziecko matce niż pokusić się o wnikliwą analizę dowodów, takich jak wywiad kuratorski, opinia ośrodka diagnostycznego czy szkoły i dojść do przekonania, że z pożytkiem dla dziecka byłoby orzeczenie, że ma ono przebywać w miejscu zamieszkania ojca. Jednak na czas procesu żaden sąd nie powierzy ojcu pieczy nad małoletnim. Jeśli nie ma żadnych przesłanek do pozbawienia władzy rodzicielskiej, w tym okresie dzieckiem zawsze będzie opiekować się matka i nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak ona będzie tę władzę wykorzystywać.

Na pewno feminizacja sądów nie jest tu bez znaczenia. Kobieta w todze nie przestaje być kobietą, choć na sali sądowej powinna być sędzią. W prawodawstwie panuje przekonanie, że nawet najgorsza matka jest lepsza od rodziny zastępczej czy domu dziecka. Nadmierna ochrona kobiet nie wynika więc z feminizacji Sądów Rodzinnych, ale z badań psychomedycznych, dotyczących rozwoju dzieci. Dziecko do lat trzech musi pozostawać „przy piersi", jednak w przypadku dziecka starszego ten argument już odpada. Jeśli staniemy na gruncie, że jest rodzicielstwo, a nie tylko macierzyństwo, to ojcowie są przez prawo pokrzywdzeni.

Egzekucja kontaktów z dzieckiem za pośrednictwem milicji i komornika jest najgorszym rozwiązaniem. Pan G. mimo silnego zaangażowania emocjonalnego w sprawę, zrozumiał na szczęście, że dalsza egzekucja tylko pogorszy sytuację Jacka. Karanie matki grzywnami również pośrednio odbije się na dziecku.

Sprawa państwa G. jest klasycznym przykładem zacietrzewienia stron, gdzie dziecko jest tylko przedmiotem w rozgrywce. Tragedia jest jeśli dwoje dorosłych ludzi, kiedyś przecież sobie bliskich, nie potrafi się ze sobą porozumieć, a każda ingerencja z zewnątrz uderza w niewinne dziecko.

Imiona i inicjały nazwisk zostały zmienione. Problem nie polega bowiem tylko na sporze o dziecko tych dwojga ludzi. Takich spraw — niestety — jest więcej.

P.S. Dla innych ojców, którzy mają podobne problemy i szukają pomocy podajemy telefon, gdzie można się po taką pomoc zgłosić: 84-51-78 (Jeremi Szpak).

KRAKÓW: — Role były już podzielone.

Kto i dlaczego nie lubi prezydenta?

MAREK JUŚKIEWICZ

13 stycznia 1990 roku premier Tadeusz Mazowiecki przychylił się do prośby prezydenta miasta Krakowa — Tadeusza Salwy i wniosek o jego odwołanie skierował do Krakowskiej Rady Narodowej. 9 lutego 1990 roku Rada Miasta Krakowa odwołała Tadeusza Salwę ze stanowiska prezydenta. Jacek Ambroziak — szef Urzędu Rady Ministrów przedstawił RN m. Krakowa dwóch kandydatów na urząd prezydenta:

— profesora RYSZARDA GRYGLEWSKIEGO — kandydata Krakowskiego Komitetu Obywatelskiego;

— JERZEGO ROŚCISZEWSKIEGO — kandydata Polskiej Partii Zielonych.

W tajnym głosowaniu 125 radnych opowiedziało się za Jerzym Rościszewskim, a 16 — za Ryszardem Gryglewskim. Wszystko odbyło się zgodnie z obowiązującymi zasadami. I można byłoby przejść nad tym do porządku dziennego, gdyby nie pewne okoliczności...

W dzień po wyborze, w telewizyjnej „Kronice Krakowskiej" odczytano oświadczenie Krakowskiego Komitetu Obywatelskiego, w którym czytamy:

„W życie Krakowa wkrada się coraz silniej chaos i anarchia (...), przyszłość miasta staje się coraz bardziej niepewna. (...) KKO wysunął kandydaturę prof. Ryszarda Gryglewskiego na prezydenta Krakowa. Spontanicznie poparło go swymi podpisami ponad 40 tys. osób (...). Kandydaturę tę zaaprobował Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność" oraz 40 środowisk obywatelskich, w tym senaty wyższych uczelni, środowiska artystyczne i opiniotwórcze. (...) 9 lutego Rada Narodowa wybrała prezydentem Jerzego Rościszewskiego. (...) Stwierdzamy, że krakowscy radni podjęli decyzję drastycznie rozmijającą się z oczekiwaniami i nadzieją przeważającej części społeczności krakowskiej, otwarcie występując przeciwko wyraźnej woli mieszkańców Krakowa. Kolejny raz dała o sobie znać antydemokratyczna koalicja przemalowanych PZPR, ZSL i SD (...). KKO odmawia poparcia nowym władzom miasta, z którymi nie widzi żadnej możliwości współpracy (...)".

Oświadczenie podpisali członkowie KKO, oraz posłowie: Mieczysław Gil, Józefa Henelowa, Jan Rokita, Jerzy Zdrada, a także senatorowie — Roman Ciesielski i Krzysztof Kozłowski.

Replika Polskiej Partii Zielonych była natychmiastowa. W oświadczeniu Leszka Konarskiego — zastępcy rzecznika krajowego PPZ czytamy:

„Decydując się na wystawienie kandydata na prezydenta, nie wiedzieliśmy, że wybór został już wcześniej dokonany. Cała prasa, radio i telewizja prezentowała niemal wyłącznie kandydata KKO, a „Gazeta Wyborcza" nawet nie wspomniała, że prof. Gryglewski ma jakiegokolwiek konkurenta. (...) To nie nasza partia, ale „Solidarność" wystąpiła z propozycją ogłoszenia nowych wyborów prezydenckich. Do chwili ogłoszenia wyników głosowania, ani KKO, ani prof. Gryglewski nie negowali kompetencji radnych, a wręcz przeciwnie — usilnie zabiegali o ich poparcie. Dopiero po niekorzystnym dla KKO wyniku głosowania doszło do nagonki na radnych i nowego prezydenta. Stanowisko posłów i senatorów OKP Ziemi Krakowskiej, nawołujące do bojkotowania legalnej władzy (...) jest naruszeniem etyki poselskiej i senatorskiej (...)".

Innego zdania jest jednak Stronnictwo Demokratyczne. Komitet Krakowski SD odmówił poparcia dla nowych władz miasta, co spowodowało zawieszenie współpracy z tą partią przez PPZ. Tymczasem SD nie zerwała stosunków z KKO, mimo że wrzucono je do worka dla *„przemalowanych"* — razem z PZPR i ZSL. W ten sposób powstała koalicja antyprezydencka w Krakowie.

Po drugiej stronie barykady stanęli: PPZ, Organizacja Młodzieżowa i Studencka KPN, ruch Wolność i Pokój, Porozumienie Samorządów Studenckich m. Krakowa oraz Front Antykomunistyczny. Szef II Obszaru KPN — Kraków, Zygmunt Łenyk zadeklarował pełne poparcie i pomoc: *„Nowy prezydent gwarantuje, że pryska „stare", a nadchodzi „nowe". Otworzyła się nowa epoka dla naszego miasta — twórzmy ją wspólnie".*

Rada Narodowa m. Krakowa — główny sprawca całej awantury — wystosowała list otwarty w sprawie wyboru prezydenta:

„Prezydium RN nie może zgodzić się z treścią oświadczenia KKO. Neguje to wiarygodność działania Rady, co pozostaje w sprzeczności z głoszonymi przez KKO zasadami demokracji i pluralizmu. (...) Głosowanie i jego wyniki były efektem demokratycznego i świadomego wyrażenia woli przez radnych, mimo kampanii nacisku i atmosfery „jedynego słusznego wyboru" (...)".

Oświadczenie goni oświadczenie, a końca bałaganu jak nie widać, tak nie widać. Najpierw „Gazeta Wyborcza" (14 lutego) doniosła, że Polska Partia Zielonych potępiła wybór J. Rościszewskiego na prezydenta, a w dodatku nie tylko go na ten urząd nie desygnowała, ale w ogóle nie jest członkiem PPZ. Następnego dnia okazało się, że prezydent jest zielony i to od początku istnienia partii — tj. od grudnia 1988 roku, nie są nimi natomiast autorzy oświadczenia — Janusz Bryczkowski, Jerzy Załasiński, Henryk Sobański, a tym bardziej nie istniejący Kamil Ostrowski. Ale „Gazeta" wie lepiej...

Tymczasem z 40. środowisk popierających R. Gryglewskiego, na które powoływał się KKO, pozostał tylko miraż. PPZ — DB (Demokracja Bazowa), kierowana przez Zygmunta Furę nie ma zamiaru poddać się naciskom i stoi murem za swoim prezydentem. KPN stoi na stanowisku legalizmu i uznaje ważność wyborów. Gotowa jest także współdziałać z nowymi władzami miasta. Poparły wybór organizacje młodzieżowe i studenckie, a także ruchy anarchizujące. Zarząd Krakowskiego Okręgu Stronnictwa Narodowego uznał program prezydenta-elekta za godny zaufania, co ujął w oświadczeniu publikowanym w krakowskiej prasie. Okazało się, że nawet po „słusznej" stronie zaczęło ubywać chętnych do awantur — Zarząd NSZZ Pracowników Kombinatu Metalurgicznego Huta im. Lenina. W oświadczeniu tego ostatniego czytamy:

„Fakt zaangażowania się organizacji związkowej w sprawę oceny wyboru prezydenta miasta, dokonanego w majestacie prawa odczytujemy jako ingerencję w kompetencję radnych".

A co na to sam zainteresowany? Jerzy Rościszewski:

— Podejmuję rękawicę, którą rzucili mi w twarz działacze Małopolskiej „Solidarności" (...). Na stanowisko prezydenta wybrali mnie radni, którym KKO oraz senatorowie i posłowie mają za złe, że weszli w skład Rady Narodowej w niedemokratycznych wyborach. Szanowni posłowie zapominają, że zostali wybrani do parlamentu także w niedemokratycznych wyborach. (...) KKO nie zdecydował się na konstruktywną współpracę z nowymi władzami miasta podejmując nową walkę o obsadzenie stanowiska prezydenckiego własnym kandydatem. KKO czuje się widocznie lepiej w boju niż w pracy. (...) Bardziej niż bojkot urzędu prezydenta, potrzebna jest współpraca wszystkich obywateli bez względu na przekonania i poglądy. Nie ustąpię z funkcji prezydenta przed wyborami samorządowymi, gdyż taką decyzją zawiódłbym niemałą część mieszkańców. (...) Zapewniam obywateli Krakowa, że nie grożą im żadne decyzje z mojej strony, które nowa ekipa po wyborach musiałaby uznać za pochopne.

Jerzy Rościszewski został prezydentem. W jego gabinecie wciąż czekają delegacje wyrażające poparcie dla nowych władz miasta. Dzwonią telefony, a sekretariat zarzucany jest listami. Wszyscy wyrażają radość z jego wyboru, ale i zaniepokojenie szumem, jaki wokół niego panuje.

Rozmowa z JERZYM ROŚCISZEWSKIM — prezydentem miasta Krakowa.

— Po wyborze pana na urząd prezydenta Krakowa, rozpętała się prawdziwa burza. Co ją spowodowało?

— Na sesji powiedziałem, że nie stoi za mną żadna siła i nie mam żadnych zobowiązań — ani do starych, ani do nowych sił. Powiedziałem, że na demokrację nie będę czekał, ale zacznę ją robić od przyszłego tygodnia, kiedy otrzymam nominację.

— Po drugie — nie jestem wizjonerem i nie będę mówił o cudownych planach. Wszyscy poprzednio obiecywali i nic nie zrobili. Dlatego że z analizy dotychczasowych metod rządzenia wynika, że ten system jest niesprawny. Trzeba zatem zmienić system sprawowania władzy i system organizacyjny. System organizacyjny potrafię zmienić ja, a system sprawowania władzy na demokratyczny muszą zmienić obywatele.

— Ale tymi słowami nie wywołał pan burzy. Konkurenta jednak pan zmiażdżył. I komuś to się nie spodobało...

— Już po wyborach okazało się, że funkcje były podzielone. Właśnie ci ludzie zaczęli szaleć — żądać unieważnienia wyborów, rozpędzenia Rady... To są rzeczy prześmieszne.

— Kiedy w Polsce chce się komuś zaszkodzić, wystarczy ogłosić jego nieprawomyślność...

— Powiedziałem kiedyś, że z pewnością usłyszę jeszcze prawdę o sobie. Nie czekałem długo. Dowiedziałem się, że jestem UB-owskim pachołkiem, sprzedawczykiem, kolaborantem. Padało wiele innych zarzutów; każdy dzień daje mi nową „wiedzę".

— Czy wybierając pana Rada nie głosowała na zasadzie sprzeciwu — „nie ten z „Solidarności" — lepszy już ten drugi?

— Stanęło dwóch kandydatów. Ja przedstawiłem program realizacyjny — mój znakomity konkurent przedstawił wizję. Zaproponowałem Radzie nowy system prowadzenia władzy w Krakowie. Postanowiłem dać impuls — nie czekajmy na demokrację — wdróżmy ją natychmiast. Udostępnijmy wszystkim siłom społecznym udział w formowaniu procesu decyzyjnego i na bieżąco możliwość kontroli poczynań aparatu.

— Ale sam prezydent nie wystarczy, żeby ten program zrealizować.

— Tak. Potrzebny jest jeszcze skuteczny aparat. Urząd, który objąłem, jest aparatem ogromnym, a jego skuteczność jest znikoma. Trzeba to zmienić. Musi działać sprawnie i niezawodnie.

— Według obiegowej opinii skuteczność administracji można osiągnąć przez odchudzenie urzędów.

— Istnieje obawa wielu urzędników, że stracą chleb. Nic bardziej fałszywego. Nie przewiduję, aby ok. 400 ludzi — tyle osób widzę na wstępie w moim urzędzie — straciło środki do życia. Wręcz przeciwnie. Przygotowuję przedsięwzięcia, żeby ci ludzie znaleźli dobre, i godne ich kwalifikacji, miejsce zatrudnienia, które doda naszej miejskiej kasie złotówek, zamiast ją obciążać. Boję się nawet, że przy takich propozycjach ucieknie mi połowa magistratu. Ci jednak, którzy zostaną, będzie to kadra ambitna i sprawna — zdolna do realizacji zadań, które przed nią postawię.

— Padają zarzuty, że wybranie pana na prezydenta rozmija się z oczekiwaniami społeczeństwa Krakowa.

— To opinia wąskiego, bo liczącego około 300 osób gremium. Ci ludzie nie licząc się z interesem społecznym chcieli zmonopolizować władzę. Jeszcze nikt w historii Krakowa nie powiedział tak wyraźnie czego chce. Podoba mi się ich odwaga w takim postawieniu sprawy, dzięki temu wiem, czego mogę się po nich spodziewać.

— Ocenia pan swoich przeciwników na 300 osób. Kto mieści się w tej grupie?

— To są ci, którzy mieli już nominacje na stanowiska dyrektorów, wicedyrektorów, delegacje do Frankfurtu, do Norymbergi. I naraz stop. Okazuje się, że nie pojadą, że nie będą dyrektorami i wicedyrektorami.

Ale ja wcale nie twierdzę, że nie będą. Jeżeli ktoś z tej grupy okaże się sprawnym — jakim powinien być dobry urzędnik państwowy, to dla niego droga jest otwarta, ale po spełnieniu trzech równoległych kryteriów — fachowość, etyka i umiejętność podejmowania szybkich i trafnych decyzji, licząc się z całkowitą za nie odpowiedzialnością.

— Mówi pan o małej grupie obrażonych ludzi, którym obiecano urzędy. Ale Krakowski Komitet Obywatelski powołuje się na 40 tysięcy mieszkańców Krakowa — tyle poparło prof. R. Gryglewskiego.

— Środowisko krakowskie jest o wiele liczniejsze — to 1 milion 200 tys. mieszkańców. Od 40 tysięcy można zebrać podpisy, jeżeli zacznie się krzyczeć, że „nareszcie demokracja. To człowiek, który da wam to, czego chcecie". I ludzie podpiszą, bo cel jest piękny i postać profesora niezarzucalna. Jest to człowiek uczciwy i wielkiej wiedzy. Był współautorem znakomitego listu przeciwko miażdżycy. Znany za granicą. Może mniej w naszej okolicy — w małych miasteczkach, gdzie mnie raczej ludzie znają. Jego postać jest naprawdę piękna. Ale przypadki były szokujące. Szło małżeństwo z dziećmi do kościoła. Przed wejściem stali młodzi ludzie i zbierali podpisy. A oni mieli już dość tego wszystkiego — skarg, petycji — powiedzieli, że nie podpiszą i... nie zostali wpuszczeni do kościoła. Takiego wymuszania podpisów nie uważam za bardzo etyczny sposób popierania swojej kandydatury. Ja tego nie robiłem. Przedstawiłem za to program. Radni głosowali na ten właśnie program, bo on dawał nadzieję na wyjście z marazmu.

— Czy wobec szumu, jaki powstał wokół pańskiego wyboru, nie zamierza pan zrezygnować?

— Ataki są potężne, ale nie mam zamiaru poddać się, zwłaszcza że stoją za mną ludzie — te 1,2 mln obywateli, którzy dostali nadzieję. Piszą, dzwonią — „prezydencie trzymaj się, żeby ci sił starczyło". To właśnie daje mi siły. Opieram się na tych, którzy chcą współtworzyć, a nie rozwalać. Każdy, kto dołączy, będzie mile widziany. Nie będę się nawet obrażał za to, co napisał na mnie tydzień temu.

■

ŁÓDŹ: 20 lutego 1990 roku.

Żegnaj bezpieko?

Kiedy pod pomnikiem naczelnika Tadeusza Kościuszki 20 lutego po południu grupa ludzi rozwinęła transparenty podpisane tajemniczymi literami ZCh-N, mało kto potrafił rozszyfrować ten skrót.

Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe jest organizacją stosunkowo młodą — istnieje od listopada 1989 r. — i jeszcze nie znaną większości Polaków. Łodzianom dało się poznać organizując we wtorkowe popołudnie wiec na placu Wolności. Zebrani domagali się natychmiastowej całkowitej likwidacji Służby Bezpieczeństwa.

— Żądamy pociągnięcia do odpowiedzialności funkcjonariuszy SB i protestujemy przeciw masowemu zjawisku przechodzenia byłych pracowników aparatu bezpieczeństwa do milicji, urzędu ochrony państwa, a przede wszystkim do szkolnictwa. Nie można dopuścić, aby ci, którzy łamali prawo, mieli teraz wpływ na kształtowanie młodego pokolenia — mówi Marek Krakus, przewodniczący ZCh-N — *Jeżeli chodzi o milicję, jest ona bezwzględnie potrzebna i traktujemy ją odrębnie. Ktoś powinien pilnować porządku, ale muszą to być ludzie niezależni od nikogo.*

Przygodni przechodnie zatrzymują się i czekając jak się sytuacja rozwinie, czytają hasła na transparentach: *„SB do pośredniaka", „Urzędy państwowe bez SB-ków", „SB na zupki Kuronia".*

— Żeby tylko to coś dało — powątpiewa starsza pani. — *Bo sama defilada bez efektu, to po co?*

— Ja się ich nie boję — pewnie oświadcza korpulentna dama. — *Za dużo przeżyłam. Ta instytucja jest w ogóle niepotrzebna, wystarczy wojsko i Biuro Ochrony Rządu.*

— Czy to „Solidarność"? — zapytuje ktoś nie zorientowany.

Wszystkich intrygują radiowozy i obecność wielu milicjantów. Przekonawszy się, że to drogówka, która pilnuje porządku i kieruje dużym o tej porze dnia ruchem na placu, większość ludzi uspokaja się. Mówi kapitan MO: — *Jestem tu na służbie i nie mogę wypowiadać się prywatnie, co o tym sądzę. To jest legalna manifestacja i my tylko odpowiadamy za spokój i bezpieczeństwo na trasie przemarszu.*

Punktualnie o godz. 16 rozpoczyna się demonstracja. Zabierają głos przywódcy ZCh-N. Bystre oko zauważy wśród nich Grzegorza Palkę, kandydata na wiceprezydenta miasta. Ludzie oklaskami przyjmują propozycję zapędzenia znienawidzonych „bezpieczników" do łopaty, żeby pracowali tak, jak ci, których kiedyś pilnowali w obozach (?). Jeszcze nie rozgrzane gardła wątle skandują *„precz z rentami dla zasłużonych i odznaczonych".*

Zapytani o to, co tu robią, dwaj młodzi chłopcy odpowiadają, że właśnie wracają ze szkoły, na polityce nie znają się, a zainteresowało ich zgromadzenie.

Wreszcie formuje się kolumna i asekurowany przez milicję pochód rusza ulicami Nowomiejską, Ogrodową i Zachodnią, po czym skieruje się Lutomierską w stronę Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Nad idącymi pojawiają się nowe transparenty, jeden z nich głosi *„Rodowód SB — NKWD".* Od czoła pochodu skandują *„precz z ubecją"*, hasło podejmują w tyle tylko nieliczni, a wtóruje im po swojemu biegający po parku przygodny jamnik. Wzdłuż całej trasy przemarszu gromadzą się kibice. Większość obserwuje, rozmawia między sobą, ale część podąża chodnikiem za demonstrantami. Ludzie wymieniają uwagi:

— Pani widziała wariatów?

— Co to za demonstracja, kiedy przy naszych sztandarach idą lumpy? — Krewki pan ma zapewne na myśli funkcjonariuszy służby ruchu, a sztandaru — jako żywo — nie było żadnego.

— Za długo to trwa. Zamiast koronować orzełka, najpierw z SB trzeba było zrobić porządek.

— Powinno być jakieś zadośćuczynienie dla skrzywdzonych.

Manifestanci skutecznie blokują ruch, za pochodem wolno posuwa się sznur samochodów, zniecierpliwieni kierowcy naciskają klaksony, autobusy zmieniają trasę. Pada propozycja: *„przepuścić samochody".*

— Lepiej niech wysiądą i idą z nami — ktoś odpowiada.

Na balkony wylegają mieszkańcy okolicznych domów. Przed sklepem stoją ekspedientki, jedna z nich nie kryje wzburzenia:

— Przecież połowa manifestacji to emeryci. Wszystko to jest wielka głupota. — mówi i wraca za ladę.

Kiedy pochód skręca w Lutomierską, wielu uczestników zastanawia się, jakie ich spotka powitanie.

— Tamci już pewnie zabarykadowali się — snuje przypuszczenia pewna pani i zaraz z obawą dodaje — *ale chyba nie wyjdą po nas? To wszystko legalne.*

Za płotem dyskretnie ukryci za krzakami stają na wysuniętej do przodu placówce dwaj milicjanci z radiotelefonem. Brama jest zamknięta, komitetu powitalnego nie ma. Przez szparę w drzwiach wygląda parę osób, za firankami majaczą ukryte postacie.

— Ciekawi są — komentują zebrani.

Panowie z transparentami mają dylemat jak się ustawić. Początkowo napisy kierują w stronę WUSW: — *niech się uczą czytać.* Potem odwracają i przypinają na płocie.

— Chcecie zapalić papierosa na taką okazję? — zagaduje ktoś. Mężczyźni chwilę zastanawiają się czy wypada i nie odmawiają.

Zebrani nie ukrywają zawziętości, choć większość z nich zapewne nigdy nie miała do czynienia z urzędem bezpieczeństwa.

— Ja nie, ale mój znajomy...

Są jednak i tacy, którzy doświadczyli tego na sobie. Teraz wymieniają uwagi:

— Trzy razy mnie zatrzymywali za działalność kościelną. Tak zwany IV wydział. Nadeptywali mi na odcisk, ale łania nie dostałem.

— W 1988 r. miałem szytą głowę od ZOMO-wskiego buta po manifestacji na 3 maja.

— W pracy miałem opinię prowokatora, źle usposobionego do ustroju. Często mnie zwalniali za „niespokojną duszę".

Starszy pan z KPN nie chce odpowiadać zanim nie zobaczy dowodu, że naprawdę jestem z prasy. Przerywamy, kiedy manifestanci intonują: *„Jeszcze Polska nie zginęła"* i podnoszą w górę palce w znaku „V". Mój rozmówca ukradkiem ociera łzę.

— Byłem żołnierzem na Zachodzie — mówi. — *Do 1956 r. miałem częste kontakty z UB, ale jakoś udało mi się i nie siedziałem. Nigdy nie żałowałem powrotu do kraju. Należałem do organizacji Wolność i Niepodległość, za co trzy razy skazano mnie zaocznie na śmierć. Ja bym ich jadł! Ile oni krzywd wyrządzili... Przyjechało nas dziewięciu, siedmiu za ich sprawą nie żyje. Kiedyś prowadziło mnie dwóch ubeków, jeden z nich powiedział do mnie: „żywy już stąd s... synu nie wyjdziesz".*

W niecałą godzinę jest już po wiecu, ludzie rozchodzą się w spokoju. Pozostają tylko nieliczni kibice, żeby sprawdzić, co się stanie z pozostawionymi na płocie transparentami i kilka staruszek spierających się, która dłużej siedziała w areszcie.

MONIKA MATUSZAK

■

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

1 marca 1990 r. — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

8 marca 1990 r. — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO z 22 LUTEGO 1990 R.

Duże poruszenie opinii publicznej Łodzi wywołała śmierć dziewczynki, której zwłoki znaleziono w gospodarstwie rolnym szpitala w Kochanówce. Według wszelkiego prawdopodobieństwa — zagryzły ją psy. Pod wrażeniem tej wiadomości zadzwoniło do nas dwóch Czytelników, domagających się zlikwidowania plagi bezpańskich, często zdziczałych psów, biegających po łódzkich osiedlach. Postulowali także, aby stanowczo wymagać prowadzenia psów na smyczy, surowej kontroli opłat i szczepień, a nawet — niespodziewanych, kontrolnych wizyt w domach, najlepiej wieczorową porą. Co ciekawe, obaj moi rozmówcy trzymają w domach psy i gotowi są potwierdzić tezę, iż Polacy są narodem szczególnie miłującym te zwierzęta (co łatwo potwierdza statystyka). Uważają jednak, że co innego przyjaźń do piesków, co innego zaś — odpowiednie z nimi postępowanie — w imię owej przyjaźni.

Co do nas, wydaje nam się, iż wieczorne wizyty w domach mogłyby tylko rozwścieczyć właścicieli zwierząt, którzy postępowaliby z nim na przekór — na złość kontrolerom. Propozycje, aby dozorca sprawdzał opłaty i wymagał prowadzenia psa na smyczy wydają się rozsądne, ale wymagają społecznego przyzwolenia. Tego zaś — w przeciwieństwie do krajów Zachodu — nie ma, co udowodniła swego czasu afera w Zwierzu, gdzie władze usiłowały ostatecznie „rozwiązać" problem bezpańskich psów — metodą dość drastyczną. Wywołało to ogromną falę oburzenia. Tak już, jest, że nad zwierzętami litujemy się bardziej niż nad ludźmi. W każdym polskim miasteczku można zapewne znaleźć więcej obrońców zwierząt niż sprzymierzeńców chorych na AIDS lub bezdomnych. Znamienne też, że obaj moi rozmówcy nie poruszyli najważniejszego problemu, związanego z psami, czyli sprzątania po nich odchodów. Kwestia ta jest na Zachodzie wyjątkowo ostro przestrzegana (na przykład w Anglii, gdzie także uwielbia się zwierzęta), a u nas — jak dotychczas — wstyd nawet zaproponować, aby właściciel wychodził ze smyczą w jednej ręce, a z szufelką i szczotką — w drugiej.

A tragiczne wypadki będą się nadal zdarzać. Psy, które zagryzły dziewczynkę, nie były przecież bezpańskie i nie mogły być trzymane na smyczy, skoro miały pilnować terenu.

Pani z ul. Malczewskiego (nazwisko do wiadomości redakcji) oburza się na niektórych Świadków Jehowy, którym — jak twierdzi — brakuje często umiaru i taktu w naklanianiu lokatorów do zmiany wyznania. Opisała zdarzenie, gdy dwoje młodych ludzi pertraktowało przez drzwi ze schorowaną staruszką, nalegając na wpuszczenie do mieszkania, aż doprowadzili ją — zdezorientowaną co do ich zamiarów — do stanu szoku. Nasza rozmówczyni słyszała, że Świadkowie Jehowy są ludźmi uczciwymi, przestrzegającymi zasad swojej wiary. Chodzi tylko o to, aby zachowali pewną wstrzemięźliwość w przekonywaniach.

Zupełnie inny problem zaprząta uwagę **K.J. z Retkini.** Uważa on — całkiem słusznie — że MPO zbyt rzadko wywozi śmieci, przez co otoczenie bloków przypomina wysypisko. Niestety. Samochodów jest zbyt mało, a jedyne wysypisko — zbyt daleko. Nie ma też pieniędzy, aby te braki usunąć. Może więc spalarnia śmieci? Słyszeliśmy, że czeka ona na chętnego (za darmo!) w Poznaniu. Prezydent W. Bohdanowicz obiecał, że poinformuje się, czy rzeczywiście istnieje możliwość takiego podarunku. Gdyby się udało, mogłoby to znacznie usprawnić pracę MPO. Jesteśmy w takiej sytuacji, że możemy liczyć jedynie na podarki.

Na zakończenie konkretna informacja: **łódzkie MPK w odpowiedzi** na zapytanie Czytelników odpowiada, że przystanek przy ul. Gagarina obok Tuszyńskiej (dla autobusów 61, 69, 52) nie zostanie uruchomiony, dopóki nie zbuduje się odpowiedniej zatoki, co jest przewidziane po roku 1990. Kiedy dokładnie? Pewnikiem zależy to od tego, ile jeszcze nadejdzie w tej sprawie próśb i skarg. Ewentualnych pretensji nie należy kierować pod adresem MPK, bo ono nie ma wpływu na inwestycje drogowe.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

SURREALIZM

W krajach, gdzie nie istnieje opinia publiczna, w krajach zniewolonych przez totalitarny system władzy, antysemityzm może mieć charakter tylko państwowy. Władysław Gomułka na kongresie CRZZ w 1968 r. wypowiedział haniebne zdanie o żydowskiej V Kolumnie w Polsce, wpisując się w realizowaną z powodzeniem w ZSRR linię programową KGB, która w każdym przejawie samodzielnego myślenia tropiła syjonistyczny spisek. Partyjny antysyjonizm miał na celu przedłużenie rządów przemocy: dla podreperowania swych akcji gospodarczych trzeba było znaleźć kozła ofiarnego. Po 1968 r. niedobitki społeczności żydowskiej w Polsce wyjechały z kraju, mimo to gospodarka chyliła się ku ruinie.

Rząd Tadeusza Mazowieckiego, na którego czele stoi chrześcijanin, przyjaciel papieża, przejął kraj na granicy załamania społecznego i gospodarczego. Jest naszą szansą, daną nam w szczególnym momencie historii. Nie ma ludzi, którzy nie popełniają błędów i zapewne również ten gabinet podejmuje decyzje, które mogą nie przynieść założonych rezultatów. Ale tajemnicze ręce, wypisujące na murach łódzkich kamienic hasełko: **„Żydo-rząd pod sąd!"**, zapewne nie wiedzą, co czynią.

Joanna Szczepkowska, która ogłosiła w telewizji, że 4.VI.1989 r. skończył się w Polsce komunizm, jest wielką optymistką. Józef Stalin, który prowadził w ZSRR różne tajne i jawne kampanie antysemickie, zdziwiłby się zapewne, że ma w Polsce roku 1990 tylu wiernych uczniów. Zapewne nie przyznają się do niego, ale na tym właśnie polega polski surrealizm, tym bardziej, że i Żydów już u nas praktycznie nie ma.

skr.

UWAGA: AZJA NADCHODZI!

Natrząsanie się ze śmierci przeciwnika, poniewieranie jego zwłok obce jest europejskiej i chrześcijańskiej tradycji. Dlatego musi napawać niesmakiem makabryczny pomysł zespołów rockowych Blitzkriegu i Pornografii, które wystąpiły wspólnie pod firmą „Grupa imienia trupa — Ceausescu". Gdyby za życia krwawego dyktatora panowie muzycy wystąpili pod szyldem „Zachodzące słoneczko Karpat" albo „Szewczyk Drakula" zbierając środki na pomoc dla uchodźców z Rumunii, nazwałbym to aktem odwagi. Miłosierdzie okazywane dziś rumuńskim sierotom dzięki dochodom uzyskanym takim sposobem bliższe jest, niestety, nekrofilii niż wskazaniom Ewangelii. Mam też nadzieję, że Łódź nie zasłynie jako miasto pomysłów z Azji rodem.

kof.

FAKTY

Pod warunkiem otrzymania czegoś mniejszego Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej gotów jest oddać „pałacyk" przy Piotrkowskiej 262.

Wszystko to, co w Łodzi związane jest z kolejnictwem wizytował dyrektor PKP — **R. Olszewski.** Były rozmowy z prezydentem miasta.

Do 31 marca 1990 r. zostanie podjęta decyzja o przydziale budynku po KŁ PZPR. Do Wydziału Spraw Lokalowych UMŁ wpłynęły cztery podania: **Łódzkiego Banku Rozwoju, PCK, Politechniki Łódzkiej** i spółki **Miedzynarodowe Targi Łódzkie.** Pozostali zainteresowani, którzy występowali przed kamerami TV — Łódź nie zgłosili oficjalnych wniosków. Czy pod uwagę będą brani wszyscy, czy tylko „oficjalni" nie wiadomo.

Piotr Miłosz, syn Czesława — pisarza, noblisty przebywa w Łodzi w interesach. Ma zamiar otworzyć skład z artykułami przemysłowymi pochodzącymi z RFN.

„WIFAMA" żąda zwrotu swoich nieruchomości przy Szpitalnej 3—7 zagarniętych przez byłą PZPR.

B.A.M.

HANDEL NA ULICY

Rys. Dariusz Romanowicz

Na ulicy można już kupić wszystko: mięso, owoce, jajka, pomarańcze, książki, chleb, papierosy... Jest to wyzwanie dla zmonopolizowanego handlu. Ludzie kupują na ulicy, bo taniej. W sklepach monopolistów zdarzają się pustki. Ale monopoliści czują się dobrze. Czy konkurencja zmusi ich do przekazania pustych sklepów i kiosków tym, którzy chcą handlować i zarabiać? Kiedy to się stanie?

ZENEK P.

KOREPETYCJE

Matematyka (godzina lekcyjna, z przyjazdem do domu) — 10.000 zł;
Angielski (60 min., udziela Amerykanin) — 15.000 zł; (student) — 8—10 tys. zł;
Niemiecki, francuski, łacina (60 min.) — 5.000 zł;
Chemia (godzina lekcyjna) — 12.000 zł.

MAŁGORZATA G.

RUCH W PODZIEMIU

Kiosk „Ruchu" przy Dworcu Fabrycznym był otwarty nie więcej niż 4 dni w ciągu 1990 roku. Wszystko za sprawą włamywaczy — „szybotłuków".

Do dzisiaj, od początku roku zysk „punktu sprzedaży detalicznej" wynosi „aż 1,7 miliona złotych". A ile straty?

Inwentaryzacja za styczniowe włamanie jeszcze trwa. Grudniowe straty z tego samego powodu to 24 miliony - po starych cenach. Za elektryczność – 75 tysięcy. W styczniu dla obsługi i Urzędu Skarbowego ponad milion sześćset tysięcy.

W lutym strażnik z najtańszej spółdzielni pracy, „Światowid" wziąłby za cały miesiąc pilnowania kiosku — dzień i noc — 220 tysięcy.

W oddziale „Ruchu" — Południe mówią, że kiosk jest potrzebny ze względów społecznych. Ten kiosk jest czwartym w najbliższej okolicy Dworca Fabrycznego.

B.A.M.

Dolne Łęgi: wojna o pastwisko

Szesnaście lat temu rolnicy ze wsi Dolne Łęgi zawiązali spółkę gruntową. Akt prawny określał poszczególnych członków oraz ich udziały. Byli tam m.in. Ignacy i Jan Graczykowie, Stefan Sobieraj oraz Zenona Pacek, która zbyła swoje gospodarstwo Stanisławowi Józefczykowi.

W 1981 r. spółka dokonała podziału wspólnoty w oparciu o tabelę likwidacyjną ustalając jednocześnie, iż wspomniani rolnicy nie mają żadnych praw do korzystania z pastwisk wspólnoty. Do sądu wpłynęło odwołanie, po rozpatrzeniu którego wysoki sąd dopuścił Stanisława Józefczyka, Ignacego i Jana Graczyków, Stefana Sobieraja do współposiadania i korzystania z gruntów objętych wspólnotą gruntową we wsi Dolne Łęgi (w międzyczasie Czesław Witek przejął gospodarstwo rolne po teściu Stefanie Sobieraju, a tym samym stał się uprawnionym do korzystania z pastwisk wspólnoty).

Wyrok ten przez resztę udziałowców nie został zaakceptowany. Dzień konfrontacji nadszedł w lipcu, kiedy to zwycięzcy w procesie wprowadzili swoje krowy na pastwiska wspólnoty. Mężczyźni przymocowali łańcuchami do palików krówki, paliki wbili w ziemię, a sami paląc papierosy zaczęli roztrząsać problemy życia codziennego.

Nie zdążyli jeszcze porządnie się zaciągnąć, a zjawili się na rowerach trzej rolnicy: Bolesław Knop, Paweł Orpiel oraz Lucjan Mróz. Zsiadłszy z siodełek bez słowa podeszli do pasących się krów, odpięli je od palików i spędzili z pastwiska. Reszta krów nadal pasła się spokojnie.

Od wsi ukazała się kolejna grupa kobiet i mężczyzn na rowerach. Były to Zofia Owsiak, Maria Bilak, Anna Czech, a także Piotr Bilak, Mira i Bogusław Cichoszowie, Tomasz Bilak, Romana Sitek, Kazimierz Bilak oraz Zyta Adamiec. Cała ta grupa ruszyła w kierunku krów i przepędziła je na przysłowiowe cztery wiatry.

Właściciele krów nawet nie próbowali się sprzeciwiać: szansa na dowiedzenie racji przy pomocy pięści była znikoma.

Tydzień później nastąpiła druga próba wprowadzenia krów na teren wspólnoty przez uprawnionych rolników, tym razem w asyście dwóch funkcjonariuszy MO przysłanych z miasta, którzy zwrócili się z apelem do użytkowników wspólnoty o nieutrudnianie wypasania. Grupa poznanych już uprzednio rolników, stanęła w poprzek drogi tworząc mur nie do przebycia. Swój sprzeciw i protest zaczęli wyrażać przy tym w sposób słowny zapewniając milicjantów, że swojej postawy nie zmienią za nic w świecie.

Obie strony stały na wiejskiej drodze dość długo, w powietrzu krzyżowały się coraz bardziej kwieciste zdania.

Około południa, kiedy krowy zaczęły ryczeć z głodu, incydent wygasł i ludzie się rozeszli. Poszkodowani rolnicy ponownie odwołali się do sądu. Część oskarżonych przed obliczem prokuratorskim przyznała się do zarzucanego im czynu, natomiast kilka osób kategorycznie zaprzeczyło temu. Rozprawa sądowa zapowiadała się więc bardzo interesująco. Niestety amnestia ogłoszona 7 grudnia 1989 r. pokrzyżowała te plany, bowiem wysoki sąd sprawę umorzył.

Na wieść o tym w Dolnych Łęgach zawrzało: obie zwaśnione strony zacisnęły pięści i zęby: — *Nie z nami takie numery!* — powiedzieli. — *Bodaj pójdziemy z torbami, a dowiedziemy swoich racji!* — I obie grupy — wrogie ale pełne zawziętej godności — pojechały tym samym autobusem do miasta Łodzi, by wynająć adwokatów.

EUGENIUSZ IWANICKI

Rozmyślania pani woźnej.

Nie tylko o chrząszczach

1.

UNIA jest słowem zacnym historycznie i wielce zasłużonym współcześnie. Z ojczystej historii wypada znać przynajmniej jedną: unię polsko-litewską; z historii powszechnej wiedzieć, że w XIX w. Unią nazywano Stany Zjednoczone, a z czasów współczesnych chociaż tyle, że CSU i CDU to także unie.

Od czerwca ubiegłego roku działa Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej.

2.

Szerzej pisał o tym „Express Ilustrowany", nr 32. Artykuł nosił tytuł: *„Uczniowski sposób na... szkołę"*. Dowiedziałam się, że Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej powstała z połączenia mniejszych związków i stowarzyszeń, że w skład jej wszedł Szkolny Komitet Oporu Społecznego, natomiast Federacja Młodzieży Walczącej zachowała swoją odrębność i do Unii nie przystąpiła. Dowiedziałam się o *„dreszczu emocji"*, jaki *„przeszył środowisko młodzieży"*, bo nareszcie ma ono o czym *„dyskutować na przerwach — nie tylko o video, samochodach i szmalu"*. Dowiedziałam się też, że *„różnorodność ruchów myślowych, tendencji i postaw wśród młodzieży jest czymś pożądanym i pozytywnym. Każdy może się wypowiedzieć i to w różny sposób"*. Dowiedziałam się najważniejszego: Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej jest *„pewnym novum w naszej praktyce"*, ponieważ ma charakter związku zawodowego, którego zadaniem jest obrona praw ucznia przed dyrekcją szkół, kuratorium i reprezentowanie jego interesów (nie kuratorium, rzecz jasna, lecz ucznia). Unia będzie walczyć o prawa młodzieży. Ambicje ma duże i takiż zakres działań i zadań. Unia zamierza współdecydować o losie szkoły i nauczania. Członkowie Unii domagają się wprowadzenia istotnych zmian w programie nauczania, postulują reformę matury, walczyć będą o wysokość stypendiów uczniowskich, domagać się całkowitego wycofania ze szkół języka rosyjskiego, a w ogóle chcą być traktowani z poszanowaniem ludzkiej godności.

3.

Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej — trzeba przyznać, że brzmi to mocno i zdecydowanie. W Szczebrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie, lecz z brzmienia chrząszcza dla Szczebrzeszyna (poza samym brzmieniem) nic nie wynika; tu natomiast wynika wiele. Związek zawodowy uczniów, do którego mogą przystąpić nawet ośmioklasiści z powszechniaka, to brzmi już nie tylko jak „novum w naszej praktyce", to staje się novum na skalę światową. Młodości, ty nad poziomy wylatuj, a okiem słońca ludzkości całe ogromy przeniknij z końca do końca! W innych przecież krajach ludzkość jeszcze głucha, kto w takiej zacofanej Anglii (gdzie stosunkowo niedawno zniesiono dopiero karę chłosty) słyszał o związkach zawodowych uczniów? Myślę więc, że *„dreszcz emocji"* przeszyje niedługo młodzież angielską, amerykańską, francuską, niemiecką, holenderską, duńską i wszędzie potworzą się związki zawodowe uczniów, reformujące programy nauczania i nie tylko programy. Wszędzie młodzież rozpocznie walkę o swoje prawa.

4.

Niezależność — to też brzmi zdecydowanie, mocno, a na dodatek dumnie. Ktoś opowiadał mi anegdotę o pewnym pisarzu amerykańskim, który w ramach niezależności zaszył się w głuszy, mieszkał w szałasie, pił wodę ze strumyka, żywił się korzonkami, a gdy opadły z niego spodnie i w brodzie do pasa zagnieździły się insekty, czym prędzej powrócił do uciążliwej zależności.

Członkowie Unii Młodzieży Szkolnej już w swojej nazwie ogłaszają niezależność. Od kogo i od czego? Od wideo? Od szmalu? Miejskiej komunikacji, i odtąd tylko na piechotę do budy? A może od państwa? Od społeczeństwa? Od prawa? Czy też owa „niezależność" ma dotyczyć wyłącznie szkoły, kuratorium, rad pedagogicznych, nauczycieli? To w takim razie po co się uczyć? Nauka ponadpodstawowa nie jest przymusem. Oj, ten przebrzydły chrząszcz chrzęści i chrzęści werbalnym bezsensem.

5.

Z codziennej praktyki „pani woźnej" mniemam, że niezależność członków Unii dotyczy głównie woźnych szkolnych. W mojej szkole potencjalni członkowie rzucają ogryzki jabłek, papierzyska, pestki dyni, nadgryzione kromki chleba, tudzież absolutnie wszystko wprost na wypastowaną posadzkę, nie przejmują się czymś tak mało istotnym jak szacunek dla cudzej pracy czy uszanowanie godności kogoś takiego jak woźna. — *Spadaj, ciotka! razem ze swoimi uwagami, jesteś tu do zamiatania!* — oznajmił mi żując gumę pewien młodzieniec, wytypowany przez szkolnego pedagoga na kandydata do liceum ogólnokształcącego.

6.

Dotąd sądziłam, że związek zawodowy to zrzeszenie ludzi, wykonujących pracę najemną. Ale nie! Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej posiada charakter związku zawodowego. I już! A jako związek ma prawo walczyć, bronić interesów, występować w imieniu tychże, domagać się, przesyłać listy postulatów do Ministerstwa Edukacji Narodowej, gdzie są one *„skrupulatnie rozpatrywane"* i sam prof. H. Samsonowicz pochyla nad nimi głowę w skupieniu.

7.

Nie można szukać prawdy dokoła siebie, nie znając prawdy o sobie. Ta prawda — o sobie — jest zawsze najtrudniejsza. Przed sobą widzi się o wiele łatwiej, a przede wszystkim to punkt widzenia wygodniejszy — niż widzieć w sobie i o sobie. Więc gdyby w *„uczniowskim sposobie na szkołę"* wyciszyć przysłowiowego chrząszcza, wyzbyć się chrzęszczących werbalizmem i demagogią haseł — a wprowadzić do programu działań poza walką o swoje prawa — zakres obowiązków dla siebie, Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej mogłaby mieć rzeczywiście wiele do powiedzenia i zrobienia.

EWA OSTROWSKA

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

FUNDUSZ DARU NARODOWEGO CZEKA!

Idea powołanego Funduszu Daru Narodowego nawiązuje do najpiękniejszych tradycji polskiego ruchu obywatelskiego. Wspomnijmy tu przedwojenny Fundusz Obrony Narodowej, kiedy to na hasło „Ojczyzna w potrzebie" społeczeństwo polskie odpowiedziało niesłychaną wprost ofiarnością. Dzisiaj to stare hasło nabrało nowych znaczeń. Fundusz Daru Narodowego to fundusz pomocy Polsce i Polakom. W całym kraju muzea i banki prowadzą zbiórkę darów, organizowane są liczne aukcje.

W Łodzi misję przyjmowania darów powierzono Muzeum Sztuki; do najcenniejszych spośród ofiarowanych dotychczas dzieł należy obraz Stanisława Fijałkowskiego „Kwiaty" z 1956 r. Wierzymy, że w najbliższym czasie idea Funduszu Daru Narodowego zyska kolejnych sojuszników i spotka się z jeszcze szerszym rezonansem społecznym wśród łodzian.

Przypominamy, że dary będące dziełami sztuki, kosztownościami o wartości muzealnej, numizmaty oraz cenne wyroby przemysłu artystycznego przyjmuje Muzeum Sztuki, ul. Więckowskiego 36, tel. 33-97-90, w poniedziałki, środy, czwartki i piątki 10.00—15.00 oraz — specjalnie z myślą o pracujących — we wtorki w godz. 13.00—18.00.

APEL RADY SPOŁECZNEJ UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Rada Społeczna Uniwersytetu Łódzkiego zwraca się do obywateli, instytucji, działaczy gospodarczych, przedsiębiorców, a przede wszystkim rodziców studentów z województw makroregionu środkowego tzn.: piotrkowskiego, płockiego, sieradzkiego, skierniewickiego oraz miejskiego łódzkiego o pomoc w zgromadzeniu niezbędnych środków na kontynuację inwestycji obejmującej budynek hali sportowej z basenem w Osiedlu Akademickim Uniwersytetu Łódzkiego.

Mając na uwadze rolę, jaką ćwiczenia fizyczne i uprawianie sportu spełniają w kształtowaniu i utrzymaniu kondycji psychofizycznej i odpowiedniego stanu zdrowia studentów, z których większość po ukończeniu studiów wróci w rodzinne strony, **Rada Społeczna Uniwersytetu Łódzkiego liczy na finansowe wsparcie w realizacji tego przedsięwzięcia.** Brak środków z funduszy centralnych zmusza Zarząd Inwestycji Szkół Wyższych do jego wstrzymania. Uczelnia nie może również dofinansować inwestycji ze środków własnych, których brak w dostatecznej ilości na działalność bieżącą, zakupy aparatury, remonty i utrzymanie należytych standardów techniczno-sanitarnych.

Przerwanie tej budowy, przy trudnościach związanych z wynajmem oraz opłaceniem stosownych obiektów poza Uniwersytetem, pozbawi co najmniej kilka roczników studentów UŁ możliwości odbywania ćwiczeń w-f.

Rada Społeczna Uniwersytetu Łódzkiego oczekuje na stosowną reakcję władz i społeczności województw Makroregionu Środkowego. Wpłaty prosimy dokonywać na konto **Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych w Łodzi nr 344612-5382-181-53 w PBG II Oddział w Łodzi** z dopiskiem **„hala sportowa".**

ZABRALI NAZWISKA, NIE ODEBRALI PAMIĘCI

Przed dniem Wszystkich Świętych byłem na starym cmentarzu łódzkim przy ul. Ogrodowej odwiedzić groby rodzinne i tych, którzy odeszli w ubiegłych latach. Wstąpiłem też na tę część cmentarza, gdzie pochowano łodzian poległych w wojnie 1920 r. Okres stalinowskich lat pięćdziesiątych nie ominął tych grobów. Przybyli do nich „poprawiacze historii" z dłutami i młotkami kamieniarskimi zacierając na tablicach napisy mówiące, że ten, czy ów poległ za ojczyznę. Takich poprawek było bardzo wiele. W alei zasłużonych znajduje się grób kpt. Stefana Pogonowskiego dowódcy batalionu 28 p. strzelców kaniowskich, poległego pod Radzyminem. Z grobem tym zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Ponieważ osoba ta była w mieście znana, udało się zachować ulicę jego imienia. Natomiast...

Był on jednym z pierwszych, na których zaczęto dokonywać „historycznych poprawek". Pamiętam tę mogiłę z lat przedwojennych. Stała na niej figura husarza polskiego w pełnej zbroi i w średniowiecznym hełmie z orlimi skrzydłami na plecach. Jak powiadali ludzie odwiedzający tę część cmentarza, działy się tam dziwne rzeczy. Najpierw zniknęły skrzydła husarskie, a potem... Potem nastąpiły inne „dziwne historie" — zatarcia daty i powodu śmierci.

Trzeba jednak przyznać, że wielu łodzian nie godziło się z owymi posunięciami „zacieraczy". Bardzo często na mogile można było spotkać naręcza świeżych kwiatów. W dzień Wszystkich Świętych pojawiały się na mogile owego „wroga ludu pracującego" lampki nagrobkowe. Zapalała je nieznana ręka, której nigdy nikt nie ustalił. Była to odpowiedź na profanacje, których dopuściły się organa „władzy" na grobach tych, którzy już odeszli z tego świata.

Grób kpt. Stefana Pogonowskiego nie był jedynym przykładem zacierania niewygodnej przeszłości. Będąc na Ziemi Kieleckiej byłem kilkakrotnie świadkiem tego, jak organa administracji państwowej (rzekomo dla estetyki mogił i cmentarzy) usuwały na grobach żołnierskich stare krzyże, stawiając nowe kamienne z napisem „nieznany", a tym samym ograbiono je z nazwisk, imion, stopni wojskowych, przydziału do jednostek, a nawet daty śmierci (cmentarze w Szydłowcu, Gielniowie, Brzasku, Lesie k/Skłób).

MIECZYSŁAW KOZAK

„SPÓR O KLUB JEŹDZIECKI" — GŁOS MA DRUGA STRONA

W artykule Marka Koprowskiego „Spór o klub jeździecki" opublikowanym w „Odgłosach" numer 5 znalazły się wiadomości nieprawdziwe i nieścisłe, które pragniemy sprostować.

Wiadomość pierwsza: *„Prezes klubu lubi rozdawać dość atrakcyjne prezenty"*. (...) Wiadomość ta jest nieprawdziwa. Prezes klubu nigdy nie wręczał dziennikarzom podarków. Na konferencji prasowej jesienią 1987 r. pełnomocnik Przedsiębiorstwa Zagranicznego „Furex" — sponsora klubu — wręczyła dziennikarzom zestawy upominków reklamowych.

Sprawa druga: Stefan Türschmid *„jest szykanowany". „Odsunięto go od zawodów, odebrano mu konia pod pozorem programu oszczędnościowego. Ostatnio nawet postawiono go przed swego rodzaju sądem kapturowym, a jest to ulubiona forma piętnowania i zastraszania niewygodnych sobie ludzi przez prezesa klubu...".* List Stefana Türschmida do „Odgłosów" nosi datę 14 grudnia 1989 r. Tymczasem w protokole posiedzenia Zarządu klubu z 23 listopada 1989 r. czytamy: *(...) „Już dzisiaj należy zwrócić uwagę na konieczność ograniczenia ilości posiadanych koni, a co za tym idzie zmniejszenia również ilości zawodników, szczególnie seniorów nie rokujących żadnych szans na uzyskanie dobrych wyników".* Na posiedzeniu zarządu 5 stycznia 1990 r. trener klubowy i członek zarządu Stanisław Marchwicki przedstawił plan pracy grupy sportowej na rok 1990, przyjęty przez zarząd przy jednym głosie przeciwnym Stefana Türschmida. W planie tym o Stefanie Türschmidzie czytamy: *„Zawodnik od kilku lat bez klasy sportowej i znaczących wyników".* Analogiczny pogląd prezentuje Komisja Rewizyjna Klubu w swoim sprawozdaniu za rok 1989. Stefan Türschmid ma 42 lata, nie osiągnął żadnych wyników sportowych. W tej sytuacji utrzymywanie go przez klub, jako czynnego zawodnika jest nieuzasadnione. Stefan Türschmid nie jest szykanowany, piętnowany i zastraszany. Nie był stawiany przed żadnego rodzaju sądem kapturowym. Na posiedzeniach zarządu 5 i 15 stycznia 1990 r. dyskutowano na temat wystąpień Stefana Türschmida do środków masowego przekazu i w tej sprawie Stefan Türschmid wypowiadał się na równych prawach jako członek zarządu.

Informacja trzecia: *„Sam przed dwoma laty doświadczyłem podobnej próby, nieudanej co prawda..."* nawiązuje w dalszej treści swojej publikacji Marek Kaprowski do cytowanego wcześniej fragmentu: *„Jest to ulubiona forma piętnowania i zastraszania niewygodnych sobie ludzi".* Kontakty Marka Koprowskiego z klubem i przedstawicielami zarządu były szczątkowe: Marek Koprowski brał udział we wspomnianej na wstępie konferencji prasowej, a wcześniej 24 czerwca 1987 r. był umówiony telefonicznie z prezesem klubu. Do spotkania nie doszło z powodu nagłej, a potem długotrwałej choroby prezesa. W inny sposób Marek Koprowski ani pośrednio, ani bezpośrednio nie kontaktował się z prezesem ani zarządem, bądź poszczególnymi jego członkami, wyjąwszy kolegę Türschmida.

Kolejna sprawa: klub służy *„grupie decydentów traktujących klub jak prywatny folwark".* Klub liczy 163 członków, w tym 4 zawodników — seniorów, 8 juniorów. W roku 1989 w szkółce jeździeckiej uczyło się 40 osób, a kursy jeździeckie I i II stopnia ukończyły 192 osoby. W ramach rekreacji odbyto 1536 jazd godzinnych, a na jednego konia przeznaczonego na ten cel przypadło 358 osób. W związku z tym zarzut: *„80 proc. chętnych do jazd rekreacyjnych (za pieniądze) odchodzi z niczym (...)"* jest nieprawdziwy. Limit miejsc na jazdach rekreacyjnych jest wykorzystany. Z członków zarządu jeżdżą konno: Stanisław Marchwicki i Stefan Türschmid. Inni nie korzystają z koni klubowych.

Następna informacja: *„konie są zaniedbane", „prezes nakazał zmniejszenie dawek pokarmowych koniom, milion planowanej podwyżki dzieli między pracowników". „Prezes postanowił sprzedać trzy najlepsze konie, żeby wypłacić pensje pracownikom, a nie pomyślał by zredukować personel, na przykład administracyjny".* Te dwie sprawy: kondycji koni oraz zatrudnienia należy omówić łącznie, gdyż intencją autora jest wykazanie, że zdaniem zarządu *„klub bez koni utrzyma się, dlatego należy dbać o ludzi".* 24 stycznia 1990 r. lekarz weterynarii Polskiego Związku Jeździeckiego i lekarz kadry narodowej sporządził okresowy (rutynowy) *„protokół z weterynaryjnego przeglądu koni w Łódzkim Klubie Jeździeckim"* i stwierdził w nim: *„ogólnie stwierdzam, że kondycyjnie i pielęgnacyjnie konie są bardzo dobre i nie budzą zastrzeżeń".* W piśmie Polskiego Związku Jeździeckiego z 18 stycznia 1990 r. do Wojewódzkiej Federacji Sportu w Łodzi czytamy: *„Polski Związek Jeździecki nie wnosi żadnych zastrzeżeń co do prowadzonych treningów, opieki zdrowotnej i pielęgnacji koni będących własnością klubu".* Analogiczną opinię wydało Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, które stwierdziło ponadto, iż ilość paszy dla koni jest wystarczająca. Zauważyć przy tym należy, iż koń potrzebuje więcej pożywienia w czasie, gdy intensywnie trenuje, a mniej w okresie odpoczynku czy roztrenowania. Z uwagi na trudności w zaopatrzeniu w paszę na krótki czas zmniejszono obciążenie treningowe kilku koni, co jednocześnie pozwoliło na zmniejszenie im stawek żywieniowych. Konie mają się więc dobrze. Stwierdzenie, że zatrudnionych jest w klubie 13 osób jest ścisłe i nieścisłe. Rzeczywiście jest tylu pracowników, w tym sześciu na pełnych etatach: trzech stajennych, kierownik, trener i instruktor. W niepełnym wymiarze czasu pracują: instruktor jazdy konnej, palacz i stróż nocny w jednej osobie, kierowca, kowal, sprzątaczka oraz dwóch księgowych (każdy na pół etatu). Zatrudnienie dwóch po pół etatu, zamiast jednego na pełnym wiąże się z brakiem osoby chętnej na wyłączną pracę w klubie ze względu na dojazd na krańce miasta i wyjątkowo nieatrakcyjną płacę 270.000 złotych (dzieloną obecnie na obu księgowych). Sądzimy, iż nie można tu mówić o przerostach, zwłaszcza o przerostach administracyjnych. Rymarz — o którym pisze Marek Koprowski — nigdy nie był w klubie zatrudniony. Natomiast specjalista d/s budowy krytej ujeżdżalni przyjęty był na podstawie umowy zalecenia do wykonania określonego zadania (zlecenia) polegającego na przygotowaniu dokumentacji budowlanej i podkładów geodezyjnych. Umowa ta wygasła z końcem 1989 roku. Informacja, że sprzedaje się najlepsze konie jest nieprawdziwa. W klubie pozostaje kilkanaście lepszych wierzchowców, a oferowane są do zbycia wysłużone: 20-letni i 15-letni. Płace pracowników nie zależą od sprzedaży koni, albowiem dla klubu jako jednostki budżetowej fundusz płac (i ilość etatów) określa Wydział Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki Urzędu M. Łodzi w granicach określonych przepisami o wynagrodzeniu pracowników stowarzyszeń i z tegoż wydziału pochodzą pieniądze na wynagrodzenie pracowników. Stamtąd też pochodził ów dodatkowy milion złotych na podwyżki. W klubie każdy bierze pieniądze za konkretną, uczciwą pracę. Nikt nie śpi na biurku. Trener zajmuje się renowacją uprzęży po godzinach pracy, jako swoim hobby.

Sprawa kolejna: *„a stajnia wymaga przebudowy".* Chodzi tu o przebudowę stajni dla koni wiązanych na stajnię boksową, co powoduje zmniejszenie stanowisk dla koni z 12 do 8. Nie chodzi tu o brak *„głupiego półtora miliona"* ale o to, że Stefan Türschmid, odpowiedzialny zgodnie z decyzją zarządu za projekt przebudowy i prowadzenie tej sprawy, nie zdołał spowodować przygotowania odpowiedniego projektu.

Ani prezes, ani członkowie Zarządu nigdy nie podawali się do dymisji, co wynika z treści protokołów posiedzeń zarządu. Zgodnie ze statutem zebrania zarządu odbywają się co najmniej 4 razy w roku, w roku 1989 zarząd obradował 13-krotnie w konkretnych sprawach, według ustalonego porządku.

Marek Koprowski pisze: *„marnotrawstwo, nieudolność, sobiepaństwo i arogancja prominenckiego zarządu"*, a także, że nie nie przesłoni *„ewidentnych błędów, niekompetencji i nieudolności — a przede wszystkim żałosnych efektów tychże".* Są to wszystko oceny podlegające weryfikacji. Uważamy, że przedstawione wcześniej sprostowania muszą co najmniej (obiektywnie) tę ocenę osłabić. Nie uważamy się też za prominentów. **Jest wśród nas prokurator dzielnicy, agent sklepu „Otexu" (a nie właściciel butiku, jak chce Marek Koprowski), kierownik lecznicy weterynaryjnej, dyrektor przedsiębiorstwa handlującego zwierzętami bodowlanymi, dyrektor PZU, trener klubu, pracownik WAM, emeryt, dwoje zwykłych pracowników i rzemieślnik.**

Zapraszamy Marka Koprowskiego, by zgodnie ze starą rzymską zasadą wysłuchał również drugiej strony, czyli demokratycznie wybranego i społecznie sprawującego swe funkcje zarządu.

mgr WOJCIECH JABŁOŃSKI
(prezes)

OD REDAKCJI: Autor publikacji „Spór o klub jeździecki" — Marek Koprowski nie może zabrać głosu w sporze i ustosunkować się do postawionych mu zarzutów, przebywa bowiem na leczeniu w szpitalu.

ULEGŁ PRYMITYWNEJ PROPAGANDZIE

W 4 numerze „Odgłosów" p. Witold Kasperkiewicz był łaskaw, oceniając moją wypowiedź nt. Pinocheta, nazwać mnie himalaistą eufemizmów. Poczytywałbym sobie to za komplement, wszak sprawne posługiwanie się eufemizmami to trudna umiejętność retoryczna, gdyby udało mi się przekonać p. Kasperkiewicza do swoich racji. Niestety mój polemista, karmiony latami prymitywną i głupią propagandą komunistyczną, uwierzył, że Chile to przykład faszystowskiej dyktatury. Trudno, wiara jest sprawą prywatną i nie zamierzam p. Kasperkiewicza nawracać na zdrowy rozsądek. Zacytuję jedynie słowa francuskich socjalistów po ich powrocie z Chile w 1989 roku: „Towarzysze, tam nie ma dyktatury, tam jest dobrobyt."

JACEK DĘBSKI

TEATR 77 APELUJE DO MIESZKAŃCÓW ŁODZI!

Jak już informowaliśmy, Teatr 77 jest organizatorem i gospodarzem Przystanku Łódzkiego „DROGI DO DELF" — Międzynarodowego Projektu Teatralnego z udziałem teatrów z różnych stron Europy. Zasadniczą ideą tej podróży — pielgrzymki z Danii do Grecji — jest potrzeba zamanifestowania poczucia wspólnoty ludzi z różnych krajów Wschodu i Zachodu, wskazanie dzielących ich odrębności i wspólna kreacja twórcza. Nad tym wszystkim rozbrzmiewać będzie pytanie o przyszłość Europy, które zadamy w Delfach.

Organizatorzy Projektu mają nadzieję, że stanie się on jedną z możliwych dróg spotkania i integracji obcych sobie — ustrojowo, politycznie, kulturowo — środowisk, że przyczyni się do lepszego poznania i pogłębienia europejskiej wspólnoty.

Doskonałą okazją dla budowania tego poczucia wspólnej tożsamości Duńczyków i Węgrów, Polaków i Niemców, Austriaków i Czechów, by zatrzymać się na części z uczestników, jest Przystanek Łódzki „DROGI DO DELF", a w nim akcja Rodzin, która obejmie swym zasięgiem wszystkie kraje na Szlaku Projektu. Dzięki niej dziesiątki łódzkich rodzin mają okazję gościć młodych artystów z Europy Zachodniej i Wschodniej, nawiązywać kontakty, budować przyjaźnie, a wreszcie — włączyć się w proces tworzenia nowej, demokratycznej Europy — wspólnego domu nie tylko na płaszczyźnie politycznej, ale codziennych kontaktów zwyczajnych obywateli.

Jeśli zainteresował Cię ten pomysł, jeżeli chcesz się włączyć w twórcze działanie, jeśli pragniesz zostać opiekunem któregoś z gości, jeżeli masz ochotę odbyć niezwykłą podróż — pielgrzymkę, przemierzyć z nami część DROGI, i w ten sposób zbudować unikalną sieć więzi społecznych i przyjacielskich — przyjdź, napisz lub zadzwoń do **TEATRU 77, 90-403 Łódź, Zachodnia 56 II piętro, tel. 33-43-68, 33-26-41 (w godz. 10-15).**

Mieszkańcy Łodzi! Włączcie się do wspólnej pracy nad Projektem, budujcie wraz z nami kształt przyszłej Europy! Weźcie udział w tworzeniu wspólnego Domu!

150 uczestników „DROGI DO DELF" czeka na Wasz odzew. Zapraszamy.

TEATR 77

KONKURS: „DEBIUTY — 1990"

Centrum Kultury Młodych informuje, że ogłasza konkurs dla wszystkich, którzy nie ukończyli 35 lat i prześlą zestaw 5 wierszy albo do 6 stron maszynopisu prozy. Nadsyłane utwory należy oznaczyć godłem oraz takim samym godłem kopertę z danymi autora. Konkurs przeznaczony jest dla mieszkańców województwa łódzkiego.

Prace należy nadsyłać do **20 kwietnia 1990 roku** pod adresem: **Centrum Kultury Młodych w Łodzi, 93-021 Łódź, ul. Lokatorska 13,** na kopercie dopisek: „Konkurs literacki „Debiuty — 1990".

Przewidziano nagrody i możliwość druku. CKM nadesłanych prac nie zwraca.

KOMUNIKAT

W oparciu o liczne protesty środowiska dziennikarskiego, w związku z publikacją pt. „Hawana?... Tirana?" zamieszczoną w „Dzienniku Łódzkim" w dniu 20.02.1990 r., Zarząd Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej uważa za stosowne przypomnienie jej autorowi oraz red. naczelnemu „DŁ" brzmienie rozdziału XXIV art. 178, par. 2 Kodeksu Karnego: „Kto podnosi lub rozgłasza nieprawdziwy zarzut o postępowaniu lub właściwościach innej osoby, grupy osób lub instytucji w celu poniżenia ich w opinii publicznej lub narażenia na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności — podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech".

Jednocześnie Zarząd Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej przypomina red. naczelnemu „Dziennika Łódzkiego" brzmienie art. 12 Dziennikarskiego Kodeksu Obyczajowego: „Kto bezprawnie odmawia zamieszczenia sprostowania lub odpowiedzi... podlega karze od nagany do zawieszenia".

Niezależnie od powyższego komunikatu Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej zastrzega sobie prawo wystąpienia w obronie każdego dziennikarza, w każdej sytuacji zagrażającej jego dobremu imieniu — niezależnie od przynależności stowarzyszeniowej lub politycznej.

ZARZĄD ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO
SD RP

Łódź, dn. 23. II. 1990 r.

Narkomania i AIDS są nadal groźne i są społecznym problemem

Jak najwięcej z siebie dać innym

Rozmowa z MARKIEM KOTAŃSKIM — przewodniczącym Stowarzyszenia „Monar".

Jak dalece prawdziwa jest opinia, że „MONAR" stoi na granicy bankructwa" i ośrodkom grozi likwidacja?

— Działalność ośrodków i punktów konsultacyjnych „MONARU" finansowana jest — zgodnie z zawartym przed kilkoma laty porozumieniem — przez Ministerstwo Zdrowia i nie obawiamy się z tej strony żadnych kłopotów. Oczywiście ilość pieniędzy, jaką otrzymujemy nie jest współmierna do naszych potrzeb, w związku z tym brakuje nam funduszy na nowe inwestycje i remonty, ale na pewno — co pragnę podkreślić — żadnemu ośrodkowi nie grozi likwidacja. A kłopoty, no cóż, wszyscy je mamy. Ja cieszę się poniekąd, że ośrodki mają pewne problemy, ponieważ są one elementem wychowującym młodych ludzi. Oni nawet przez moment nie mogą myśleć, że państwo im wszystko da. Inną kwestią jest działalność statutowa — ponieważ na nią pieniądze zostały cofnięte.

— Czy w związku z trudną sytuacją „MONAR" zamierza podjąć działalność gospodarczą?

— Oczywiście tak. Niektóre z ośrodków już ją podjęły, np. pacjenci ośrodka w Zaczerlanach sprzątają pobliskie miasto i część Białegostoku, w Głoskowie wykonują usługi malarskie, w Rożnowicach robią meble, a w Majdanie-Kozic zabawki z drewna. Cały czas poszukujemy zresztą nowych sposobów zarabiania. Nawiązaliśmy np. kontakt z biznesmenem z Holandii, który chce w Wyszkowie założyć wytwórnię soków. Rzecz jasna działalność gospodarcza ośrodków ma przede wszystkim wartość wychowawczą, ponieważ dochód z niej jest niewielki. W całości przeznaczamy go na dofinansowywanie ośrodków i polepszanie ich infrastruktury. Obawiam się jednak, że już niedługo — gdy zaczniemy w ośrodkach przyjmować chorych na AIDS — nikt nie będzie chciał z nami współpracować. Przykładem jest ośrodek w Zbicku, w którym przebywa czternastu nosicieli wirusa HIV — tam nawet ekipy remontowe nie chcą wkraczać, ponieważ się boją.

— Narkomania jest problemem społecznym. Do tej pory były pieniądze na jej zwalczanie, co się stało obecnie? A może w Polsce ten problem już po prostu nie istnieje?

— Narkomania heroinowa trochę jakby została przyhamowana. Osiem lat temu, gdy przeżywaliśmy apogeum tragicznego zjawiska notowano od 35 do 40 tys. „heroinowców". Teraz około 16 tys. — oczywiście liczby te trzeba pomnożyć przez dziesięć. Nie należy więc wpadać w euforię tym bardziej, że obecnie połowa z tych ludzi ma szansę zostać nosicielami wirusa HIV. Dlatego sądzę, że jeśli w Polsce nie wyasygnuje się dodatkowych funduszów na zwalczanie narkomanii oraz na pomoc ludziom chorym na AIDS, to sytuacja może stać się dla nas wszystkich cholernie nieciekawa.

— Czy zmienił się profil narkomanii?

— Tak, zmienił się. Kiedyś narkomania była domeną ludzi młodych, zagubionych, wrażliwych. Teraz przeważają narkomani starsi — z kryminalną przeszłością. Są bardzo skryci. Mają olbrzymie problemy z własną osobowością, która już przed chorobą była nieprawidłowa, a której ta nieprawidłowość na skutek narkomanii jeszcze bardziej się pogłębiła. Nie wierzą, że mogą z tego wyjść, i że my możemy im w tym pomóc.

— A możecie?

— Mamy przecież ciągle wskaźnik 40 procent trwałych wyleczeń. Piszą o tych sukcesach w Ameryce, w RFN, Skandynawii, w krajach Beneluksu. Chociaż praca ze względu na tę nową postać narkomanii jest coraz trudniejsza i wymaga coraz większego wysiłku, natomiast ludzie, którzy pracują wiele lat są już zmęczeni.

— Zarobki na pewno także nie zachęcają do pracy?

— Mamy takie zarobki, jakie są w służbie zdrowia i — choć bardzo bym chciał — nie mogę usatysfakcjonować ludzi większą ilością pieniędzy, ponieważ nie leży to w mojej gestii. Obecnie ci, którzy pracują z nosicielami wirusa HIV dostają dodatek do pensji w wysokości 150 tys. Wiem, że to mało, ale na razie nie da się chyba tego zmienić.

— Ilu pacjentów leczy się obecnie w ośrodkach monarowskich?

— Około 400 osób. W niektórych ośrodkach są jeszcze wolne miejsca.

— Z czego to wynika?

— Obecnie oprócz 18 naszych ośrodków monarowskich działa kilkanaście ośrodków ZOZ i dwa ośrodki kościelne. Istnieje więc pewna konkurencja, dzięki której każdy narkoman może obecnie wybrać najbardziej odpowiadający mu system leczenia. Ośrodki monarowskie są znane z wielkiej dyscypliny i wysokiego poziomu wymagań, a to często narkomanom nie odpowiada. Nie zamierzamy jednak z tego względu obniżać poprzeczki wymagań.

— W jednym z waszych ośrodków leczy się narkomanka ze Związku Radzieckiego. Czy jest to jedyna próba współpracy?

— Nie. Nie jedyna. Wcześniej rozpoczęliśmy współpracę z Węgrami i z Czechosłowacją. Obecnie zaczynają tam już działać ośrodki o systemie podobnym do naszego. Mam nadzieję, że tak samo będzie w Związku Radzieckim, skąd dostaję dziesiątki listów od matek z prośbą o przyjęcie ich dzieci na leczenie. W Moskwie powstała grupa inicjatywna narkomanów, którzy weszli w uzależnienie walcząc w Afganistanie. Chcą przyjechać do „MONARU" na leczenie i równocześnie na szkolenie. Chcę im pomóc. Wyjeżdżam do Leningradu i Rygi, aby spotkać się z młodymi ludźmi, którzy wspólnie z lekarzami i psychologami chcą założyć prawdziwe, samorządne ośrodki leczenia. Wiem, że napotyka to jeszcze na biurokratyczne trudności.

— Współpracujecie tylko z krajami Europy Wschodniej?

— Nie. Również między innymi z RFN, Francją, Szwecją, krajami Beneluksu i z Anglią. Kontakty te mają bardzo przyjacielski charakter, np. pacjenci ośrodka w Rożnowicach byli niedawno w zaprzyjaźnionym ośrodku w Anglii — o dziwo wszyscy wrócili. A jeśli jesteśmy już przy tym temacie muszę powiedzieć, że porównując nasze ośrodki z ośrodkami na Zachodzie nigdy nie wpadamy w kompleksy. Uważamy zresztą, że nasz system jest lepszy, o czym świadczą wyniki, jakie otrzymujemy — 30, a czasem 40 procent trwałej wyleczalności — podczas gdy tam efekty są często na poziomie 5 procent. Jesteśmy więc w moim pojęciu w awangardzie.

— Czy otrzymujecie z Zachodu pomoc finansową?

— Nigdy nie otrzymywaliśmy pieniędzy, natomiast zdarza się, że nasi przyjaciele np. ze Szwecji przysyłają nam żywność i ubrania. W tej chwili wiele ośrodków przysyła także literaturę, książki do nauki i kasety magnetowidowe.

— Właśnie otworzyliście w Zbicku pierwszy w kraju ośrodek dla narkomanów — nosicieli wirusa HIV.

— Tak. Chcę tu od razu powiedzieć, że nie jest to getto dla ludzi chorych. Jest to normalny, monarowski ośrodek, w którym przebywają zarówno narkomani — nosiciele wirusa HIV, jak i narkomani zdrowi. Ośrodek ten powstał w marcu na skutek mojego nocnego „desantu" — ponieważ przeczuwałem, że władze miasta nie będą chciały wyrazić zgody na taki ośrodek. Dlatego też postawiłem wszystkich przed faktem dokonanym i myślę, że uczyniłem słusznie. Początkowy ostracyzm i agresja wobec ośrodka, listy otwarte matek opolskich żądających, abym się stamtąd wynosił, czy wreszcie próby podpalania ośrodka i należą do przeszłości, a ośrodek istnieje i działa nadal. Od stycznia 1990 roku staramy się we wszystkich ośrodkach pracować z nosicielami wirusa HIV. Chcemy, aby działały one na tych samych zasadach co ośrodek w Zbicku.

— Czy poziom sanitarny placówek monarowskich jest na tyle zadowalający, że bez niepotrzebnego ryzyka można w nich przyjmować chorych na AIDS?

— Nie jest zadowalający i staramy się to zmienić. Obecnie we wszystkich ośrodkach przeprowadzane są niezbędne remonty. Niestety, nie możemy pozwolić sobie na pełny luksus, tj. łazienki wyłożone kafelkami od podłóg do sufitów, kuchnie całkowicie sterylne, wymianę wszystkich wyszczerbionych naczyń — bo to wymaga ogromnych pieniędzy, których nie mamy i sądzę, że jeszcze długo mieć nie będziemy. Myślę jednak, że jeśli będziemy przestrzegać reżimu sanitarnego, to nikt nie będzie narażony na niebezpieczeństwo zakażenia się wirusem.

— Czy ma pan moralne prawo, aby tworzyć ośrodki, w których wraz z nosicielami wirusa przebywać będą ludzie zdrowi?

— Myślałem o tym bardzo długo, tak jak kiedyś zastanawiałem się czy mam prawo wyrzucać z ośrodków ludzi, którzy „zaćpali". Wówczas doszedłem do wniosku, że powinni odchodzić, aby swą „postawą brania" nie zarazić innych. Uważam, że teraz także mam moralne prawo, by tworzyć ośrodki, w których przebywać będą zdrowi i chorzy, ponieważ — w świetle tego, co wiemy o drogach przenoszenia tej choroby — istnieje taka sama możliwość kontaktowania się między nimi w ośrodku, jak i na zewnątrz. Dlatego jeszcze raz powtarzam, mam moralne prawo, a wobec chorych również obowiązek, by ich nie stygmatyzować i pomóc im.

— A czy nie będzie miał pan kłopotów z kadrą?

— Być może będą pewne kłopoty. Mam jednak nadzieję, że ci, którzy przestraszyli się już odeszli. Problemami związanymi z AIDS zajmuję się już od dłuższego czasu. Współpracownicy zdołali się już przyzwyczaić. Trzy lata temu zorganizowałem akcję zbierania dolarów na AIDS, potem szkolenie kadry punktów konsultacyjnych. Teraz działam w Stowarzyszeniu „Plus" — Solidarni wobec AIDS Plus. I jest to kolejny etap mojej działalności.

— Co to za stowarzyszenie?

— Stowarzyszenie „Plus" powstało niedawno i jest — jak „Monar" — organizacją społeczną i pozarządową. Skupia ludzi chorych na AIDS, nosicieli wirusa HIV oraz ludzi, którzy chcą im pomóc. Współtwórcami tego stowarzyszenia są między innymi prof. Kozakiewicz, doc. Kuratowska i prof. Stapiński. Zamierzamy przeprowadzić anonimowe badania krwi, sprawować opiekę nad ludźmi chorymi, udzielać im porad, pomocy finansowej, materialnej, prowadzić przychodnie i domy dla chorych. Chcemy utworzyć nasze oddziały w różnych częściach Polski. Liczymy na społeczne zainteresowanie i społeczną pomoc ludzi dobrej woli.

— Życzę powodzenia i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
BEATA KOSTRZEWSKA

To już 30 lat!

PRYWATNE POGOTOWIE LEKARZY SPECJALISTÓW

Rok założenia 1959

PRYWATNE POGOTOWIE LEKARSKIE 1959r TEL 57 55 55

tel. 57-55-55

INFORMACJA O USŁUGACH
WIZYTY DOMOWE LEKARZY SPECJALISTÓW
w zakresie:
PEDIATRII oraz laryngologii, dermatologii, chirurgii, pulmonologii, okulistyki, neurologii, endokrynologii, ortopedii oraz kardiologii pediatrycznej.
INTERNY oraz kardiologii, neurologii, chirurgii miękkiej, ortopedii, urologii, dermatologii, okulistyki, stomatologii, hematologii, endokrynologii, pulmonologii i psychiatrii.
EKG u pacjenta.

W dni powszednie wezwania przyjmujemy od 8 do 22. W soboty oraz dni wolne od pracy od 9 do 22. Honoraria są stałe bez względu na dzień tygodnia i porę dnia.

GABINETY SPECJALISTYCZNE

DERMATOLOGII I INTERNY
Łódź, ul. Snycerska 3 (przy Pewexie).
Rejestracja i zapisy także telefonicznie codziennie prócz sobót i niedziel od 8 do 16.
CHIRURGII ŻYŁ
Łódź, ul. Lecznicza 6, I p., pok. 109.
Informacja i rejestracja tel. 87-71-83, od 8 do 13.
CHORÓB TARCZYCY, CHORÓB SERCA, CHORÓB KRWI I GINEKOLOGII
Łódź, ul. Sterlinga 5, I p.
Konsultacje profesorów, docentów i adiunktów AM.
USG
Czynny codziennie prócz sobót i niedziel, w godz. 17—20.
Informacja i zapisy tel. 33-96-30, w. 325, w godz. 8—20.
PRACOWNIA ULTRASONOGRAFII
Łódź, ul. Nawrot 2a, I p.
Czynna w dni powszednie, w godz. 12—18, w soboty — 9—16.
Informacja i zapisy, tel. 33-26-79, w godz. 9—16.
PORADNIA STAWÓW BIODROWYCH U NIEMOWLĄT
Łódź, ul. Nawrot 2a, I p.
Czynna w poniedziałek i czwartek, w godz. 17—19.
Informacje i zapisy tel. 33-26-79, w godz. 9—16.
PRACOWNIA KOMPUTEROWYCH BADAŃ UKŁADU ODDECHOWEGO
Łódź, ul. Milionowa 14 (Szpital im. Jonschera).
Czynny codziennie prócz niedziel, w godzinach 10—16.
Informacje i zapisy, tel. 36-29-74 lub 36-99-66 w. 178, w godz. 8—15.
MAMY 30-LETNIĄ TRADYCJĘ, GWARANTUJEMY NAJWYŻSZY POZIOM FACHOWY PRZY UMIARKOWANYCH CENACH.
RECEPTY WYSTAWIAMY ZGODNIE Z UPRAWNIENIAMI PACJENTÓW

Zapraszamy PT Pacjentów do korzystania z naszych usług

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

DUŻA działka Łódź-Teofilów, zakład sitodruku, krzewy malin, pustaki, Łódź 86-96-33. 18075-g

NAMIOT sprzedam 86-98-35. 18256-g

NAUKA-PRACA

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ 32-29-65 13431-g

MEDYCZNE

APO — Pielęgniarstwo, dyżury, opieka, masaż, rehabilitacje. 86-69-69. 3809-g

BIOENERGOTERAPIA Wielkopolska 45/45. 7312-g

USŁUGI

ZE SLAJDÓW — zdjęcia wykonuje: MiG Rycel, Łódź, Wojska Polskiego 120, tel. 57-40-87. 2715-g

SITODRUK na folii PCV — usługa, sprzedaż wydruków na torby, Łódź, Plastyczna 9. 18260-g

WYRÓB i sprzedaż płytek kaletniczych oraz wyciskanie skór, Łódź, Brzozowa 3. 18262-g

ANTYKOROZYJNE zabezpieczanie samochodów — Valvoline 49-05-89 18307-g

ZGUBY

ZGUBIONO legitymację PKP-03797, Łucja Solarz. 6986-g

UNIEWAŻNIA się skradzioną pieczątkę o brzmieniu: Wiesława Mydłowska — lekarz stomatolog Łódź, ul. Beskidzka 190 nr stat. 1093. 18166-g

TOMASZ Prejzner zgubił leg studencką 61293 PŁ. 18308-g

MAREK Mikołajczyk zgubił legitymację studencką 59530/S UŁ. 17970-g

TOMASZ Trzaskalski zgubił legitymację studencką 60494 PŁ. 18030-g

VIOLETTA Tyluś zgubiła leg. studencką 16979/L AM. 18449-g

ANDRZEJ ROMANIUK zgubił leg. studencką 5218 WAM. 18561-g

RÓŻNE

FRANCUZ polskiego pochodzenia szuka wspólnika do otwarcia przedsiębiorstwa produkcji audiowizualnej. Listy „18488" Biuro Ogłoszeń Sienkiewicza 3/5.

Kurs tańca nowoczesnego!

- DISCO SOLO
- DISCO W PARACH
- MAMBO
- LAMBADA

i inne wg życzeń uczestników kursu.

Program oparty na Jazzie i Modernie.

Materiały pomocnicze w postaci filmów muzycznych video.

Zajęcia odbywają się w DKF „Jagienka", ul. Wspólna 6, w środy, godz. 19 i niedziele, godzina 15.

Zajęcia trwają jednorazowo 90 minut.

Zapisy: Sekretariat DKF „Jagienka", ul. Wspólna 6, tel. 34-33-05, codziennie, w godzinach 14—18.

od środy do środy

PROGRAM TV

ŚRODA, 28.02.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Delegacja" — czech. film krymin.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kameleon
16.50 Dla dzieci: „Trąba"
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX wieku: „Tajemnica pustyni Neger" (2)
17.55 Telew. Inform. Wydawn.
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 „Niech cię odnieci mara" — polski film fab.

Akcja filmu rozgrywa się w małym miasteczku. W sklepie Piaseckiego interesy spożywcze idą dobrze. Ale władze tępią prywatną inicjatywę, nasyłają kontrolę, niszczą podatkami i karami. Bezsilny Piasecki nie szczędzi złośliwości „nowemu porządkowi". Drażni to jego syna Witka, który przeciwstawia się ojcu...

21.50 Sport
22.00 Wokół wielkiej sceny
22.50 Wiecz. wiad.
23.10 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. francuski
17.25 Program dnia
17.30 Wiem wszystko — telet.
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Marc i Sophie" — odc. 1 franc. ser. pt. „Noc poślubna"
19.30 Studio sport
20.00 Czarno na białym
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 „Ze wszystkich stron niebezpieczne ulice" — rep.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla" — odc. 4 ser. RFN
22.50 997 — kronika kryminalna
23.50 Komentarz dnia
23.55 Ekspres gospodarczy

CZWARTEK, 1.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami" — odc. 18 ser. krymin. pt. „Nie żyje się wiecznie"
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz „Ordy"
17.15 Teleexpress
17.30 Militarna — obronność — nowoczesność
17.55 „Poza rok 2000"
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami" — odc. ser. krymin. pt. „Nie żyje się wiecznie"
20.55 Interpelacje (2)
21.35 Sport
21.45 Pegaz
22.30 Wiecz. wiad.
22.45 Studio zamknięte — nuty polskie
23.30 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 Psychostudio
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.45 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino Studyjne Dwójki: „Rok 1984" — ang. film fab.

Film pokazuje upiorną wizję totalitaryzmu, w którym wszechwładza systemu dławi wszelkie poczynania jednostki. Świat podzielony jest między trójkąt potęg politycznych, ale wybór między nimi, gdyby był możliwy, dałby niewiele, bo też niewielkie są różnice między owymi potęgami. Bohater buntuje się przeciwko tak skonstruowanej machinie państwowej. Z góry jest jednak skazany na niepowodzenie w państwie, w którym rządzą tacy ludzie jak O'Brien (ostatnia rola Richarda Burtona!) i w którym królują strach, nienawiść, pogarda i przemoc.

23.35 Komentarz dnia

PIĄTEK, 2.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Słynne historie zbójnickie" — odc. 3 czech. ser.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambii — telet.
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
17.55 „Przygodny karykaturzysta" — film dok.
18.30 Rzeczpospolita samorządna
18.50 Weekend w Jedynce
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tyg. gospod.
19.30 Wiadomości
20.05 Akademia Filmowa: „Królewska faworyta" — ameryk film fab.

Tytułową bohaterką jest madame du Barry, czołowa dama dworu i faworyta króla Francji, Ludwika XV, której przypisuje się odsunięcie od rządów E. Choiseula. Mimo to nie odegrała większej roli politycznej. Hrabina du Barry została ścięta w czasie rewolucji w 1793 r. W roli tej wystąpiła gwiazda lat trzydziestych — Dolores Del Rio.

21.25 Sport
21.35 W kinie i na kasecie — Oferty Pegaza
21.55 Rzeczpospolita samorządna — Sejmik (1)
22.55 Wiecz. wiad.
23.15 Rzeczpospolita samorządna — Sejmik (2)

PROGRAM II

16.55 Korepetycje dla maturzystów
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa Lista Przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 O czym się mówi
18.50 Rozrywka
19.30 Dookoła świata
21.30 Panorama dnia
21.45 „Czas obojętności" — cz. 1 włosk. filmu fab.

Niedawno oglądaliśmy trzyodcinkowy film „Rzymianka" wg powieści Alberta Moravii. Tym razem zobaczymy dwuczęściowy film — adaptację „Obojętnych", powieści, dzięki której dwudziestoletni Moravia zwrócił na siebie uwagę krytyki i wywołał gromy ze strony faszystów. Film przedstawia obraz świata mieszczańskiego, skorumpowanego i cynicznego, świata w którym króluje pieniądz i seks. Stąd w filmie nie znajdziemy bohatera pozytywnego, każda z postaci jest moralnie dwuznaczna.

23.20 Komentarz dnia
23.25 Ekspres gospodarczy

SOBOTA, 3.03.1990 R.

PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.40 Ziarno — progr. Red. Katolickiej dla dzieci
9.00 DROPS — mag dla dzieci i młodzieży oraz film „Heidi" (3)
10.30 Wiadomości
10.40 „Azjatycka mozaika" — odc. 5 franc. ser. dok. pt. „Raga"
11.10 Artyści dla Rzeczpospolitej
12.00 Z Polski rodem
12.30 Koncert życzeń
13.00 Telew. Teatr Prozy: Wil Lipatow — „Wiejski Sherlock Holmes"
14.25 Filmy o miłości: „Pingwin" — polski film fab.
16.00 Rewizja nadzwyczajna
16.30 Studio sport — Halowe ME w l.a. — Glasgow (w przerwie ok. 17.15 — Teleexpress)
18.45 „Chcemy tańczyć" — rep.
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Tylko bez paniki" — fr. dramat filmowy
21.40 Sport
22.30 Tydzień w polityce
22.40 Szaha — progr. rozrywk.
23.25 Telegazeta
23.35 Kino sensacji: „Incydent" — ameryk dramat społ. obycz.

Film robi wrażenie paradokumentu. Strach, bezsilność, znieczulica, zagrożenie — pasażerów kolejki podziemnej przez terroryzujących ich dwóch młodych bandytów — są swoistą charakterystyką współczesnych postaw mieszkańców dużego miasta.

PROGRAM II

14.15 Bariery
14.40 Co to jest czas?
14.45 „Okavango — Klejnot Kalahari" — ang. ser. dok.
15.10 Spektrum
15.25 Zegar biologiczny
15.35 Spotkanie z Maciejem Iłowieckim
15.50 Czas w sztuce
16.05 Sławne zegary
16.15 Meandry architektury
16.40 Powitanie
16.45 Piosenki w teatrze
18.00 Program lokalny
18.30 Wielka gra — telet.
19.30 Rytm zwykłych dni
20.00 Nadzwyczajny Koncert Orkiestry i Chóru PRiTV w Krakowie
20.50 Program rozrywk.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Znowu w Brideshead" — odc. 9 ang. ser.
22.40 Alfabet Kisiela
22.55 Komentarz dnia

NIEDZIELA, 4.03.1990 R.

PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Notowania
7.55 Po gospodarsku
8.10 Tydzień
8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz film „Emil z wioski Lonneberga" (3)
10.30 Wiadomości
10.35 „Tajemnice rosyjskiej przyrody" — odc. 2 ser.
11.05 Kraj za miastem
11.35 Koncert życzeń
12.20 Tęczowy music-box (1)
13.15 „Jak gniazdo orła białego" — film dok.
13.50 Morze — mag.
14.10 VII Światowy Festiwal Muzyki Dziecięcej — Tokio 89
14.40 Świat umykający
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka" — odc. 42 brazyl. ser.
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport — Halowe ME w l.a.
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — Południe" — odc. 3 ameryk. ser.
21.40 7 dni — świat
22.10 Sport
23.10 Portrety: „Malarz świata czy portret pewnego artysty"

PROGRAM II

8.20 Przegląd tygodnia
8.55 „Północ — Południe" — odc. 3 ameryk. ser.
10.30 Magazyn lotniczy
11.00 Koncert życzeń
11.25 Jutro poniedziałek
11.55 Powitanie
12.00 Polska Kronika Filmowa
12.10 „Kane i Abel" — odc. 2 ameryk. ser.
13.00 100 pytań do...
13.40 Maciej Niesiołowski — Z batuta i z humorem
13.55 Kino familijne: „Autostrada do nieba" — odc. ser. USA
14.45 „Polacy" — film dok.
15.30 Podróże w czasie i przestrzeni: „Czar katedr" — odc. 2 franc. ser.
16.20 Biografie: „George Orwell" — odc. 1 ang. filmu dok.
17.30 Bliżej świata
19.00 Publicystyka
20.00 Studio sport
19.30 Galeria Dwójki
21.00 Program rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 Kawiarnia „Żart" — spółka z o.o.
22.30 „Kane i Abel" — odc. 2 ameryk. ser.
23.15 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK, 05.03.1990 R.

PROGRAM I

16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 — LUZ — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrówki dalekie i bliskie: „Opowieści Alhambry" — hiszp. film dok.
18.35 Spór o pałac
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i w Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV: Sławomir Mrożek — „Indyk"
21.45 Kontrapunkt
22.15 Sport
22.55 Wiad. wiecz.
23.10 J. francuski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Progam lokalny
18.30 Zmagania o Polskę: „Państwo robotnicze" — odc. 9 ang. ser. dok.
19.30 Nasz laureat — Bartłomiej Nizioł (skrzypce)
20.00 Auto-Moto Fan Klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Heimat" — odc. 8 ser RFN pt. „Amerykanin"
23.30 Komentarz dnia

WTOREK, 06.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej" — odc. 6 (ostatni)
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik — Tak
16.50 Kino Tik — Taka: „Opowieści Byczka"
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika zdrowego człowieka
18.15 System
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 Spotkanie z min. Jackiem Kuroniem
20.15 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej" — odc. 6 (ostatni) pt. „Kariera"
21.15 Listy o gospodarce
21.50 Sport
22.30 Wiad. wiecz.
22.45 Kinomania
23.20 J. rosyjski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Program publ.
19.30 Studio sport
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego — „Podróż do Mediolanu"
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. K. Irzykowskiego: „Przewodnik" — polski film fab.
23.35 Komentarz dnia

lewym okiem

W nocy też może być widno

Jacek Rostowski, doradca wicepremiera Leszka Balcerowicza, powiedział w wywiadzie, jaki przeprowadzono z nim w „Życiu Warszawy", 13 stycznia 1990 r., coś mniej więcej takiego: *Być może, że starzy ludzie stracą dorobek całego życia, ale cóż, takie są okrutne prawa ekonomii.*

Dyrektor fabryki leków „Polfa" w rozmowie z Eugeniuszem Iwanickim w „Odgłosach" z 16 lutego 1990 r. dochodzi do wniosku, że *„w ekonomii nie ma sentymentów"*. Chodzi tu mianowicie o to, że leki muszą być drogie albo nie będzie ich wcale. Tak mówi dosłownie pan dyrektor. Widzi przy tym dwa wyjścia z sytuacji. Pesymistyczne — to takie, że będzie się zamykać fabryki, żeby nie narażać ich na produkcję deficytowych wyrobów; *„optymistyczne"* — to z kolei takie, kiedy leki rosną w cenie siedmiokrotnie po to, aby stały się opłacalnymi. Co do mnie uważam obydwa te wyjścia nie tylko za pesymistyczne, ale wręcz niemożliwe do zaaprobowania.

Mówi się, że prawa ekonomiczne są okrutne, że w ekonomii nie ma sentymentów, a ponadto, że są to prawa obiektywne, na równi z prawami natury, a więc nic się tu nie poradzi. Jestem zdania, że takie stanowisko jest także nie do przyjęcia.

Prawa są okrutne wtedy, kiedy okrutny jest prawodawca. Na osiemnaście wieków przed naszą erą Hammurabi w swoim kodeksie kazał obcinać ręce za kradzież, wyłupiać oczy za byle co; do dziś nazywamy drakońskimi bardzo surowe prawa dlatego, że ich kodyfikatorem był w siódmym wieku przed naszą erą ateński prawodawca Drakon; przez setki lat szarpano rozpalonym żelazem, rozrywano wołami, palono żywcem i różne takie przyjemności za byle przewinienie. Wszystko to było zgodne z prawem. Ale potem to wszystko ustało, prawa są jakby inne, nie mówcie więc, że muszą być okrutne.

A jeszcze parę słów o tzw. prawach obiektywnych czyli prawach natury. Obiektywnym prawem natury jest, że w dzień jest widno, a w nocy ciemno, ale ludzie wymyślili lampy i w nocy zrobiło się też widno. Zgodnie z prawem natury każdy przedmiot rzucony w górę musi spaść na ziemię. Ale oto rzucamy w górę sondy kosmiczne i lecą one w przestrzeń i nigdy na ziemię nie wrócą. Tysiące lat cywilizacji i kultury to właśnie nieustanne zmaganie się z prawami natury, ich zawieszanie, podporządkowywanie interesom człowieka lub grupy ludzkiej.

W ekonomii nie ma sentymentów — to prawda, ale ekonomia nie wyczerpuje wszystkich cech, wszystkich działań człowieka jako jednostki ani też zbiorowości ludzkiej zwanej społeczeństwem. Oprócz ekonomii jest i w człowieku i w społeczeństwie miejsce — rosnące wraz ze wzrostem kultury — na sentymenty, na życzliwość międzyludzką, na wzajemne udzielanie sobie pomocy, choćby to było nieopłacalne. Można wymyślić i ludzie to robią, zrobili i będą robić nadal bardzo wiele, żeby obiektywność ekonomicznych praw ograniczyć lub zawiesić. To się nawet specjalnie nazywa; to się nazywa polityka społeczna.

Polityka społeczna powinna być taka, żeby nikt na starość nie musiał tracić dorobku całego życia, żeby człowiek człowiekowi nie był wilkiem wyszarpującym rywalowi padlinę spomiędzy zębów. To wszystko można i trzeba zrobić.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Sztukmistrz

Sztukmistra postanowił pisać bajki dla dzieci. Szedł ścieżką między polami i obmyślał pierwszą ze swych bajek. W końcu usiadł strudzony na przydrożnym kamieniu i począł rozpamiętywać, jak to dobrze było na królewskim dworze. Wolno mu tam było żartować niemalże z wszystkiego, a do tego miał ciepłą strawę i dach nad głową. „Och, to były dobre czasy" — pomyślał. Ale w tej samej chwili sam przestraszył się własnych myśli i trwożnie rozejrzał dookoła. Od kiedy wypędzono go z zamku błąkał się po bezdrożach, czasami zachodząc do jakiegoś miasteczka, by na jarmarku wygłosić kilka monologów i popisać się cyrkowymi sztuczkami. Ale ludzie zajęci byli czymś innym i nikt, poza garstką dzieci, nie zwracał na niego uwagi. „Oj, jak dobrze mają ci moi koledzy, którzy w porę zorientowali się o co chodzi i szybko przekwalifikowali się na strażników Wielkiej Pieczęci. — uśmiechnął się smutno. — No trudno, będę pisał bajki dla dzieci, to przecież też chwalebne zajęcie i w nic już mieszał się nie będę...".

Nagle usłyszał tętent koni, co gwałtownie przerwało jego rozmyślania. Po chwili zza pagórka wyłoniła się grupa jeźdźców. Wstrzymali konie przed Sztukmistrzem.

— *Kim jesteś?* — zapytał ich dowódca.

— *Sztukmistrzem.* — odpowiedział i schylił pokornie głowę.

— *Po czyjej stronie?*

— *Jestem sam dla siebie, nie interesują mnie wszelkie spory, chcę pisać bajki dla dzieci.*

— *Niepotrzebni nam są bajkopisarze, potrzebni są ludzie czynu.*

— *A do czego mógłbym się przydać?*

— *Teraz wszyscy wydają jakieś oświadczenia, deklaracje, sprostowania, komunikaty, protesty, listy z życzeniami, podziękowaniami i tak dalej. Twoi koledzy już się do tego włączyli i ty się więc przydasz. Żadna rola przecież dla was nietrudna, wszystko potraficie zagrać i zrobić. Do dzieła więc!*

I rzeczywiście, po powrocie na zamek Sztukmistrz bardzo gorliwie włączył się do sprawy. W pierwszej kolejności począł atakować partię „Starych Dworaków". W międzyczasie stała się ona jednak partią „Młodych Czeladników" i ostrze jego wypowiedzi jakby zostało przytępione. Skierował je więc na strażników, ale po jakimś czasie i ten temat powoli się wyczerpywał. Sztukmistrz postanowił wreszcie założyć własne ugrupowanie i do bratnich narodów, które wcale nie były takimi bratnimi, wydał w nadgorliwości swojej oświadczenie pod hasłem: *„Sztukmistrze wszystkich krajów łączcie się"*.

I pewnego razu przyszedł do niego Błazen i powiedział:

— *W tym kraju od wielu, wielu lat panuje taka zasada, że jeżeli ktoś przeczytał choć jedną książkę poza tym co powinien przeczytać w szkole, to wydaje mu się, że na pewno jest świetnym politykiem i zna się na tym jak nikt inny. A to wcale nie jest takie proste. Na szczęście jest paru specjalistów i im to należy zostawić. Widzisz, ty jesteś Sztukmistrzem i powinieneś robić różne cyrkowe sztuczki, no może czasem wygłosić jakiś zabawny monolog, ale ty uważałeś inaczej. No cóż, twój problem. Myślę jednak, że powinieneś robić to, co potrafisz najlepiej, w innym bowiem przypadku zawsze wyjdziesz na idiotę. No, chyba że kompletnie nic nie umiesz robić, ale wtedy tym bardziej nie zajmuj się polityką.*

Sztukmistrz nic z tego co mówił Błazen nie zrozumiał i następnego dnia wydał oświadczenie pod hasłem: *„Wszyscy Sztukmistrze w pierwszej linii walki o postęp"*

Błazen smutno pokiwał głową.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

nagłe zastępstwo

Jak przed wojną

Zmuszony jestem na wstępie wpuścić czytelnika do mojej felietonowej kuchni i pokazać mu coś, co zwykle nie jest widoczne na łamach i rozgrywa się tylko w redakcyjnych pokojach. Otóż zaatakował mnie Konrad Frejdlich i z właściwą sobie dezynwolturą powiedział mniej więcej tak:

— *Nie podobają mi się ostatnio twoje felietony. Piszesz tak jakoś pośrodku, ani z lewej, ani z prawej. Nie udawaj centrysty, wiadomo że jesteś beton, pisz z pozycji betonu, taką konwencję gotów jestem akceptować.*

Otóż ja sobie cenię zdanie Konrada Frejdlicha, ale zgodzić się z nim nie mogę. Czy jestem centrysta czy beton niech rozsądzi Czytelnik. Myślę, że nie jestem ani czarny, ani biały, ani czerwony, ani zielony. Trochę taki, trochę taki — jak każdy. Mam poglądy różne, być może nawet sprzeczne z sobą. Toteż będę pisał jak piszę. Nie pochwalę, jak mi się coś nie podoba, nie zganię, jeśli coś uznam za słuszne. Wydaje mi się, że robię tak od dobrych paru lat i zmieniać się nie zamierzam, zresztą wiek też już nie ten...

Tyle wynurzeń osobistych. Nieprzypadkowo zresztą przytoczonych, bo właśnie dookoła widzę, jak to się ludzie zmieniają na gwałt. Ot, na przykład rosną szeregi socjaldemokratów, co to zawsze byli socjalistami. Członkowie partii komunistycznej (jeśli to była komunistyczna) jakoś zniknęli, potwierdzając powiedzonko Adama Michnika, że *„żywego komunisty nikt w naszym kraju jeszcze nie widział"*.

A ogólnie to wszyscy namiętnie tęsknimy do dwudziestolecia międzywojennego. Rzeczpospolita już nie „ludowa", orzeł w koronie, prezydent jest, Senat jest, Policja będzie...

Ma być jeszcze kapitalizm — tylko kapitalistów nie widać. Ma być konkurencja — tylko monopoliści jakoś się trzymają. Jedno z osiągnięć międzywojnia już nam się prawie udało — bezrobocie jest, każdy widzi.

Cokolwiek się tych sentymentów historycznych obawiam. Obawiam się, że ich nosicielami są młodzi ludzie, którzy kawałki o bezrobociu, nędzy, saksach, strajkach i więzieniach dla opozycji traktują jako wymyślone przez bolszewickich agitatorów, nieprawdziwe od początku do końca itd.

Obawiam się też, że i w innych pobliskich krajach również ludzie zatęsknią do czasów przedwojennych — choćby do Wolnego Miasta Gdańska, za który nie lubili umierać Francuzi.

Mamy też Nuncjusza Papieskiego. No i dobrze, ale mamy też sporo programów katolickich w TV i w radio. I też dobrze, byleby nie przesadzić. Coś się boję, że współczesny Tadeusz Boy-Żeleński miałby nieliche kłopoty. A kłopotów — jak już każde dziecko wie — unikać najlepiej w spółce. Wpadł na to reżyser Kieślowski i przystąpił chytrze do spółki autorskiej na samym szczycie. I tantiem współautorowi nie płaci! Nie ma to jak dobrze dobrać wspólnika.

Wracając do tematu — nie mam nic przeciw temu, żeby niektóre rzeczy były „jak przed wojną". Na przykład kurs dolara. A ponadto mój dziadek miał przed wojną knajpę i ja bardzo proszę, żebym ja ją też miał. Wtedy już zupełnie będę „za"!

ANDRZEJ KAROL

— Nie musicie się bać — mówi ciepłym głosem. — Ten granat to atrapa, zobaczcie — i rozgniata w ręku kartonowe jajko pomalowane w kwadraty, wypuszcza z palców. — Ja za to się boje, panie Naczelny... Ciężko jest umierać, nawet dla innych. Zapamiętajcie moją śmierć, zróbcie coś dla ojczyzny.

Dalej akcja rozwija się szybko. Dziewczyna wywraca bańkę nad głową. Błysk zapałki. Osłupiali widzowie przez pewien czas, którego rozmiar nie daje się określić, patrzą na żywą żagiew.

Dziewczyna stoi, potem osiada. Przewraca się wreszcie, nie przestając płonąć. Dopiero wtedy Naczelny zdziera ze stołu obrus i przykrywa ciało buchające płomieniami. Ogień zaskakująco szybko wygasa. Obrus nawet się nie zajął.

Dziewczyna pod nim jest martwa.

Już po godzinie wszystkie rozgłośnie europejskie nadały informację o samobójczej śmierci Anny G. na oczach kierownictwa. Tymczasem wstrzymywały się od komentarzy. Major zarejestrował komunikaty, zachodząc w głowę, jakim cudem wieść się rozniosła: wydał rozkaz personelowi traktować zdarzenie jako tajemnicę państwową i przejął osobistą pieczę nad środkami łączności. Tylko Centrala wiedziała. Śmigłowcem leciała już do nich ekipa specjalna oraz rzecznik prasowy.

Przed bramą odbywało się nabożeństwo. Wszyscy w krepie na rękawach. Major oglądał z bliska na monitorze uduchowioną twarz młodego księdza, który odprawiał mszę na intencję męczennicy Anny Genowefy, poległej za Naród i Ojczyznę. Ludzie płakali. Kamery wychwytywały z tłumu oczy pełne łez, załamywane ręce, drgające ramiona. Na biurko Majora zaczęły spływać fotograficzne odbitki twarzy młodzieńczych i starych, kobiecych i męskich.

Msza za samobójczynię? Może nas chcą wrobić? Wystarczy puścić, że zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach, pomyślał Major, przypominając sobie podobne przypadki, gdy nawet trup nie był potrzebny; kiedy okazywało się, że nikt nie zginął, polityczny cel był już osiągnięty.

— Jak się tutaj dostała? — zapytał rzecznik prasowy.

Był energiczny, przystojny, chyba przed trzydziestką, w tropikalnym piaskowym garniturze ze specjalnego importu. Patrzył na komendanta z wyższością.

— Nie wiem — odparł Major.

— Musicie wiedzieć. Przecież nie sfrunęła z nieba.

— Gdyby sfrunęła, mielibyśmy ją na radarach. Do Ośrodka nie można się przedostać niepostrzeżenie.

— Sami sobie przeczycie — powiedział rzecznik. — Mam sporządzić komunikat i oczekuję waszej pomocy. Nie wystarczy, że powiem: „Przeniknęła podstępnie do Ośrodka". Dzisiaj musimy być wiarygodni, zwłaszcza w tak nieprzyjemnej sprawie. Jak weszła?

— Jest tylko jeden sposób — odezwał się Major po pauzie, lustrując wzrokiem swój kantorek. — Anna Genowefa weszła do Ośrodka legalnie.

— Chcecie powiedzieć, że na podrobionych papierach?

— Legalnie! — warknął Major. — Magnetycznych przepustek nie można podrobić.

Teraz rzecznik zrobił pauzę. Podszedł do zakratowanego okna i długą chwilę patrzył na słoneczny park z zarysem pałacu u końca palmowej alei.

— Co wy mi sugerujecie? — zapytał półgłosem.

— Sam chciałbym wiedzieć.

— Przy zwłokach niczego nie znaleziono.

— Plastyk się topi, zwłoki są zwęglone. Przesłuchałem warty, też bez wyniku, nikt nie przypomina sobie Anny Genowefy.

— No widzicie.

— Niczego nie widzę — powiedział komendant.

— Jak byście to skomentowali? — zapytał rzecznik. — „Prowokacja nieodpowiedzialnych elementów" czy „nieszczęśliwy wypadek"?

— Nie moja działka, kolego. Porozumcie się z sektorem politycznym.

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (13)

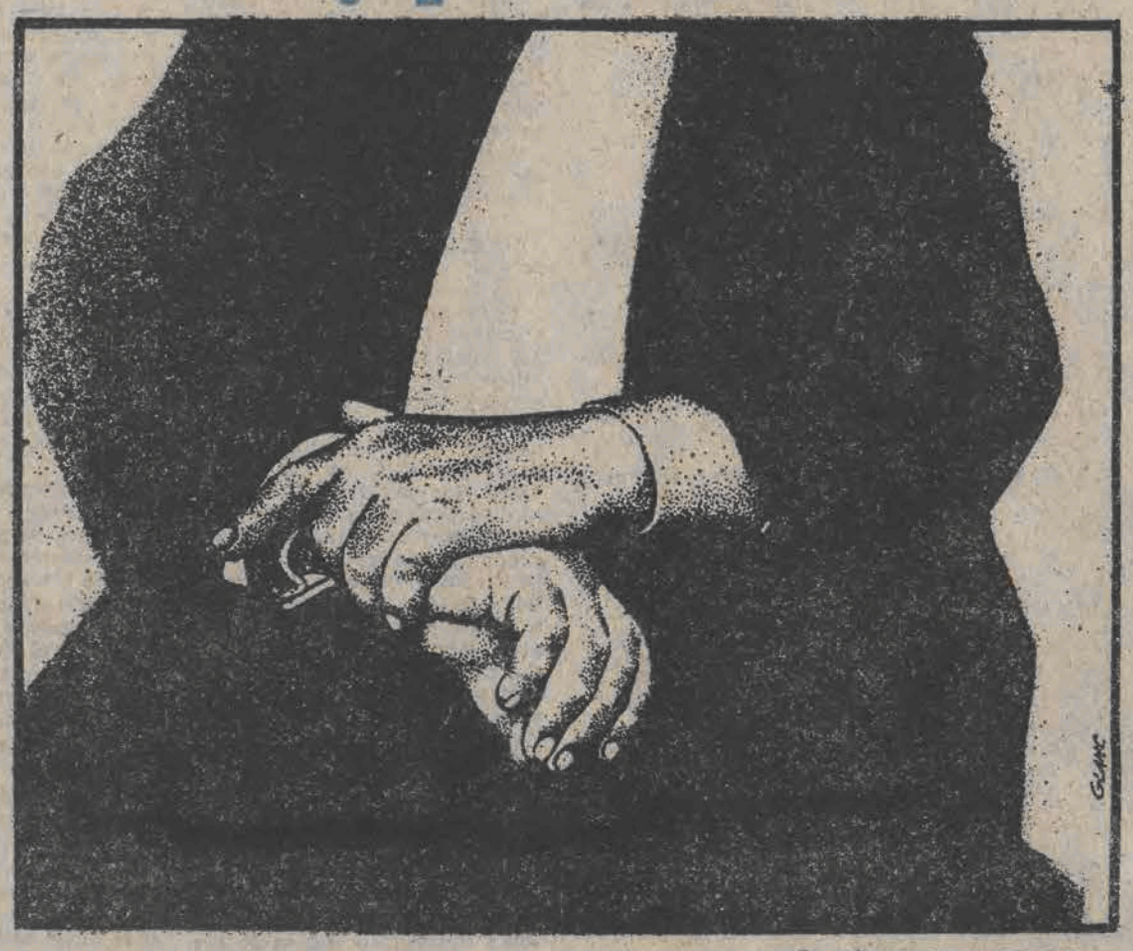

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— A więc trwa?

— Nabożeństwo — Major rozjaśnił ekran monitora, aby rzecznik prasowy mógł się przyjrzeć polowemu ołtarzowi i uduchowionej twarzy młodziutkiego księdza, któremu skąpe łzy wolniutko spływały po policzkach; obok ołtarza, niedawno ustawiony, widniał portret Anny Genowefy, spowity w kir i przysypany kwiatami. — Już czwartą godzinę, a ludzi wciąż przybywa.

— Będziemy mieli nową świętą — mruknął rzecznik.

— Nie kpijcie! — zareplikował, sam zaskoczony ostrością tonu, komendant. — Zrobiła to dla idei! Gdzie tu dziś macie ideowych? Każdemu w głowie bony i kariera. Moje pokolenie jeszcze w coś wierzy ze starego nawyku, ale wasze?

— Proszę bez uogólnień — oschle przywołał go do porządku rzecznik prasowy. — Jak brzmiało ultimatum samobójczyni?

— Ekologicznie. Protest przeciwko regulacji rzeki. Lista żądań ogólnych. Pełny tekst dostaniecie od sekretarza Naczelnego, wręczyli nam go wcześniej.

Rzecznik odwrócił się do Majora, podszedł do niego, pochylił się nad biurkiem.

— Między nami mówiąc, panie komendancie... — zaczął głosem przyciszonym, z niewyraźnym uśmieszkiem na wargach. — Niefortunny był pomysł z zawracaniem rzeki. Odchodzi się od tego. Bardzo dziś niepopularne w społeczeństwie...

Major przypomniał sobie: pomysł nie należał do Naczelnego. Centrala go podsunęła. Żeby ratować jezioro i osuszyć bagna w górnym biegu rzeki. Do pomysłu dołączona była ekspertyza biegłych i opinie kilku naukowców. Naczelny tylko zaakceptował, podpisał odpowiedni dokument. Nazajutrz, a więc w tempie nawet jak na Ośrodek zaskakującym, pojawiły się koparki, spychacze i buldożery.

— Coś panu pokażę.

Major otworzył sejf, poszperał wśród nasłuchów, rachunków za warzywa i remonty, meldunków operacyjnych i kwitów z pralni. Znalazł w końcu teczkę z nadrukiem „RZEKA — JEZIORO, OPERACJA 48/84 bis".

Rozwiązał kokardkę. Wewnątrz znalazł rozkaz rozpoczęcia prac regulacyjnych podpisany przez Naczelnego oraz plik kosztorysów i meldunek, że sprzęt ściągnięto z budowy osiedla w Bartach, a także zarekwirowano czasowo przedsiębiorstwu dróg publicznych. Nie było ekspertyzy biegłych, opinii naukowców i stanowiska Centrali.

— Dawajcie — wyciągnął rękę rzecznik.

— Nie ma nic do dawania — mruknął Major.

Kierownictwo siedziało w milczeniu przy stole konferencyjnym. Kinkiety rzucały połyskliwe refleksy na czeczotowy blat z intarsją. Zasępiony Gajdacz dłubał w zębie zaostrzoną zapałką, przesłaniając dłonią usta. Ikar kreślił coś na kartce papieru. Myślał o córkach. Monika i Kaśka były zabawowe, rewidowały mu bagaż, gdy wracał z Paryża czy Londynu; dla mnie miał być japoński magnet! przywiozłeś mi koronkowe rajstopy? — opowiadały mu o chłopakach na dyskotece, nie tańczących z dziewczynami, które noszą majtki: nie, żeby zaraz do łóżka, ale dostęp powinien być. Olga była starsza od bliźniaczek o dwa lata. Zaduma, nachmurzenie, skrytość. Ikar by już wolał podwozić ją peugeotem na dyskotekę, pokpiwając z papuzich kokardek i fryzury na białko, niż gasić światło nad ranem: czytywała do czwartej, zasypiała nad książką, szła na wykłady półprzytomna. Znajdował w jej pokoju lektury z różnych obiegów, teksty płomienne i demaskatorskie, agenturalne i jadowite, tajne referaty i sfałszowane pamiętniki, ulotki lewaków i manifesty prawicy. Zdecyduj się na coś — pokpiwał — nie można połykać wszystkiego, bo dostaje się kręćka; wiesz przynajmniej czego szukasz? „Prawdy, ojcze". Prawd, moja mała, jest bez liku, szczerych i przeczących sobie. Dodaj do tego drugie tyle półprawd. „Prawda jest jedna". Tak? Więc porównaj prawdę owcy i prawdę wilka, wygłodzonego oczywiście...

Marat był spięty. Czuł instynktownie, że coś wisi w powietrzu. Przyrzekł Zuzannie, że pojadą latem na urlop do Grecji, mieli zaproszenie stamtąd od króla cytrusów, którego żona była Polką. Poznali ją na przyjęciu, gdy Marat bawił w Atenach z oficjalną wizytą. Własna wyspa, milionerski pałac, luksusowy jacht. Gdyby Lucjan Marat uległ żonie, o zdarzeniu dowiedziałby się z gazet, między kąpielą morską i lunchem na pokładzie: homar, karczochy, lekki szampan. Marat westchnąłby współczująco i wykonał parę długodystansowych telefonów dla zapewnienia sobie alibi, może profitu. Trzeba słuchać Zuzanny. Żony starych działaczy miewają ów siódmy zmysł specjalny, który wykształca się na dworach. Tych paru bojarów, którym Piotr Pierwszy nie zdołał obciąć bród, zawdzięczało to swoim małżonkom. Dlaczego Marat wybrał wakacje z szefem? „Nieobecni przegrywają" — powiedział do Zuzanny. „U nas na odwrót — odparła. — Jak wszystko. Lepiej nie być pod ręką, kiedy szef ma dużo wolnego czasu. Niech mu się Ikar plącze pod nogami". Nie posłuchał...

Rajski w zadumie obserwował pełzanie bąbelków w szklance z mineralną. Mnie to nie dotyczy, powiedział sobie jeszcze tam, gdy Naczelny z Majorem gasili obrusem ogień. Nie odpowiadał za ekologię ani za ideologię, miał w swojej pieczy artystów. Męczennica nie wywodziła się ze środowiska artystycznego.

Gorban patrzył na szefa trzymając w pogotowiu notatnik.

— Ogłaszam Godzinę Szczerości Kierownictwa — powiedział Naczelny. — Co o tym wszystkim myślicie?

C.D.N.

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem głośnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", którą napisał w 1935 r. podczas odsiadywania wyroku za działalność przemytniczą i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbrojonego" i „W imieniu organizacji". Rozpoczynamy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej". Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich", Gryf Publications LTD, Londyn 1957.

Zapiski oficera Armii Czerwonej

SERGIUSZ PIASECKI

Październik, 1939 roku.
Vilnius.

Otrzymałem wezwanie do NKWD. Bardzo się tym ucieszyłem. Zrozumiałem od razu, że dotyczy to tego bohaterskiego zachowania się w pociągu. Teraz byłem całkowicie pewien, że nagroda mnie nie minie.

Nazajutrz udałem się do NKWD. Wpisałem się do książki, zostawiłem w wartowni pistolet i skierowałem się na pierwsze piętro. Tam zapukałem do pokoju numer 99.

Przyjął mnie major, zastępca naczelnika NKWD.

— Aha, to ty właśnie jesteś lejtnant Zubow!

— Tak jest. Jestem młodszy lejtnant Michaił Zubow.

— Tamta historia w pociągu do Mołodeczna to była twoja robota?

Dumnie wypiąłem pierś, lecz skromnie powiedziałem:

— Zrobiłem tylko to, co mi mój komunistyczny obowiązek nakazywał!

W tej chwili do drzwi zapukano. Major krzyknął:

— Wejść!

Do gabinetu wszedł jakiś dziwacznie ubrany burżuj. Cały czarny, jakby w faszystowskim uniformie. A u dołu spodni nie widać, tylko niby w spódnicy.

„Co to za magik?" — myślę ja sobie.

A major pyta go:

— W jakiej sprawie?

Czarny pokazał mu wezwanie. Okazało się, że jest to katolicki ksiądz. Pierwszy raz w życiu takie coś zobaczyłem. Dużo słyszałem i czytałem o tych krwiopijcach kapitalistycznych, i tak samo w teatrach komsomolskich widziałem na scenach jak znęcają się nad proletariatem. Ale osobiście, dzięki Stalinowi, nigdy nie zetknąłem się.

Major kazał mi stanąć przy ścianie.

— Zaczekaj tam! Z tobą będzie specjalna rozmowa. Ja wpierw tego obywatela załatwię.

Potem zwrócił się do Czarnego:

— Więc ty ksiądz?

— Tak.

— A czym ty trudnisz się?

— Służę Bogu.

— Bogu służysz?... Hm, dziwna robota!... No a z czego ty utrzymujesz się? Gdzie pracujesz?

— Zajęcie mam w kościele, a utrzymuję się z tego, co mi parafianie dają.

— Ta-ak... — rzekł major — interesujące zajęcie... A powiedz ty mnie, ksiądz, czy nie wstyd tobie, dorosłemu i zdrowemu człowiekowi, żyć z oszustw i eksploatowania ludzkiej głupoty?

Ksiądz długo milczał, a potem powiedział:

— U nas religia jest prywatną sprawą obywateli. Nikt nikogo do niej nie zmusza. Do kościoła, albo do księdza idą ci, którzy chcą. Ja żyję z tego, co mi dobrowolnie dają parafianie, którym służę jako ksiądz. Oni też utrzymują kościół.

— Mądrala! — powiedział major i zaczął przeglądać papiery w teczce, która leżała na stole. Zrozumiałem, że jest to sprawa Czarnego. Mają go już na haku.

Potem major znów zwrócił się do księdza:

— U ciebie naczelnik jest?

— Mój naczelnik to pan Bóg.

— Twój pan Bóg mnie nie interesuje. Nawet jego adresu nie mam, żeby mu wezwanie posłać, aby przyszedł tu na badanie. Ja ciebie pytam o to: kto tobie wydaje rozkazy i kto tobą kieruje?

— Ja podlegam Konsystorzowi, a parafia podlega księdzu dziekanowi.

— A on czym się zajmuje?

— Również Bogu służy...

— ...A żyje, również jak i ty, z tego co parafianie dadzą — powiedział major i zrobił do mnie „oko".

Ja wyprężyłem się i ze zrozumieniem roześmiałem się. Niezbyt głośno ani też cicho. Akurat tak, jak w tym wypadku należało się.

— Tak — powiedział Czarny.

— Więc powiedz ty temu swemu dziekanowi, czy jak on tam nazywa się, żeby w piątek tu u mnie zameldował się. Niech przyjdzie dokładnie o godzinie jedenastej rano, bo ja czekać nie lubię, a żartów robić z siebie nikomu nie pozwalam!

Czarny chciał wyjść, lecz major powiedział:

— Czekaj! Dam dla niego wezwanie, bo jakże tu wejdzie?

Major skreślił kilka słów na blankiecie i dał go Czarnemu.

— Masz i wynoś się. Teraz nie jesteś mi potrzebny. Może innym razem trochę więcej pogadamy.

Major znów łypnął do mnie „oko". A ja znów w śmiech.

Wyszedł, a major zadzwonił do wartowni:

Zaraz tam polski ksiądz przyjdzie. Oddać mu dokumenty i wypuścić.

Potem major do mnie zwrócił się:

— Tamta historia w pociągu tobie udała się!

— Zawsze i wszędzie staram się jak mogę i czujność komunistyczną wykazuję.

— Ale ty, w tym wypadku, troche przestarałeś się! Ot co.

— Dlaczego?

— Zaraz ja ci to dokładnie wytłumaczę.

Major podszedł do mnie i tak trzasnął w mordę z lewa, że ja aż głową o ścianę walnąłem. Poprawił z prawa jeszcze mocniej i poszedł w kąt pokoju do szafy.

Ja trochę oprzytomniałem. Palcem z nosa krew wycieram i myślę sobie tak: „O co mu poszło? Bije w sposób służbowy, więc powód jest dostateczny. Ale jaki? Może ktoś czegoś na mnie nagadał? Ale kto? A najgorsze jest to, że nawet nie wiem: do czego się przyznać? Do jakiego przewinienia albo niedociągnięcia?"

Tymczasem major wyjął z szafy pocisk, który ja burżujowi w pociągu odebrałem i postawił go na stole.

— Poznajesz to? — spytał mnie.

— Poznaję, towarzyszu majorze.

— Więc chodź tu i przyjrzyj się lepiej.

Zbliżyłem się ja do stołu. Major zaczął w pocisku zapalnik odkręcać. Potem zdjął go. Patrzę: duży korek widać. Wyjął major korek z pocisku i mówi:

— Patrz do środka!... Co tam jest?

— Nic.

— Otóż właśnie, nic... A ty, durniu, za to człowieka zabiłeś!... Mnie tu nie chodzi o człowieka, bo to nie ruski nawet. Ale chodzi o to, że ty, idioto, nas ośmieszasz. Przez was, takich właśnie durniów jak ty, wszyscy z nas kpią. Czy ty rozumiesz, że to jest termos?

— Rozumiem... termos...

— Otóż to... W takim termosie można długo gorącą wodę albo herbatę trzymać.

— Rozumiem, towarzyszu majorze. Zrobiłem niedociągnięcie i bardzo przepraszam. Chciałem bronić mego dowódcy od zamachu plugawego kapitalisty.

— Jaki on tam kapitalista był! Zwykły stolarz ze Starej Wilejki, z żoną i córką wracali z pogrzebu syna jego. A tymczasem ty i z niego nieboszczyka zrobiłeś. A żona jego ze strachu zwariowała.

— Omyliłem się, towarzyszu majorze. Bardzo przepraszam. I skąd ja mogłem wiedzieć, że taki termos istnieje?... Akurat pocisk.

Major odniósł termos do szafy, potem usiadł przy biurku. Był, widocznie, w dobrym humorze, bo więcej w mordę ani razu nie dostałem. Powiedział w końcu tak:

— Sprawy z tego nie będziesz miał. O termosie tym nic nikomu nie gadaj. Był pocisk i już. A następny raz lepiej uważaj i nie rób z siebie takiego durnia. A teraz wynoś się stąd, bydlaku!

— Dziękuję bardzo, towarzyszu majorze. Poproszę o przepustkę z gmachu.

— Zadzwonię do wartowni: wypuszczą.

Wyszedłem ja z gabinetu majora na korytarz. W głowie mi trochę kołowało... Ciężką rękę ma major! Zdawało się, że tak leciutko w mordę bije, a czuję z lewa — jak językiem dotknę boczne zęby się ruszają. Tak: wprawę ma i robotę dobrze prowadzi. Od razu widać wyższą socspecjalizację!.. A jak on tamtego Czarnego obrabiał!... Bardzo przyjemnie było posłuchać.

Takim to sposobem, przez tych przeklętych polskich burżujów, ja zamiast orderu i awansu dostałem dwa razy w mordę. I szczęście mam, że chociaż na tym tylko się skończyło. A zawdzięczać to mogę jedynie brakowi, w tej przeklętej Polsce najprymitywniejszej kultury!... Toż śmiechu warte! Termosy im potrzebne, żeby gorącą wodę wozić!... U nas, w Związku Radzieckim, na każdej większej stacji gdzieś z boczku kocioł stoi. I często się zdarza, że i ciepła woda w nim bywa. To ja rozumiem: CYWILIZACJA! A tu nawet wodę trzeba ze sobą w drogę brać! Kul-tu-ra! Tylko napluć na to wszystko i nogą rozetrzeć!

C.D.N.